

Adam Bodor  
Z POWROTEM  
DO U SZATEJ SOWY  
Opowiadania  
Przełożyli  
Tadeusz Olszański  
Małgorzata Komorowska-Fotek  
Elżbieta Sobolewska

## EGZEKUCJA

— Nie — powiedział Żołnierz. — Nie zasłaniajcie mi oczu.

Sierżant popatrzył na niego przez chwilę z bezczelnym zdziwieniem i ponownie usiłował przewiązać mu oczy czarną chustą. Żołnierz jednak wciąż uchylał głowę.

— Nie — sprzeciwiał się cicho. — Chcę to widzieć.

— Po jaką cholere? Nie kręć się!

Żołnierz właściwie i tak nie mógł się ruszać, tylko szyją mógł kręcić. Zaskoczony Sierżant powoli opuścił rękę z chustą. Kapitan stał nieco dalej, pod szarą ścianą, odwrócony plecami. Jeden z rekrutów glansował mu właśnie buty. Sierżant zameldował:

— Nie pozwala zawiązać sobie oczu.

Kapitan nawet się nie odwrócił, tylko nieco uniół głowę i zawołał w stronę ściany:

— Jak to nie pozwala?

— Mówi, że chce to widzieć.

— A po co wy w ogóle dyskutujecie? Jesteście na przepustce czy co?

Sierżant ponownie spróbował założyć Żołnierzowi chustę na oczy, a kiedy ten uchylił się, uderzył go pięścią w twarz.

5

— Nie słyszałeś? — powiedział pouczająco. — Nie jestem na przepustce.

Uderzenie oszołomiło Żołnierza.

— Mowa była o tym — zaczął Żołnierz, otworzywszy oczy po ciosie i splunawszy na ziemię — mowa była o tym, że mnie rozstrzelacie, a nie o tym, że przedtem będziecie bili. To ogromna różnica.

Kapitan zbliżył się.

— O co wam chodzi? — zapytał.

— Chcę widzieć, jak będziecie do mnie strzelać — powiedział Żołnierz. — Nic więcej.

— Macie jeszcze jakieś inne pomysły? A może chcielibyście jeszcze zobaczyć, jak was grzebią? Co to się dzieje — zwrócił się do Sierżanta — przecież oni chcą coraz więcej wiedzieć?

— Ja też nie lubię mieć zawiązywanych oczu — odpo-

wiedział niby żartem Sierżant. — Ale to oczywiście co innego.

— A kiedy to ostatnio mieliście zawiązywane oczy, Sierżancie?

— Już nie pamiętam. Dawno temu, kiedy bawiliśmy się w ciuciubabkę.

— I nie lubiliście tego?

— Dawało złe przeczucia — powiedział Sierżant.

— Mam przecież prawo — włączył się Żołnierz. — Mam prawo widzieć, póki widzę. To mi się należy ze względu na moją godność. Żebym widział, co ze mną robią.

— Niezgodne z regulaminem — rzekł Kapitan i rozłożył ręce. — Jest wojna. — Następnie miękko, powolnym krokiem oddalił się pod ścianę, tam gdzie stał uprzednio.

6

— Na kokardkę prosisz? — odezwał się Sierżant i chwyciwszy Żołnierza za włosy, ale niezbyt brutalnie, przyciągnął do siebie jego głowę. — Przestań się wreszcie wiercić!

— Ty! — powiedział Żołnierz. — Ty... idź do cholery.

— Od kiedy jesteśmy na ty! — krzyknął Sierżant, zwracając się w stronę Kapitana. — No coś takiego! — po czym odwrócił się. — Nie awanturuj się, durniu — dodał ugodowo.

— Też wam mówię, abyście się nie naprzykrzali — dorzucił Kapitan.

— Była mowa o kuli w łeb i o niczym więcej — upierał się Żołnierz.

— No i ją dostaniesz — powiedział Sierżant — bądź spokojny.

— Ale chcę to widzieć. Niech to będzie moje ostatnie życzenie.

Kapitan zatrzymał się.

— Która godzina? — zapytał.

— Za kwadrans szósta — odpowiedział Sierżant.

Kapitan wzruszył ramionami.

— A dajcie spokój. Niech mu będzie.

Do muru było jeszcze kilka kroków. Skazaniec widział stojących wokół żołnierzy, pod stopami czuł poranne zimno bruku. O niczym nie myślał.

— Ile masz lat? — zapytał Sierżant, kiedy zatrzymali się pod murem.

— Odpowiem ci: dwadzieścia sześć.

— Warto zapamiętać — powiedział Sierżant gorzko.

Żołnierz uśmiechnął się łagodnie. Jak w Biblii.

7

— Czy mogę usiąść? — zapytał.

— Czy może usiąść? — wrzasnęła Sierżant w stronę Kapitana, który rozmawiał z plutonem.

Oficer odwrócił się, chwilę odczekał, aby lepiej zrozumieć pytanie.

— Niech siądzie — odkrzyknął wyrozumiale.

— Zmęczyłeś się, synu? — zapytał Sierżant, kiedy już Żołnierz przykucnął na kamieniach.

— O co ci chodzi? Nie widzisz?

— O, przepraszam, nie chciałem cię urazić — powiedział Sierżant. — Pomyślałem sobie tylko, że to byłoby dość dziwne, gdybyś teraz był zmęczony, bo niby od czego. Masz jeszcze jakieś siedem minut, z tego pięć możesz sobie spokojnie posiedzieć.

Ciemna woda lśniła między kamieniami i niczym lustro odbijała drżenie gładzi. Od wschodu, ponad ścianą, zaczęło szybko jaśnieć i z zanikającej ciemności wyłaniały się chmury. Ale Żołnierza nie to ciekawiło. Na mokrym kamieniu przycupnął podmarznięty pająk. Przyglądał się pająkowi. Cienkie, letnie spodnie wojskowe szybko przemokły. Poderwał się więc na równe nogi, jakby dziwiąc się, jak to łatwo poszło. Wciąż patrzył na kamień, lekko pochylając głowę.

— Co tam zobaczyłeś? — zapytał Sierżant.

— Pająka — odpowiedział Żołnierz.

— Jak się właśnie budzi — dodał z satysfakcją Sierżant. — No widzisz, jeszcze czegoś nowego się nauczyłeś.

— Mógłbyś stulić gębę i wreszcie zejść ze mnie — odezwał się zrezygnowanym głosem Żołnierz.

8

— Nudzą mnie już te twoje morały — powiedział Sierżant. — Jak cię tak wszystko interesuje, to ci powiem jeszcze tyle, że kiedy usłyszysz trzask, będzie to tylko repetowanie broni. Wtedy możesz policzyć sobie do trzech, a jak się pospieszysz to nawet do pięciu. Mówią, że wszyscy wtedy liczą.

— A idźże do diabła! — krzyknął Żołnierz.

— Sierżancie — zawołał Kapitan — dajcie mu spokój w ostatnich chwilach. Wytrzymajcie i wy jeszcze tych kilka sekund.

Żołnierze podeszli bliżej i odprowadzili skazańca pod ścianę. Był to raczej kawałek zwykłego muru niż fragment ściany. Szary i pusty. Żołnierz przyłgnął do muru plecami, niemal całym ciałem, twarzą do plutonu. Kapitan stanął obok żołnierzy i sponad wyciągniętych luf obserwował człowieka, którego w taki dziwaczny sposób, patrząc mu prosto w oczy, trzeba było zabić. Z kieszeni munduru wyjął rozkaz i odczytał go.

Nad niskim murem jaśniało już niebo. Żołnierz patrzył przed siebie i nie wiadomo było, czemu się tak przygląda. Usłyszał trzask. Kątem oka widział też Kapitana. Żołnierz uniósł ręce do wysokości ramion. Tak to sobie wyobrażał i chciał się przekonać, czy mu się uda. W niezwyklej ciszy wydawało się, że z cichym pluskotem poruszyło się odbicie chmur w strużkach wody między kamieniami. Niebo bieląło, stawało się niemal mleczne i naraz poczuł, że wraz z tą ciszą przenika go lodowate zimno, że wchodzi w niego

bez reszty wraz z utratą poczucia rzeczywistości.

— Amen — powiedział Sierżant.

Kapitan ledwo przytomny siedział na ziemi.

9

— Wam to się raczej należało... — zaczął zdanie, ale zauważył, że Sierżant nie zwraca na niego najmniejszej uwagi, więc nie dokończył tego, co chciał mu powiedzieć.

Przełożył Tadeusz Olszański

DESZCZ

Pewnego popołudnia nad płaskimi, nagrzanymi kamieniami, na których czekały na przebranie wysypane uprzednio borówki, pojawiła się chmara latających mrówek. Krążyły nad każdym, zamienionym w wysypisko jagód, kamieniem i nie można było w żaden sposób ich przegonić. Baca powiedział, że przyniosą deszcz.

Był piękny dzień, od rana chodziliśmy tylko w podkaszanych koszulach, całym ciałem chłoniliśmy ciepły zapach igliwia. Jedyne dolne partie skał, u nasady, pozostawały chłodne. Szybko zgarnęliśmy borówki, a wśród pozostałych resztek jagód dostrzeżliśmy mrówki, przyklepione skrzydłami do kamieni, bo właśnie spadły pierwsze, ciężkie krople deszczu. Zebraliśmy już pół wiadra borówek, a mogliśmy zostać jeszcze kilka dni.

Owce wróciły wieczorem całe przemoknięte. Ciągłe padało, ale pasterze wcale się nie śpieszyli. Po skończeniu udoju stali jeszcze chwilę przy zagrodzie, a po ich opalonych na ciemno karkach spływały strugi deszczu.

Razem z nimi patrzyła na deszcz Ioana, która przysła z doliny po ser. Kobieta niechętnie zdecydowała się na powrót, bo zrobiło się już dość późno. Dali więc jej konia, żeby zwiózł ser. Koń nie chciał jednak ruszyć w dół po

11

kamienistej drodze. Kobieta zaczęła popychać go, uderzając w zad i narzekając, że to marna kobyła. Baca powiedział, żeby poszła raczej przodem, a koń pójdzie za nią. I tak się stało. Kroczyli wolno w dół, pod sosnami, gdzie grunt był bardziej miękki. Szybko też zniknęli z pola widzenia, bo tego dnia wcześniej się ściemniło.

Dym kleił się do ognia, pełzał dołem między stopami, powoli wspinał się pod strop i niczym pajęczyna rozczapierzał na pęknięciach gontów. I znów jedliśmy kolację razem z pasterzami. Na końcu i psy dostały swoją miskę. Były to duże, jednakowo wyglądające psiska o białej sierści, do których trudno było się przyzwyczaić. Pies, na którego wołano Balan, zdecydowanie nas nie lubił. Wyszedł zaraz po jedzeniu i do rana szczekał gdzieś w ciemnościach.

Owce o swojej porze ruszyły na wypas i wróciły na dojenie. Po liściach szczawiu bez przerwy bębniły krople deszczu, a my cały czas pętaliśmy się pod rozklekotanym dachem. Oddałem swoją pelerynę jednemu z pasterzy. Wyszedł w niej na chwilę, wrócił, po czym ją zdjął.

Ciągle padało, nie wiedzieliśmy już który dzień z rzędu. Namawiałem Goba, byśmy poszli na borówki, ale mu się nie chciało. Mgła bez przerwy unosiła się nad doliną. Pasterze siedzieli cicho i spokojnie, całkowicie pogodzeni z deszczem. Nigdzie się nie śpieszyli, wieczorem patrzyli, jak jedzą psy, a po brunatnych szyjach ciągle spływała im woda.

Pewnej nocy Gob nagle się obudził i usiadł. Pochyliłem się w jego stronę, a on złapał mnie za rękę i położył moją dłoń na miejscu, gdzie leżał. Wszystko było przemoknięte, więc już do rana Gob spał na siedząco.

12

Padało, ale nazbieraliśmy jeszcze pół wiadra borówek. Gob miał już tego dość. — Nie wyszło nam, mimo to nie żałuję — powiedział.

Późnym popołudniem z mgły wyłoniły się dwie postacie. Wlokły ze sobą trzecią. Był to Vasilica, chłopiec z dolnej zagrody. Krwawił. Widać było, że gdyby go nie podtrzymywali, padłby na ziemię. Trzymali go jednak mocno pod ręce i nawet się koło nas nie zatrzymali. Szli w dół kamienną ścieżką i odpowiadali nam z marszu, nawet się nie odwracając. To skała pokaleczyła Vasilicę. Deszcz ją podmył i stoczyła się prosto na stojącego pod nią chłopca. Była mgła, skąd kto mógł wiedzieć, co się stanie. Psy czekały jak zwykle, Gob powiedział, że została za nimi krew na trawie. Wyszedłem zobaczyć, ale deszcz szybko zmył ślady.

Obudziliśmy się mokrzy, bo kapalo przez dach. Gob ruszył przed siebie. Zatrzymał się na skraju zagrody, wrócił, zostawił pelerynę i poszedł w deszcz. Nieco wyżej zatrzymał się, stał i moknął. Obok niego przeszli pasterze z dolnej zagrody. Gob mówił potem, że szli w górę po jakiś kamień.

Po południu widzieliśmy ich, jak toczyli przed sobą duży głaz. Zatoczyli go za ogrodzenie, pod naszą kolibę. Natrudzili się, nim do nas doszli, bo kamień sięgał im aż po biodra. Był to kawałek skały, która wisiała nad doliną. Był ciemny i tylko z jednej strony, tej urwanej, jaśniały białe żyłki. Lśnił od wody.

Vasilica zmarł w nocy — powiedzieli pasterze. Ojciec prosił o kamień, który zabił chłopca. Powiedzieli, że na jutro pójdą po ten głaz, i przyszli.

13

Postanowiliśmy z Gobem pójść na spacer do położonego wyżej jaru. Gdy szliśmy, Gob powiedział, że borówki w wiadrze zaczęły chyba fermentować, i wzruszył ramionami. Spływająca z wnoszących się nad nami wiecznych śniegów woda, drgając, łączyła się ze strugami deszczu, rysując krawędź grani. Gob zatrzymał się i zaczął gwizdać coś sentymentalnego o morzu, ale tylko początkową frazę, i przeciągając, zaczynał od nowa. Prosiłem, aby dał spokój, ale nie przerywał, a nawet patrząc na mnie, specjalnie

gwizdał dalej. Deszcz spływał mu po twarzy, skroniach, oczach, jakby płakał, cały był mokry, ale uśmiechał się. Ja też zacząłem gwizdać, deszcz bębnił, łopotał naszymi pelerynami, odbijał się w kałużach, szumiał niczym głoska „sz”. Potem wszystko utonęło w ciszy wznoszącej się od doliny mgły. Było to miłe, spokojne popołudnie.

Kamień wciąż tkwił przed wejściem do koliby. Patrzyliśmy, ile kolorów potrafi mieć taki kawałek zwykłej skały. Wieczorem dwóch naszych pasterzy chciało wytoczyć skałę poza ogrodzenie, ale baca nie zgodził się. Powiedział, że co już jest za ogrodzeniem, to ma być strzeżone. Pasterze nie lubili tego kamienia. Mówili później, że należało zostawić go tam, gdzie spadł. Chociaż wiadomo było, że przyjdą po niego ludzie z dolnej zagrody i będą szukać tego głazu, bo chce go mieć ojciec Vasilicy.

Gob znów spojrział na wiadro z borówkami, powąchał i machnął ręką. W nocy powiedział, że w żaden sposób nie może w myślach wrócić do domu. Nie jest w stanie na przykład przypomnieć sobie swego posłania, a jak już nawet coś sobie przypomni, to nie jest to jego łóżko, tylko cudze, obce. Zostaliśmy jeszcze dwa dni.

14

Dopiero trzeciego dnia przyszli po kamień. Był z nimi starszy brat Vasilicy, przyprowadził konia. Umieścili głaz na trzech krągłych pniakach, przymocowali łańcuchem i koń pociągnął zaprząg. Mokre drewno zupełnie lekko się zsuwało.

Jeden z pasterzy powiedział, że chciałby jutro zajrzeć do domu, ale baca nie zgodził się. Więc nie poszedł. Rano wreszcie zaświeciło słońce. Nie było widać, żeby pasterze jakoś szczególnie się z tego cieszyli, a ten, który wieczorem chciał pójść do domu, już nie nalegał. Po udoju wypędzono owce i nawet pies Balan pobiegł za nimi. Baca dał nam na drogę duży kawał sera. Gob był trochę zakłopotany, ale w końcu włożył ser do plecaka. Od dawna znał się z bacą. Schodząc, minęliśmy dolną zagrodę. Owce pasły się na zboczach. Jakiś dzieciak pomachał do nas ręką. Chyba przyszedł na miejsce Vasilicy. I my go pozdrowiliśmy. Obok płotu, na szczawiu, leżał malutki cielaczek. Był dziwnej maści przypominającej modną tkaninę. Pewnie pierwszy raz widział słońce, bo przez cały tydzień padało.

Po drodze dowiedzieliśmy się, że ojciec Vasilicy rozbił głaz na swoim podwórzu i będzie teraz po nim chodził. Na samym dole zatrzymaliśmy się. Wyjęliśmy ser, który podarował nam baca.

— A co byś powiedział — zapytał Gob — gdybyśmy wrócili do domu z jakąś porządną kobietą?

— Byłoby dobrze — odparłem. Jedliśmy ser, był dojrzały, smaczny.

— Bo my sami chyba w ogóle nie czujemy, czym przesiąkliśmy i jaki zapach mają te nasze przemoknięte, zadyrmione ubrania — powiedział Gob.

Potem poszliśmy w dalszą drogę. Zebraliśmy wiadro borówek. Zamierzaliśmy je przecież sprzedać, ale Gob powiedział, że nikt już ich nie kupi, bo sfermentowały. Raczej zalejemy je w domu spirytusem.

Przełożył Tadeusz Olszański

## FRYZJER

- Kto następny, proszę — powiedział Boros i odwrócił poduszkę na krześle. — Jak mam pana ostrzyć? — zapytał, kiedy gość wygodnie się usadowił.

— Proszę z boków i z tyłu ściąć, a na górze zostawić. — Klient mówił grubym głosem. Miał dużą, czerwoną głowę i mocno zarosnięte skronie.

Boros założył gościowi pelerynkę. Umieścił watę za kołnierzem, a kiedy zobaczył w lustrze, że klient wyjmuje papierosa, pstryknął zapalniczką i podał mu ogień. Z szuflady wyjął nożyczki oraz maszynkę do strzyżenia. Właśnie przejął zmianę.

— To jest dla gości Borosa — powiedział jeden z klientów, podając kasjerce kolorowy magazyn. Fryzjer, patrząc w lustro, przekazał czasopismo klientowi. Przyjrzawszy się bacznie szyi gościa, sięgnął po maszynkę, włączył ją i powoli pociągnął środkiem głowy, od dołu przez czubek aż po zakole łysiny. Tak, jak rosły włosy.

— Stój! — krzyknął zwałisty klient o czerwonym karku i trzasnął gazetą w umywalkę.

Boros przerwał strzyżenie. Na szerokość maszynki wyciął przez środek głowy wszystkie włosy.

17

— Co pan zrobił?! Czy pan oszalał? — krzyknął klient i ze zdumieniem patrzył w lustro. Widział ścieżkę wyciętą elektryczną maszynką i coraz bardziej czerwieniał.

Boros z kamienną twarzą też patrzył na wycinkę. Pozostali fryzjerzy przerwali pracę i patrzyli na to, co się stało. Dwóch podeszło bliżej. Jeden z nich był kierownikiem zakładu.

— Nie wiem — powiedział bezradnie Boros. — Nie wiem, jak to się stało.

Gość zerwał się z krzesła, dotknął ręką głowy, tam gdzie nie było już włosów, i rozglądał się wokół.

Czeladnik patrzył na kasjerkę, która mu się podobała, i czekał, co też ona powie. Kasjerka natomiast z przerażeniem spoglądała na Borosa.

— Nie wiem, co mi się stało — powiedział Boros. Lekko wzruszył ramionami, bezradnie rozłożył ręce, wykonał pół obrotu, ale nie odszedł od fotela.

— Zobaczmy, co się da zrobić — szef dotknął głowy gościa i przebiegając palcami, badał jego włosy. Patrzył przy tym na Borosa. Był spokojny.

— Co wyście ze mną zrobili? — ponownie zapytał klient, ale już nie krzyczał. — Jak to się mogło stać?

Ktoś, kogo właśnie strzyżono na ostatnim krześle, rap-

townie złapał się za głowę i z niepokojem obserwował zajście.

— Proszę się uspokoić — powiedział obsługujący go fryzjer i przerwał strzyżenie. — Niech pan się rozejrzy, wszystko w porządku.

— Zaraz to załatwimy — powiedział szef i dał znak, aby nie przerywano pracy. — Niech pan na chwilę siądzie.  
18

Zobaczmy, czy da się jeszcze coś zrobić. Proszę odwrócić głowę.

Teraz klient mógł spojrzeć prosto w twarz Borosowi.

— Załatwię pana — powiedział do fryzjera.

Boros stał z kamienną miną. Nie można było po nim nic poznać. Kierownik zwrócił się do Borosa:

— Tak się zagapić! I to kto, akurat pan.

— Zróbcie coś wreszcie ze mną — powiedział klient. — Byle szybko.

— Może na pożyczkę... — poradził pracujący obok fryzjer.

— Niech się pan, szefie, dobrze przypatrzy, może coś da się wykombinować — włączył się kolega z drugiej strony. W sali słychać było szcęk nożyczek, wszyscy pracowali. Tylko Boros stał niemo obok swego gościa.

— Az czego tu zrobisz pożyczkę? — Szef ciągle dotykał krótkich, gęstych włosów klienta. — Tu nie da się nic zrobić.

— Ze sobą pertraktujecie? — zapytał ostrzejszym już tonem poszkodowany.

— Nie możemy przecież z powrotem przykleić — powiedział szef. — Przerzutki też nie da się zrobić. Teraz już nie da rady ostrzyc pana tak, jak pan prosił.

Czekający na ulicy klient upomniał się o swoją kolejkę:

— Co się tak guzdrzecie? Jak długo mam jeszcze czekać?

— Niech pan wejdzie, panie Balazs — powiedział szef. Kolejny gość, który również czekał na ulicy, zorientował się, że są jakieś kłopoty.

19

— Wrócę za chwilę — powiedział i odszedł.

— Nie da się naczesać, bo nie ma z czego — kontynuował szef. — To można tylko w jeden sposób załatwić, ostrzyc do gołej skóry. Na szczęście jest ciepło.

— Pójdę, gdzie trzeba, i pokażę tym, których to interesuje, jak wy tu pracujecie — powiedział klient i chciał wstać z fotela.

— Proszę tego nie robić — powiedział kierownik. — Proszę jeszcze chwilę poczekać. — Spojrzał na Borosa, dał mu znak, żeby się odezwał, przeprosił. Boros jednak milczał.

— Pomylił się — tłumaczył kierownik. — Źle zrozumiał. To nasz najlepszy fryzjer.

— Nie — odezwał się wreszcie Boros. — Dobrze zrozumiałem.

Kierownik spojrział w sufit i westchnął.

— Zapamiętajcie sobie dobrze — powiedział gość. — Jeszcze chyba nie doszedłem do siebie, bo powinienem wrzeszczeć i zrobić tu dziką awanturę. Przecież mnie oszpeciliście! Wyglądam jak idiota! — spojrział na Borosa. — Słyszysz pan!

Do Borosa wreszcie zaczęło docierać, że oszpecił gościa.

— Wyrządziliśmy panu straszną krzywdę — usprawiedliwiał się kierownik. — Przepraszamy. Możemy zrobić tylko jedno: ostrzyć całą głowę do gołej skóry, żeby wyglądało tak samo. W końcu jest ciepło.

Widać było, że chce jak najszybciej załatwić sprawę.

— Zaczekajcie — gość wstał i podszedł do wystawy. Odwrócił się: — I co teraz? Po co ja tu wchodziłem!?

20

— Szybko odrosną — kierownik gestem ręki poprosił, aby gość znów zajął miejsce na fotelu.

Boros stał obok ze splecionymi dłońmi. Szef zbliżył się do niego i usiłował wcisnąć mu do ręki maszynkę.

— Proszę go ostrzyć — poprosił spokojnie.

— Nie potrafię.

— Niech go pan ostrzyże, Boros. Proszę.

Boros schował ręce.

— Nie. Nie jestem w stanie go dotknąć.

Kierownik ruszył w stronę pomieszczenia odgradzonego od sali zasłoną.

— Proszę za mną — powiedział do Borosa.

Boros podszedł do szefa.

— Niech pan to zrobi, niech się pan przełamie — szepnął kierownik. — Teraz może pan ostrzyć go do skóry.

Proszę — mówił serdecznym głosem.

— Nie dotknę go — powiedział fryzjer. — Nie mogę się przełamać.

Kierownik wyszedł na salę. Jeden z fryzjerów właśnie był wolny. Przywołał go i polecił, aby szybko ostrzygł klienta.

— Nie zrobię tego — powiedział fryzjer.

— To ja go ostrzyżę — powiedział szef i szybko zabrał się do roboty.

Boros wyszedł zza zasłony i stanął obok swego fotela.

Kilku klientów już zapłaciło i salon opustoszał.

Gość uspokoił się, patrzył martwo przed siebie. Kierownik zdjął pelerynkę, strzepnął ją, szczotką starannie oczyścił z włosów marynarkę klienta.

— Na wszelki wypadek... — powiedział tylko tyle.

21

— Lepiej byłoby dla mnie, gdybym pokazał komuś, coście tu ze mnie zrobili — powiedział cicho gość. — Teraz nie mam już czego pokazywać.

Nie wyglądał na rozeźlonego, był po prostu zasmucony, osowiały.

— Na wszelki wypadek... — powtórzył szef.

— No tak — gość zwrócił się do Borosa. — Niech się pan jednak nie boi — mówił z powagą, cicho. — Niech pan sobie dalej strzyże.

Wziął kapelusz i wyszedł.

Było to zaskakujące, że taki potężny człowiek z czerwoną twarzą tak cicho mówił. Kierownik otarł pot z czoła.

— Zapłacił? — zapytał fryzjer z dużym czarnym wąsem, który odmówił ostrzyżenia klienta.

— Gdzie tam — kasjerka siedziała z opuszczoną głową.

— Pochodzi trochę w kapeluszu, ot i wszystko — zauważył wąsaty fryzjer.

— Dajcie mu spokój — powiedział kierownik. W salonie był jeszcze tylko jeden gość.

— Ty... — zwrócił się wąsaty do Borosa.

— Powiedziałem już, żebyście dali mu spokój — powtórzył kierownik.

— Chciałem go tylko o coś spytać.

Kiedy już ostatni klient wyszedł z salonu, kierownik zdjął okulary i spojrzał na Borosa.

— Co ci się stało?

— Nie wiem — odpowiedział Boros z takim wyrazem twarzy, który nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że rzeczywiście nie wiedział, co robi.

— Idź do lekarza, zbadaj się.

22

— Ty — zaczął wąsaty fryzjer. — Jak już mu tak pojechałeś przez łeb, to można go było jeszcze zrobić na irokeza lub boksera.

Boros lekko wzruszył ramionami.

— Nie zauważyłeś, że robisz mu autostradę, jak już leciałeś w dół. Nie widziałeś?

— Widziałem — odpowiedział Boros. — Ale nie byłem w stanie się powstrzymać. Czuję, że zjadę do końca. Kierownik otarł czoło i wyraźnie było widać, że nie jest w stanie zrozumieć, co się stało.

— Koniecznie się zbadajcie — powiedział. — Ten gość złoży przecież zażalenie. To pewne.

— Ale na skargę pójdzie w kapeluszu — dodał wąsaty.

— Pomyślcie — ciągnął kierownik — pójdzie, doniesie, naskarzy.

— Najwyżej cię przeniosą. To wszystko — powiedział wąsaty. — Masz to z głowy.

Boros milczał, jakby nieobecny. Nie można było odgadnąć, co się z nim dzieje.

— Kellera też przeniesli, kiedy odciął gościowi kawałek ucha, a ucho raczej nie odrasta!

— To była zupełnie inna sprawa — włączył się ktoś trzeci.

— A tak — kontynuował wąsaty. — Keller nawet się

nie zatrzymał i dalej trzaskał nożyczkami nad głową faceta. Dopiero kasjerce, która była jego kochanką i podeszła, aby posprzątać włosy pod krzesłem, szepnął: uważaj, bo w koszu jest kawałek ucha tego gościa. A klientowi zatałmował krew ałunem i na pożegnanie powiedział: „Trochę pana skaleczyłem”.

23

— A skąd wy to wszystko wiecie? — zapytał szef.

— Sam mi to opowiedział, tylko go przeniesiono.

— No dobra, przestańcie gadać — powiedział kierownik. — A swoją drogą, ucho prawie nie krwawi.

Wąsaty fryzjer podszedł do kasjerki i zapytał:

— I co pani powie na ten numer?

Kasjerka pochyliła głowę, milczała. Pozostali też siedzieli cicho i patrzyli na Borosa.

Boros powoli zdjął fartuch i powiesił go za zasłonkę, w służbowej szatni.

— Co pan robi? — zapytał szef.

— Odchodzę — odparł Boros.

— Chcę z panem porozmawiać.

Boros zatrzymał się po dwóch krokach.

— Dobrze.

— Lepiej byłoby, gdyby pan teraz nie odchodził.

Boros raz jeszcze się obejrzał.

— A jednak odchodzę — powiedział i zamknął za sobą drzwi.

Przełożył Tadeusz Olszański

## BRAT PALACZA

Całe kąpielisko składało się zaledwie z trzech budynków. Największy z nich, piętrowy, szeroki, okolony krytym tarasem, prezentował się całkiem okazale. To tu, na piętrze, urządzone pokoje gościnne. Na parterze była jadalnia, z małą wnęką na barek. Kabiny, a więc właściwe kąpielisko, znajdowały się w drugim budynku, ze starą kotłownią i grubymi rurami prowadzącymi do wysłużonych i przesiąkniętych siarką wanien. W trzecim, parterowym budynku była kuchnia połączona łącznikiem z jadalnią. Tego wieczoru, w lejącym deszczu, z całego kompleksu widoczny był tylko oświetlony taras, gdzie przy stoliku trójka owiniętych w pledy mężczyźni grała w skata. Na prowadzącej do kąpieliska drodze pojawił się człowiek i gdy tylko znalazł się w kręgu światła, szybko odnalazł wejściowe schody. Był w świątecznym, ciemnym stroju, białej koszuli i mocno ścisnął w rękę wypchaną teczkę. Przemókł do suchej nitki, aż lśnił od wody. Mimo to wyglądał na zadowolonego i wyprężony stanął przed stolikiem.

— Dobry wieczór, szukam palacza — powiedział. —

W którym pokoju go znajdę?

Karciarze podnieśli wzrok na spływającego wodą przybysza, u którego stóp już tworzyła się pokaźna kałuża.

25

— Palacza? — mruknął jeden z nich. — A jest tu jakiś

palacz? Zdaje mi się, że takiego tu nie ma.

— Nie mamy żadnego palacza — dodał drugi.

— To mój młodszy brat — powiedział przemoknięty mężczyzna. — Do niego przyszedłem.

— Nie znamy pańskiego brata. Nawet gdyby tu był przypadkowo.

— Ejże! — powiedział rzekomy brat palacza. — Przecież musi gdzieś tu być. Poszukam go i z pewnością znajdę. Po czym odwrócił się i zszedł na parter. Przeszedł korytarzem aż do łącznika i stanął w otwartych drzwiach kuchni.

Było już dawno po kolacji. W kuchni unosił się aromat cynamonu i goździków. W dużym garnku grzano wino. Żona administratora i niska, przywidła kucharka omawiały jadłospis na następny dzień.

— Szukam palacza — powiedział przemoknięty do cna przybysz.

— Palacza? — zapytała żona administratora. — Jakiego palacza?

— Tego od kotłowni — odpowiedział mężczyzna. — To mój brat.

— Panu chodzi chyba o naszego mechanika — powiedziała żona administratora. — A to coś zupełnie innego.

— O palacza mi chodzi — upierał się mężczyzna. — Tak już nazywamy między sobą nasz fach.

— No dobrze — powiedziała kobieta. — Jeżeli pan mówi, że jesteście braćmi, to poszukam naszego mechanika. On wcześniej kładzie się do łóżka, chyba już śpi.

26

Żona administratora zarzuciła na ramiona chustę i poszła budzić mechanika, do którego przyjechał rzekomy braciszek.

— Póki co zjadłbym coś — powiedział przybysz — W końcu mnie tu zaproszono.

Kucharka zajrzała do garnków, z jednego z nich wygarnęła na patelnię tłuszcz po pieczeniu, po czym wyjęła kilka jajek. Na desce pokroiła cebulę, dwa pomidory i paprykę. Kiedy tłuszcz rozgrzał się, wbiła jajka.

— Ja też jestem palaczem — powiedział przemoknięty mężczyzna i usiadł za stołem.

— Nasz mechanik jest u nas od niedawna — powiedziała kucharka. — Ale on nazywa siebie mechanikiem. Przemarznięci na tarasie karciarze wkroczyli do kuchni, ale nawet tu nie zrzucili z siebie kocy, w które byli opatuleni. Zdjęli z ognia wino, a na skraju płyty kuchennej postawili dwa porcelanowe dzbanki, aby się podgrzały.

— Jak to się mówi, przemókł pan do suchej nitki — powiedział jeden z karciarzy.

— Jeżeli zostanę tu trochę dłużej, to jakoś się dosuszę.

— Proszę jeść — powiedziała kucharka i postawiła

przed gościem talerz z jajecznicą, a obok, na osobnym talerzu sałatkę z pomidorów.

Karciarze napelnili winem nagrzane dzbanki, bacznie przy tym obserwując przybysza, który nawet nie zdjął całkowicie mokrej marynarki.

— Nasz mechanik nie ma żadnego brata — z tymi słowami wróciła do kuchni żona administratora. — Mówi, że jest jedynakiem.

27

— Ejże! — powiedział przemoknięty mężczyzna. — Niech ten mój brat nie opowiada takich głupot. — I dalej spokojnie zajadał.

— No, ale on to tak powiedział. I nic więcej. I wcale nie był zadowolony, że go obudziłam.

— To ja go jeszcze raz obudzę — powiedział przybysz nieco zmartwionym głosem. — Ja przecież najlepiej wiem, kim jest on i kim ja jestem. No nie? Jesteśmy w końcu braćmi.

— A może macie tylko takie same nazwiska — próbowała ustalić zbieżność żona administratora. — To się może zdarzyć... A jak się pan nazywa?

— Może się zdarzyć? Niech mnie pani nie rozśmiesza. Proszę uprzejmie powiedzieć, gdzie jest pokój mojego młodszego brata? Przychodzę z daleka i chciałbym już odpocząć.

— Niech pan wypije szklaneczkę. Grzane wino dobrze panu zrobi — odezwał się jeden z karciarzy.

— Bardzo chętnie, poproszę.

Żona administratora stanęła w drzwiach.

— Widzi pan ten pokój, o tam, na końcu korytarza, przy tych dwóch drzwiach. To tam. Na tych drzwiach nie ma numeru i nie jest napisane „Mężczyźni” ani „Kobiety”. To są te drzwi, na których nic nie jest napisane.

Brat palacza wypił kubek wina i podniósł swoją wypchaną teczkę.

— No to pójdę przedstawić się swojemu bracisz-kowi.

— Śpi głęboko i nie lubi, jak mu się przerywa sen — powiedziała żona administratora. — Może się pan też gdzie

28

indziej przespać, nawet gdyby pan nie był bratem naszego mechanika.

— Nawet gdyby... — chrząknął mężczyzna. — No, no... — i wyszedł.

Kiedy już opuścił kuchnię, żona administratora rozejrzała się lękliwie.

— Trochę są do siebie podobni — powiedziała — ale boję się, że będą z tego kłopoty. Przecież słyszeliśmy już, że nasz mechanik nie ma żadnego brata. A ten, co tu przyszedł, może i ma brata, ale gdzie indziej.

— No i szukał palacza — powiedział jeden z karciarzy — a jak słyszę, u nas pracuje mechanik.

— To się źle skończy... — dodała kucharka.

Karcjarze wrócili na taras, a kobiety dość długo krzątały się w kuchni, od czasu do czasu rzucając okiem na drzwi, na których nie było żadnego napisu.

— A może rzeczywiście to jakiś krewny — powiedziała kucharka. — Wygląda na to, że jednak tam się prześpi.

— W każdym razie nie wyrzucił go do tej pory — zauważyła żona administratora.

— W taką pogodę to i psa się nie wyrzuca.

— Chyba się jakoś dogadali, w końcu to ludzie...

Po jakimś czasie jeden z karcjarzy wstał od stołu i udał się w stronę drzwi z napisem „Mężczyźni”. Ale nie wszedł do toalety tylko pochrobetał klamką i nasłuchiwał, co się dzieje za drugimi drzwiami. Nic szczególnego się jednak nie działo, żadnego hałasu ani szmerów, więc wzruszając ramionami, wrócił do stołu.

Z samego rana żona administratora już stała w drzwiach kuchni. Widziała, jak nagle otworzyły się drzwi pokoju

29  
mechanika. Wszedł pierwszy w swoim poplamionym kombinezonie, a za nim mężczyzna w czarnym garniturze, który podawał się za jego brata. Na palcach przeszli po skrzypiącej podłodze tarasu, potem schodami w dół, aż do bramy. Ładnych parę minut klepali się po ramionach, serdecznie się wyściskali i podali sobie ręce. I nocny gość palacza ruszył w stronę wioski.

Po śniadaniu letnicy zgromadzili się przed jadalnią. Patrzyli na niebo, sondowali, czy pogoda wreszcie się odmieni. Mechanik w kombinezonie przeszedł koło nich, śpiesząc do kotłowni. Karcjarze siedzieli na ławce, przypalali sobie papierosy i tręcili się w bok.

— To chyba ten facet, mistrz od kotłowni.

— Znaczy mechanik.

— Nawet go do tej pory nie zauważyłem — powiedział jeden z nich. — Inna sprawa, że dotąd nie zwracałem na niego uwagi.

— Dobrze jednak wiedzieć, że jest tu ktoś od kotłowni.

Na wszelki wypadek, gdyby znów szukano palacza.

Mechanik wolnym krokiem wrócił z kotłowni do kuchni. Po kilku minutach wyszedł z żoną administratora i długo z nią rozmawiał. Odprowadziła go aż do schodów.

Mechanik wszedł na taras i udał się do swego pokoju.

Każdego ranka zresztą przemierzał tę drogę w dokładnie taki sam sposób, krążąc między gośćmi kąpieliska, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Nikt go bowiem do tej pory nie szukał. Nawet nie wiadomo, czy jest palaczem, czy też mechanikiem.

— Zaraz wam coś opowiem — odezwała się żona administratora do kucharki. — Ale najpierw proszę mi pomóc.

30

Dziś wyjeżdża trzech gości, co byli na diecie, a przyjedzie dwóch farmaceutów, którzy są wielkimi obzartuchami.

Weszły do spiżarki i wyniosły koszyk zielonej papryki, pomidory oraz bańkę śmietany. A potem jeszcze cebulę i oliwę. Żona administratora oplukała ręce.

— Poszedł sobie — powiedziała.

— Słucham? — zapytała kucharka.

— Brat naszego mechanika poszedł sobie dziś rano.

— Poszedł? No to szkoda.

— Szkoda. Ale nie wiecie dlaczego.

Wysypały paprykę z kosza na stół i nożami z krótkim ostrzem zaczęły wycinać gniazdka. Siedziały na taboretach, a oczyszczone papryki wrzucały do dużej miski.

— Jak się skupicie, to powiem więcej — ciągnęła opowieść żona administratora. — Naprawdę, to paskudna sprawa. W każdym przypadku paskudna.

— Nie rozumiem — powiedziała kucharka. — Ale skoro pani tak mówi, to chyba musi być paskudna.

— To nawet lepiej, że nie rozumiecie — powiedziała żona administratora. — Lepiej nic o tym nie wiedzieć. Mechanik zresztą prosił, żeby nie gadać.

— To akurat rozumiem — powiedziała kucharka. — Jak nie gadać, to nie gadać. Dobrze, że chłopa wypuścili...

Przełożył Tadeusz Olszański

#### LEŚNIK I JEGO GOŚĆ

Obcy siedział na pniu ściętej sosny, obok niego, na trawie, leżała przypinana do paska saszetka. Widać było, że dopiero przyszedł. Prawą nogawkę spodni miał rozciętą po kolano i robił sobie okład z mokrej chusteczki. Obok, na zadrze sosnowej kory, wisiała jego strzelba. Nie miał kapelusza, lecz baskijski beret i wyglądał na początkującego myśliwego.

Dwa kroki dalej, w kręgu ułożonym z dużych kamieni, płonęły dwa długie, sosnowe drągi. Błękitny dym wił się wśród drzew okalających wąską polankę i uchodził porywany powiewem wiatru znad potoku. Na usłanej połamanymi gałęziami ścieżce, wiodącej od ogniska do potoku, leżał pies. Długowłose, łaciaty owczarek.

Na końcu ścieżki stała mała chata zbudowana z bali. Wyglądała jak domek z bajki. Wyszedł z niej leśnik, właściciel psa. Był to grubasek o krótkich nogach, obutych w sandały. Szedł w stronę ogniska. Niósł w dłoni chustkę i jakąś buteleczkę. Ukłął na trawie przed obcym, zdjął mu z nogi mokry opatrunek, ranę polał obficie miodem z butelki, odczekał, aż miód się rozpułynie, po czym przyłożył czystą chusteczkę i luźno obandażował nogę.

33

— Widział pan, jak to wygląda? — spytał obcy.

— Wszystko będzie dobrze, ale musi pan teraz pójść na szczepienie — powiedział leśnik i wrócił z buteleczką do chaty.

Obcy, gdy tylko został sam, odwinął bandaż i zaczął przyglądać się ranie. Przez warstwę lśniącego miodu dobrze było widać ślady zębów i obrzękniętą, zaczerwienioną

skórę wokół ugryzienia. Pies leżał nieruchomo na ścieżce poniżej ogniska.

— Niech pan już tego nie rusza! — krzyknął leśnik i wrócił do ogniska. Przyniósł ze sobą plecak. Rzucił go obok paleniska. Zaczepił kociołkiem wody z potoku, usiadł na trawie, wyjął z plecaka ziemniaki i zaczął je obierać. Obierki spadały na jego bosc stopy, gdy było ich już sporo, zebrał je i rzucił do ognia. — Daj pan spokój — powiedział. — Zaszczepi się pan i po krzyku.

— Po krzyku? — obruszył się obcy. — Widział pan, co narobił?

— Widziałem.

Na krańcu doliny widać było odległą, wysoką, łysą górę, którą kiedyś pewnie porastał las. Wąski promień słońca oświetlał jeszcze szczyt karczowiska, ale po chwili ześlizgnął się stamtąd i już tylko chmury dawały trochę światła. Niebo nad potokiem zrobiło się granatowe. Obcy wyciągnął z torby czerwony, cienki sweter, założył go i zapiął pod szyję. Wyglądała spod niego niebieska koszula. Nie był to typowy strój myśliwego, ale leśnik miał na sobie sandały zamiast klasycznego leśniczego stroju.

— Zje pan kartoflanki? — spytał leśnik, gdy obrał już jakieś pięć kartofli.

34

- Mam co jeść — odpowiedział obcy i wyciągnął z torby zawiniątko w gazecie.

— W takim razie już wystarczy — powiedział leśnik. Zawiesił kociołek nad ogniskiem i rozdmuchał żar. Przekroił cebulę na pół i wrzucił do zupy. — Ale tego to pan chyba nie odmówi? — spytał, wyciągając z plecaka butelkę. Była w niej przezroczysta ciecz. Potrząsnął nią i stało się jasne, że to nie woda. Obcy sięgnął po butelkę, powąchał i pociągnął z gwinta, spoglądając przez szkło na odległą łysą górę.

— Magura? — odezwał się, wskazując przed siebie.

— Nie — powiedział leśnik.

— A co?

— Zwykła sobie góra.

— To która to Magura?

— Żadna — powiedział leśnik. — Niech pan się napije. Nieźle się pan pogubił. Rano musi pan pójść w dół tą ścieżką.

Leśnik schował butelkę do plecaka i wstał.

— Nie uwiąże go pan? — spytał obcy.

— Nigdy go nie uwiążę.

— Dziś niech pan uwiąże.

— Nie — powiedział cicho leśnik i ruszył w stronę chaty. Przed wejściem leżały grube sagi drewna. Postawił jeden z nich w pionie i porąbał siekierą na szczapki. Wyciągnął spod okapu szerokie ostrze i podzielił szczapki na mniejsze kawałki. Potem ułożył je rzędem pod ścianą chatki.

Obcy odwinął z gazety kawał chleba i rzucił go psu ponad płomieniem. Pies podczołgał się, powąchał i zjadł.

Obcy próbował go przywołać, ale pies nie ruszył się z miejsca. Leśnik przerwał na chwilę pracę i przyglądał się im.

35

Zobaczył, że obcy znowu odwija opatrunek i przygląda się ranie.

— Niech pan patrzy — powiedział. — Widział pan, co narobił?

— Tak — powiedział leśnik i podszedł bliżej. — Niechże już pan da spokój tej nodze. — Zamieszał zupę drewnianą łyżką, wyjął jeden kartofel i spróbował.

— Złał go pan?

— Niby kiedy?

— No wie pan, niech mu pan pokaże ranę i porządnie zleje.

— Nigdy go nie biję — powiedział leśnik. Wrócił przed chatę i dalej rąbał szczapki. Zapadł zmrok, szczapki ułożone wzdłuż ścian zajaśniały w mroku. Gdy skończył rąbać drewno, przyniósł łyżkę i blaszany talerz, do którego wlał trochę śmietany. Zdjął kociołek z ogniska i zaniósł do potoku, a kiedy uznał, że zupa już wystarczająco przestygła, wrócił do ogniska, nalał sobie na talerz i zaczął jeść.

— Nic pan nie ustrzelił — wskazał na pustą torbę obcego.

Obcy milczał.

— U nas jest co ustrzelić. Ale nie ma tego złego, przynajmniej się pan nie nadźwiga. Do autobusu stąd trzeba iść dobre trzy godziny. Chociaż odetchnął pan sobie świeżym powietrzem.

Obcy patrzył na psa.

— Jak pan myśli — zagadnął nagle — poszedłby za mną?

— Czy da się obłaskawić? Jak mu pan coś da, to pewnie tak. Pójdzie kawałek za panem.

36

— Ciekaw jestem.

— Pewnie ma pan dużo naboju — powiedział leśnik.

Zawołał psa do siebie i wylał mu resztę zupy. Zaczepnął kociołkiem trochę wody ze strumienia i zalał ognisko. —

Mam tylko jedną latarkę — powiedział. — Przygotuję miejsce do spania i możemy się kłaść. Niech pan tu chwilę spokojnie posiedzi.

Po drodze zdjął z pieńka strzelbę obcego.

— Co pan? — obcy zerwał się z miejsca. Pies warknął.

— Laci — powiedział leśnik i poczekał, aż pies przyjdzie do nogi.

— Co pan wyczynia? Mam pozwolenie.

— Rano dostanie ją pan z powrotem — powiedział leśnik.

Pies położył się przed wejściem do chaty. Było już całkiem ciemno.

— Gotowe, można się kłaść — krzyknął po jakimś cza-

sie leśnik z chaty. — Może pan już przyjść — powiedział, stawiając nogę na gardle psa.

— Gdzie ją pan schował? — obcy wolno przykuśtykał do chaty.

— Powiedziałem, rano dostanie ją pan z powrotem.

Skąd mam wiedzieć, kim pan jest i na co panu ta strzelba.

Schowałem ją i po kłopotcie.

— Nie po kłopotcie — odpowiedział obcy. — Pan się prosi o kłopoty.

~ Niech pan już przyjdzie. Pokażę panu posłanie.

Obcy wszedł do środka. W świetle latarki zobaczył wąskie łóżko.

37

— Zadbam, żeby dowiedziano się o tym gdzie trzeba — powiedział obcy. — Najpierw mnie pan szczuje psem, a potem odbiera broń.

— Jak tam pan sobie chce — powiedział leśnik. — Zrobi pan, co się panu spodoba. Tu jest prycza dla pana. Powie pan, jak będzie pan gotów, to zgaszę światło.

Obcy zdjął buty i wyciągnął się na pryczy. Leśnik zamknął drzwi i rzucił na podłogę dwa koce dla siebie.

— Mogę gasić?

— Niech się pali.

— To latarka — powiedział leśnik i światelko obiegło ciasne pomieszczenie.

— Co z tego. Niech się pali.

Leśnik zgasił latarkę. Położył się na jednym kocu i przykrył drugim. Podłoga też była zrobiona z bali.

W ciemności słychać było szum potoku i szelest sosen. Nad ranem zaczął padać deszcz, potem ustał. Krople spadające z sosen jeszcze długo stukwały o gonty dachu. Leśnik obudził się. Narąbał drewna i rozpałił ogień w rogu chaty, w palenisku zrobionym z wielkich kanciastych kamieni. Bale wokół były osmolone, dym wylatywał przez otwór w dachu.

— Jest rano — powiedział leśnik.

Obcy wstał. Wciągnął buty.

— Noga? Jak noga?

— Moja strzelba.

— Zrobię panu kaszy kukurydzianej. Do szosy ma pan dobre trzy godziny na piechotę.

— Niech mi pan odda strzelbę.

Leśnik otworzył drzwi. Był szary, wilgotny poranek, czubki sosen tonęły jeszcze we mgle. Leśnik zniknął gdzieś ;

38

za domem, a potem wrócił ze strzelbą, zawiesił ją na tym samym drzewie, z którego zabrał ją poprzedniego wieczora.

— Tam wisi. Obok jest droga.

— Mówi pan, trzy godziny na piechotę? — upewnił się obcy i ruszył w drogę.

— Trzy. — Leśnik ścisnął łeb psa kolanami i patrzył, jak obcy się oddala. — Szkoda, może gdyby pan został jeszcze

parę dni, jakoś byśmy się polubili.

Przełożyła Małgorzata Komorowska-Fotek

## DZIEŃ GÓRNIKA

To nie była typowo kopalniana okolica. Była tu zaledwie jedna górnicza osada, otoczona z jednej strony lasem, a z drugiej stromym górskim zboczem, lecz mimo to także tutaj co roku obchodzono Dzień Górnika. W wiosce, położonej siedem kilometrów niżej, była stacja kolejowa i rampa. Także stamtąd ciężarówkami dowożono ludzi do pracy w kopalni. Teraz w połowie drogi między dwoma wioskami, w miejscu gdzie dolina nieco się rozszerzała, znajdowała się przerzucona przez potok kładka, a po obu brzegach strumyka porozstawiano namioty i stragany. Cieśle pracowali w deszczu całe sobotnie popołudnie. Padało również w nocy i mimo że nadal kropił zimny kapuśniaczek, wczesnym rankiem górnicy z rodzinami zeszli do doliny. Mieli w swej górniczej wiosce gości: dwóch teologów, którzy, co prawda, przedstawiali się jako prawnicy. Przyjechali poprzedniego popołudnia i natychmiast poszli rozejrzeć się po okolicy. Pokręcili się trochę przy kręgielni, a potem poszli obejrzeć szkołę. Mówili wszystkim, że są prawnikami i że przyjechali tu na wycieczkę.

Także oni w towarzystwie młodej nauczycielki i przedszkolanki przyszli świętować. Samotność i bezlitośnie  
41

długie wieczory w wąskiej dolinie sprawiły, że kobiety były bardzo szczęśliwe, gdy tak szły z chłopcami u boku, otoczone odświętnym, gęstym tłumem — jakby tylko na to spotkanie czekały. Chciały się schronić przed zimnymi kroplami deszczu. Udało im się znaleźć bardziej suche miejsce pod wielką choiną, gdzie zaczęli grać w remika. Ziemia była tu czysta, bowiem potok co miesiąc wylewał i zgarniał wszystkie śmieci. Po jakimś czasie przerwali grę, by siedząc pod drzewem, przyglądać się świętującym. Jeden z teologów zagadnął przedszkolankę i udali się na spacer między namiotami. Nauczycielka i drugi teolog zostali na kocu i rozmawiali.

Gdy tamtych dwoje wróciło, nauczycielka wyciągnęła z niebieskiej, plastikowej torby kanapki, rozłożyła je na wilgotnej torbie i zaczęli jeść. Kanapki były zawinięte w papier, na którym były namalowane przez dzieci kolorowe obrazki, jakie zwykle widuje się na szkolnych korytarzach. Krople deszczu powoli zamazywały kolory i nazwiska uczniów na niepotrzebnych już rysunkach.

Tymczasem nadjechała nowa grupa. To ci, co pracowali na nocnej zmianie. A po szychcie starannie się wymyli, odpoczęli chwilę i włożyli odświętne ubrania. Teraz wszyscy się witali, wreszcie spotkały się trzy zmiany. Pili czystą wódkę. Teologowie cieszyli się, że z nimi też piją i że nie mają pretensji o kobiety. Ale górnicy niewiele o to dbali, wiedzieli, że jakby co zawsze przyślą im nową nauczycielkę. Zresztą tu jeszcze żadna nauczycielka nie wyszła za mąż.

Jeden z teologów poszedł do namiotu, gdzie sprzedawali piwo, kupił cztery butelki i ustawił je w potoku, żeby się schłodziły. Jeszcze raz zagrali w remika. Siedzieli tak

42

blisko siebie, że z łatwością mogli zaglądać sobie w karty, ale nikt się tym nie przejmował.

Przez firankę mżawki widać było, jak ludzie, zataczając się, beztrąsko krążą wokół straganów, jak mokną na deszczu ubrani w starannie wyprasowane koszule, które już od dwóch, czy nawet trzech tygodni czekały, aż zostaną włożone na wyszorowane do czysta ciała. Teolog, który się temu przyglądał, milczał, by słowami nie spłoszyć wtulonej w niego przedszkolanki. Byli na wycieczce. I póki piwo się im nie schłodziło, pili czystą wódkę.

Nagle koło południa paru ludzi ruszyło prędko w górę drogi. Kilku zaczęło biec. Niektórzy na przełaj, przez potok, bo sklecona naprędce kładka okazała się zbyt wąska. Niedaleko, na pierwszym zakręcie zobaczyli wywróconą ciężarówkę na węgiel, cały ładunek leżał w potoku. Droga była śliska. Kierowca pewnie planował, że zrobi jeszcze ostatni kurs, rozładuje i zaraz potem przyjdzie tu świętować. Stał teraz błądy obok auta, a czerwona strużka krwi ściekała mu z kącika ust na brodę i skapywała kropla po kropli. Przerazony mówił, że z tyłu, na lawecie siedział chłopak z kopalni, a teraz nigdzie go nie widać. Obok auta, w potoku, leżała wielka sterta węgla.

Kiedy wyciągnęli spod niej chłopaka, większość ludzi odwróciła wzrok: nie był to miły widok. Tylko jego matka, która dotąd stała z innymi, podeszła teraz blisko i zaczęła mu się przypatrywać. Chłopak wyglądał spokojnie, nie krwawił, cały był umorusany ciemnoszarym, mokrym pyłem. Nawet w ustach miał odłamki węgla.

— Chciał coś powiedzieć — rzekła po chwili milczenia kobieta. — Po co inaczej miałby tak szeroko otwierać usta?

43

Wszyscy się z nią zgodzili: chłopak na pewno chciał coś powiedzieć. Wzięli ją mocno pod rękę, żeby odprowadzić do domu.

— Co on chciał powiedzieć? — pytała kobieta z uporem i przez chwilę wydawało się, że trzeba ją będzie odciągnąć stąd siłą. Wkrótce jednak sama odeszła.

Wieczorem ciągle powtarzała to jedno pytanie. Mieszkała naprzeciw szkoły, po drugiej stronie potoku, i jej głos niósł się po wodzie, w wilgotnym powietrzu.

Jeden z teologów zamknął okno. Powiedział, że nie może już tego słuchać. Ale powietrze w pokoju też było wilgotne i karty zaczęły się sklejać. Więc drugi teolog otworzył okno, on chciał to słyszeć.

„Co on mógł chcieć powiedzieć?”

Siedzieli tak jeszcze chwilę, potem pierwszy z nich zabrał rękę z kolana przedszkolanki i wstał.

— A niech to wszystko szlag... — powiedział cicho. Już

i tak było wszystko jedno.

— Kiedyś tu wrócimy — pożegnali się prędko.

Wyszli na drogę i czekali na okazję, żeby stąd odjechać. Nie byli źli. Chcieli się tylko zabawić. Mówili, że są prawnikami, choć tak naprawdę byli teologami. Z daleka było po nich widać, że to teolodzy, tyle że w tych stronach nikt nigdy na oczy nie widział ani prawnika, ani teologa.

Przełożyła Małgorzata Komorowska-Fotek

#### ODMIENIEC

Ogród Mana sięgał potoku, schodził łagodnie ku wodzie i kończył się wzmocnionymi palikami schodkami, które prowadziły na kamienisty brzeg. Man miał już swoje lata i rzadko trafiała mu się jakaś płatna praca. Jeśli już coś robił, to raczej dla przyjemności, ale nawet ta odrobina frajdy kosztowała go wiele cierpliwości i poświęcenia. Całymi dniami łowił drewno spływające potokiem Izvor. Zdarzało się, że przez cały dzień wypatrywał ze schodków w głębi ogrodu, a na falach potoku nie płynął żaden kawałek drewna. On jednak wciąż uparcie wpatrywał się w wodę i z własnoręcznie wystruganym harpunem w dłoni czekał na grube jak ramię bale drewna albo szare, mokre deski i połamane gałęzie, które potrafił chwycić i bezbłędnym ruchem wyławiać z wody. Jednocześnie stale obserwował sąsiedni brzeg, gdzie u stóp ruin starego rzecznej młyna woda wymyła sobie zatoczkę. Gdy rzeka przybrała, krążyły tam, na spienionej powierzchni, kawałki drewna, które fala zmyła z brzegów w wyższym biegu strumienia. Man uważał je za swoją własność, co jakiś czas wzuwał gumowce i wychodził po nie, wiązał i bardzo ostrożnie przeciągał na swoją stronę.

45

To wszystko było naiwne i trochę dziecinne. Ot, kaprys staruszka. Nie był to jednak jedyny przypadek dziwactwa w tej rodzinie. Syn Mana, wzięty matematyk, znany niegdyś z tego, że potrafił świetnie liczyć w pamięci, pewnego dnia wrócił boso z uniwersytetu i odtąd kryje się w milczeniu po lasach. Zaszywa się rano w gąszczu i wraca do domu wieczorem, je w milczeniu, a potem kładzie się spać na twardym jak kamień łóżku. Z pewnością się nie rozpieszcza. I wygląda to tak, jakby ojciec zadręczał się z powodu syna, a syn z powodu ojca.

Pewnego bezchmurnego, jesiennego dnia, gdzieś na początku października, nad wodę przyleciała mewa. Nie przyleciała sama. Towarzyszyło jej stado kruków, które zachowywały się tak, jakby chciały zagnać mewę w nieprzyjazne jej, obce strony. Kruki otoczyły mewę wachlarzem, krążyły za nią i cięły zygzaki, jednak nie przechodziły do bezpośredniego ataku. Chciały tylko zastraszyć obcego, białego ptaka. Uspokajały się trochę dopiero wtedy, gdy mewa siadała na wodzie.

Mewa krążyła nad wodą, a ponieważ między przełomami i progami potoku trudno jej było znaleźć trochę spo-

kojnej, falującej wody, przysiadła w zatoczce, przy starym młynie, gdzie w czasie wysokiej wody zbierało się drewno Mana. Kruki usadowiły się na spróchniałych gontach i obserwowały przycupnięte poniżej dziwadło, jakim dla tych słynnych z długowieczności stworzeń musiał być biały ptak. Czekwały: niech no tylko polecą.

Również Man obserwował mewę. Zamruczał pod nosem: „Kaczka”. Po czym, wiedziony jakimś wewnętrznym nakazem, odwrócił się i dostrzegł swojego syna, który

46  
ściskając w dłoni krótką, rudą bródkę, patrzył na białego ptaka pływającego po ciemnej wodzie zatoczki. Ściemniało się. Mewa szukała spokojniejszej wody, a syn-tułacz wracał na twarde jak kamień posłanie.

Rano Man nie śmiał zejść na brzeg, wiedział, że — wbrew jego zwyczajom — znajdzie tam syna-tułacza. Że będzie tam stał, w tym samym miejscu co wczoraj, bo uwagę byłego matematyka bez reszty przykuła zatoka, kruki i ptak odmieniec. Może i on myślał sobie: „Kaczka”. Albo że jest tylko jeden i nie czarny, tylko biały. Choć niewykluczone, że pomyślał tylko: „Wielkie nieba. Mewa”.

Przełożyła Małgorzata Komorowska-Fotek  
NOWY MEBEL

Cservenszki wstał skoro świt, nakarmił psy, a potem króliki, po czym zaprzągnął do sań pożyczonego uprzednio konia. Do południa wywoził ciepły jeszcze nawóz na tutejszą chudą glebę. Łopatą układał spore czarne kopce na podmarzniętym śniegu. Tłuste siwe wrony krążyły nad kopcami, póki nawóz jeszcze parował, ale do południa wszystko ściał przymrozek.

Kiedy wrócił do domu, dwoma wiadrami ciepłej wody starannie obmył sanie i zamiótł je do czysta. Włożył kożuszek, na szyi pożyczonego konia powiesił dzwonek, stanął na saniach i ruszył w kierunku wsi. Zatrzymał się koło fryzjera, przywiązał konia za uzdę do słupa telegraficznego i wszedł do zakładu. Kazał sobie wystrzyc włosy na karku. Fryzjer wspomniał Cservenszkiemu, że pytał o niego pewien kierowca tira. Więc Cservenszki poszedł go szukać. Droga rozszerzała się w miejscu, gdzie skręcał potok Repedo. Na zaśnieżonej nawierzchni widać było ślady °pon cholernie dużej ciężarówce. Kręcące się koła zawracającego z trudem na tej drodze tira pozostawiły głębokie zygzaki w zmarzniętym, brudnym śniegu. Na białym śniegu na poboczu stały oczywiście błyszczące meble,

49  
które Cservenszki miał zabrać do domu. Pękata, żółta, jesionowa szafa, ciężkie, rozebrane na części łóżko z wezłowiec, krzesła, grube poduszki i pierzyny, i w końcu olbrzymie lustro. A obok tej sterty skromna, stara, zapinana na paski walizka. To tę walizkę dał córce, kiedy się wyprowadziła. Całą resztę dorobiła się sama, za życia. I teraz to okropieństwo jemu przypadło w spadku.

Zabrał się do dzieła i poustawiał na saniach obrzydliwie wielkie meble. I nie za bardzo zważał, czy się nie porysują. Był zadowolony, że wszystko się zmieściło. Dla niego zabrakło miejsca na saniach, więc szedł obok, dokładnie obok olbrzymiego lustra. W tym lustrze Cservenszki wszystko widział inaczej, bo ustawione tyłem do kierunku jazdy odbijało uciekający do tyłu las po drugiej stronie potoku, i w chwiejącym się na saniach odbiciu krajobrazu widział własną twarz. Aż mu się w głowie zakręciło. Bo największym lustrem, jakie do tej pory w życiu widział, było to u fryzjera. Nie większe od książki z obrazkami. O zmierzchu dotarł do domu ze swoim paskudnym transportem. Powoli, nie śpiesząc się, zdejmował meble z sań w dochodzącym z kuchni świetle. Lustro zostało w kuchni i natychmiast wyczarowało zupełnie obcy obraz drugiej, wewnętrznej izby. Cservenszki ciągle widział w nim swoje nieszczęsne oblicze, a nawet trapiący go głód. Bo od rana nic nie jadł.

Postawił wodę na piecu i poszedł do komórki. Za uszy wyciągnął królika z klatki. Nadal widział siebie w lustrze, jak stawia na progu miednicę i zarzyna nad nią królika. Jak potem przybija go za tylne łapy do stropu i obdziera ze skóry. Widział rzuconą na ziemię, nie większą teraz od kota,

50  
skórkę. Widział potem siebie, jak kroi królika, jak wrzuca kukurydzianą kaszkę na wrzątek i gotuje mamałygę. Nawet kiedy już nie spoglądał w lustro, ciągle miał przed oczami obraz, jak nachyla się nad paprykarzem z królika i łyżką kosztuje dymiącą potrawę. Po czym miesza łyżką w garnku.

Cservenszki przykrył pokrywą garnek i wystawił na parapet uchylonego okna. Wyniósł psom mamałygę, nakarmił króle. Wreszcie mógł zgasić światło. I wreszcie, nie bez ulgi, przestał siebie widzieć.

Przełożyła Małgorzata Komorowska-Fotek  
**POWODZENIE SABOTOW**

Mężczyzna w średnim wieku, w sparciałej czapce na głowie i z olbrzymim tobołem na plecach, chciał sprzedać to, co przytargał, a mianowicie saboty. Ułożył je według wielkości na chodniku mostu i przechadzał się koło swego towaru. Ale nikt nie chciał kupować. Dosłownie go wyśmiano. Komu potrzebne były te ciężkie chodaki z drewna na tutejszych stromych zboczach, krętych ścieżkach, kamienistych drogach, czy też koślawych podłogach letnich kuchni? Być może łatwiej byłoby w nich paradować w pokojach, po wyszorowanych podłogach przykrytych szmacianym chodnikiem, ale tam i tak wszyscy chodzili boso, a nie w sabotach.

Spacerujący po moście mężczyzna w sparciałej czapce szybko doszedł do wniosku, że to nie jego rewir i nie zrobi tu większego interesu. Czy zostanie? No nie. Jutro pójdzie dalej ze swoim towarem. Oczywiście trochę i moda jest

temu winna. Ileż to bowiem bezużytecznych wprawdzie, ale za to modnych rzeczy udało się upchnąć w tych położonych na kamienistych zboczach wioskach i teraz próchnięją sobie spokojnie na dnie różnych starych szaf i skrzyń, nabierając zaprzależ woni.

53

Poskładał więc swoje saboty, zawiązał w toból, zarzucił na plecy i podążył w kierunku kina. Wieczory miał bowiem zawsze wolne. W kinie było pusto, ławki przed ekranem nie były zajęte, a grupka czekających na film widzów skupiła się w kącie wokół grających w szachy. Przyzwyczaili się już do tego i na długo przed seansem tutaj się gromadzili.

Na podium znajdowała się przykryta białym obrusem mała fisharmonia, na której stały szklanki i taca z dzbankiem wody. Popijał ją grający na fujarce liliput. Siedział obok fisharmonii na krześle, a kiedy wstał, był niższy niż na siedząco. Towarzyszył grającemu na gitarze rudzielcowi o zmierzwionych włosach. W taki sposób ćwiczyli sobie w towarzystwie publiczności kinowej.

Mężczyzna w sparciałej czapce usiadł na ławce i samotnie przysłuchiwał się muzykantom. Przesiadł się jednak w pobliże równie samotnie jak on, oczekującej na seans, mocno zbudowanej, jasnowłosej kobiety. Zaczęli rozmowę o kinie, do którego cztery razy w tygodniu można było przyjść na film i nieco się zabawić. Kobieta miała na imię Olga i opowiedziała, że liliput jest zamiejscowy i przyjeżdża w czwartki oraz w soboty, kiedy wcześniej otwierają kino, aby sobie pomuzykować. Ona zresztą też nie jest tutejsza, tyle że właśnie tu owdowiała.

— Wie pan, Olga to nie jest w tej stronie za bardzo lubiane imię.

— Co z tego — powiedział mężczyzna. — Ja mam na imię Ede.

Minęła szósta i Olga zaczęła powątpiewać, czy dojdzie do wyświetlenia filmu. Bo jeśli technik z taśmą nie przyjedzie

54

autobusem o szóstej, to już nie ma co czekać. Ale też nie ma co żałować, bo w końcu miło było posłuchać trochę muzyki.

Na afiszu zapowiadającym film Powrót Stiepy znajdowało się zdjęcie jakiegoś kudłatego zwierzaka i zapewne był to rzeczony Stiepa. Nie zostało to jednak wyjaśnione, bo tego dnia technik nie przyjechał.

Mężczyzna z sabotami raczej o sobie ani o swoich sabotach nie mówił. Nie miałyby to zresztą większego sensu, bo wszyscy i tak wiedzieli kim jest — facetem handlującym sabotami. Kobieta zauważyła, że zrobiło się już późno i zaproponowała, iż może go przyjąć na nocleg. Inaczej będzie musiał spać pod gołym niebem. Handlarz sabotami podziękował za życzliwość. Dodał, że na ogół nie planuje, gdzie spędzi noc, ale jak do tej pory wszystko się jakoś dobrze

układało. Przywykł do wiecznej wędrówki. Jeśli go jednak zapraszają pod dach, to owszem, pięknie dziękuje.

Dom, w którym samotnie mieszkała Olga, był przesiąknięty zapachem suszonych grzybów. Pod sufitem z bali wisiały sznurki z suszącymi się prawdziwkami. A nad nimi harcowały myszy. Niektórzy mówią, że bywają również grzyby pachnące myszami.

— Proszę sobie wybrać — powiedziała kobieta i wskazała na dwa stojące obok siebie toporne wiejskie łoża. — Wiem, że często to nie wszystko jedno które.

— Pomyślałem o tamtym — powiedział zdławionym głosem handlarz sabotami i wskazał na jedno z łóżek.

— Tak, to dobre łóżko, ja też raczej na nim wolę spać.

Nim pan wypije kilka kubków mleka, położę się pierwsza i zagrzeję pościel.

55

Wczesnym rankiem mężczyzna był już na nogach. Stał tyłem do łóżka i przez okno patrzył na okolicę. Kiedy z szelestu pościeli oraz skrzypienia łoża zorientował się, że gościnną gospodyni się obudziła, zarzucił na plecy toból z sabotami. Jedną parę, taką do człapania po domu, osobno trzymał w ręku.

— Pomyślałem, że to dla pani.

— Przyjmuję z podziękowaniem. Już wczoraj, kiedy przechodziłam przez most, spodobał mi się pański towar. Nawet mi przyszło do głowy, żeby za wszelką cenę zdobyć takie saboty.

Przełożył Tadeusz Olszański

PONURAK

Układaniem kaflowych pieców od lat zajmował się wyłącznie jeden człowiek — wypalacz wapna z Repedo. Z cegły byle kto potrafił zbudować tradycyjny w tych stronach piec, ale z kafli tylko on jeden umiał to zrobić, właśnie ten niechlujny ponurak. Kiedy więc w kaflowym piecu wielce szanowanego w okolicy ze względu na świetlaną przeszłość pana Hosdy pękła obręcz, od lat przytrzymująca rozlatujące się kafle, niezwłocznie dano znać wapniarzowi.

Wapniarz był posępnym, upartym człowiekiem. W czasie pracy nigdy nie podśpiewywał, nie gwizdał, tylko mruczał pod nosem i zawsze komuś albo czemuś wymyślał, kłął na to, co było pod ręką, choćby na wapno lub nawet jasne niebo.

Nie wadziłoby, gdyby wapniarz przyjechał kilka dni wcześniej. Wtedy można byłoby napalić w pokojnym, właśnie w tym kaflowym piecu. Owego dnia bowiem, w którym przybył wapniarz, w odwiedziny do pana Hosdy przyjechał również pewien dziennikarz. Zajechał szarą wołgą, ale samochód zatrzymał się dobry kawałek przed dworkiem, na zakręcie podjazdu, gdzie kierowca, starszy człowiek o donośnym głosie, wyprosił swego pasażera

57

prosto w błotnisto-śnieżną breję. Groźnie machając ręką,

wskazywał mu, jak dojść do domu pana Hosdy.

— Co pan tak wolno lezie! — poganiał. Kierowca wołgi nie pierwszego dziennikarza tu przywoził. Teraz się śpieszył, bo było już dość późne popołudnie.

— A kogóż to tutaj widzimy? — zapytał ponurak, kiedy wyjrzawszy z pokoju, zobaczył pochylonego nad kuchennym stołem z rozłożonymi na nim różnymi papierzyskami młodego człowieka. — Ki lichy go tu przywiodło?

— O, nic specjalnego — powiedział stary pan Hosda. — Człowiek z miasta nas odwiedził.

— Miastowy? A czego chce?

— A nic specjalnego, pogadać tylko.

Stary Hosda krążył między kuchnią i pokojem, w którym ponurak układał kaflowy piec. Nieco później jednego i drugiego, ale każdego z osobna, częstował kwaśnawym winem i od niechcienia odpowiadał na pytania dziennikarza.

— O tym już mówiłem — mruknął.

— Wiem, ale nie mnie — powiedział dziennikarz.

— Mówiłem już o tym — powtórzył — i było w gazecie.

— Wiem, czytałem — powiedział dziennikarz. — Mimo to i ja chciałbym o tym napisać.

Stary Hosda nawet nie przysiadł się do dziennikarza, a to podawał wino wapniarzowi, a to mieszał stojącą w garnku na skraju kuchni karmę dla drobiu, a to dokładał polan do paleniska.

— Niech no pan mi powie, czego tu chce ten człowiek? — upierał się wapniarz.

58

— Mówiłem już, że nic specjalnego — wyjaśnił Hosda. — Tak sobie gadamy.

— A obchodzi go takie gadanie?

— Oczywiście — odpowiedział Hosda. — To i tamto chciałby wiedzieć.

— O, taka jego mać — powiedział wapniarz.

Po chwili, choć nie ukończył jeszcze pracy, przeszedł do kuchni i przysiadł się do stołu. Przekrzywiając głowę, patrzył z bliska wprost w oczy dziennikarzowi. Podniósł do ust brudne paluchy, jakby je chciał oblizać, potarł jeden palec o drugi, pokazał dziennikarzowi, że czyste i wziął w rękę jedną z zapisanych kartek.

— Pokaż no — powiedział. — Co to ma być?

Coraz bardziej przybliżał papier do oczu, odwrócił się, w końcu wytarł kartką dłoń i wrzucił ją do stojącego pod kuchnią kosza z opalem.

Stary Hosda jeszcze długo potem próbował go uspokoić w trakcie układania kafli.

— Ależ my tylko rozmawialiśmy. Przecież dobrze słyszeliście, tylko gadaliśmy.

— Ale on wszystko zapisywał — odmruknął ponury wapniarz. — Nie widział pan, że wszystko zapisuje?

Przełożył Tadeusz Olszański

## GORSZY DZIEŃ NASZEGO SZOFERA

Jak dotąd, nie zauważyłem niczego szczególnego w sposobie bycia Cezara Dujmonda, który każdego ranka po przyjeździe do pracy, sączył kawę w recepcji przy moim pulpicie. Nigdy nie dostrzegłem w nim niczego nadzwyczajnego.

I dziś również przez szyby holu widziałem, jak punktualnie o szóstej zajechał swoją furgonetką pod tylne wejście hotelu, zostawiając ślady kół na świeżym śniegu. Wyszedł z kuchni ze swoją kawą, rozsiadł się po drugiej stronie pulpitu, dokładnie naprzeciw mnie i zaczął zwyczajowo siorbać. Spod rozpiętej bekieszki wysuwa się brzydki, niebieski szalik w kratę, a Dujmond nie wiadomo gdzie patrzy, mrużąc rytmicznie oczy. Dokładnie tak, jak zwykle, ale dziś coś nie jest z nim w porządku.

Oparty łokciami na moim pulpicie pyta, czy mam wolny pokój. I to takim tonem jak byle gość, który chce zatrzymać się w hotelu. Oczywiście, odpowiadam, mam wolnych miejsc od groma. To daj mi szybko jakiś pokój! Już, zaraz. Potrzebny jest mu wolny pokój, bo chce być sam, naturalnie zapłaci, jakże inaczej. Nie wyobrażam sobie tego w żaden sposób — tłumaczę — bo i nie mogę mu wydać żadnego pokoju, gdyż jest pracownikiem tego hotelu, konkretnie

61

szoferem, a w ogóle co to za obyczaj, aby w normalnym czasie pracy wynajmować pokój w hotelu, w którym zarabia się na chleb. No, nie. To u nas niemożliwe!

— Wiesz dobrze, Cezar, że nie wolno mi dać ci pokoju — mówię. — U nas nie wchodzi to w rachubę — i przecząco kręcę głową.

Kierowca ma przecież u nas do dyspozycji służbowe pomieszczenie z leżanką. Wstawiono ją specjalnie dla niego, żeby tam sobie odpoczywał, kiedy nie ma żadnego kursu lub gdyby, broń Boże, zachorował.

— Powiedz, że źle się czujesz, że zachorowałeś — powiedziałem. — Masz prawo być chorym. Coś cię zabolowało albo czujesz, że za chwilę się rozłożysz. A wtedy nie możesz przecież prowadzić.

— Nie jestem chory — on na to.

To rób, co chcesz — pomyślałem i zacząłem się gapić przez wielkie okna holu na zaśnieżony, pusty parking. Jest wcześnie, dopiero się rozjaśnia. Śnieg w świetle rtęciówek jest żółtawy, gładki, niczym jakaś apteczna maź. Nic w tym śniegu ładnego, ale w co mam się wpatrywać?

Zbliża się szum odkurzacza, sprzątaczką czyści środkowy pas chodnika i Dujmond Cezar musi się odsunąć.

Widzę, jak podnosi się z trudem, bo najchętniej zapewne przykleiłby się do pulpitu. Szerokim łukiem omija sprzątaczkę i odkurzacza, by za chwilę zająć identyczną pozycję na drugim końcu recepcyjnego pulpitu, na wprost szklanej szafki wypełnionej kolorowymi zdjęciami. Patrzy na fotki, które w pełni potwierdzają to, o czym dobrze wiemy,

a mianowicie, jaki imponujący widok na okoliczne góry rozpościera się z tarasu na najwyższym piętrze naszego

62

hotelu. Stoi tam też atrapa orzeźwiającego drinka w omszałej szklaneczce z karteczką: obowiązujący wstęp — 7 lei. Odwracam się od naszego kierowcy i przez rozsuwaną szybę centrali telefonicznej patrzę na telefonistkę Juce. Czekam, aż zauważy, że się jej przypatruję. I wzorem przemądrzałych staruszków, którzy w czasach mego dzieciństwa, układając sprytnie dłonie oraz ruszając palcami, rzucali na ścianę cienie różnych zwierzątek, aby nas zadziwić, tak i ja teraz formuję zajączka ze śmiesznymi uszami i czekam na efekt.

— Ja tylko o coś cię poprosiłem — słyszę za sobą głos Dujmonda. Odwracam się więc do niego i widzę, jak powoli przesuwa się łokciami w stronę pustej już filiżanki po kawie.

— Wiesz dobrze, jak z tym bywa — odpowiadam. — Obaj byśmy podpadli.

Juca puka w szybę i podaje mi sporą kromkę chleba. Na posmarowanej szczodrze masłem kromce gruby na pół palca plaster pasztetu z zająca i pokrojony ogórek konserwowy. Sięgam po tę kanapkę z taką radością, jakbym całe życie chował się na zajączym pasztecie, a nie na mamalądzie z gulaszem. W rodzinie Juci jest sporo myśliwych, wybornych zresztą strzelców, stąd ten pasztet. Zaraz też biorę do ust potężny kęs, bo chcę, aby Juca widziała, jak mi smakuje.

Uśmiechamy się tak do siebie, ja z pełną gębą, ale dziewczyna nagle daje mi znać oczyma, żebym się odwrócił. Oczywiście wpiery muszę przełknąć to, co mam w ustach, bo przecież recepcjonista nie powinien wdziękzyć się do gości z pełną gębą.

63

Czterech mężczyzn w kożuszkach stoi przed recepcją. Natychmiast ich poznaję: trzech z nich to spółdzielcza wierzuszka z terenu, która po nocy spędzonej w hotelu, co śród rano wyrusza na zebranie zarządu. A czwarty to ciągle ten sam Dujmond, szofer. Odkładam kromkę chleba do otwartej szuflady. Noclegi opłacone, podaję więc im rachunki. Sięgam po klucz, ale jest ich już tylko trzech, a klucza ani śladu. Żegnaj się jeszcze z nimi, mówię do widzenia, do przyszłego wtorku. A Cezar Dujmond spokojnym krokiem, machając tymże kluczem, zmierza w stronę windy. Szybko wychodzę z za lady, jakbym chciał za nim pobiec. Ale powstrzymuję głos, nie będę przecież krzyczał ani wyrywał mu klucza z dłoni, bo nie znoszę wszelkiej agresji. To nie w moim stylu. Patrzę tylko z niechęcią na Dujmonda, co z niego za człowiek. Drzwi windy zasuwają się i nasz kierowca jedzie na siódme piętro do ledwie wystygłych po gościach łóżek pokoju 701. To też kwestia gustu, myślę, ot tak sobie wchodzić do niewywietrzonego pokoju, w cudzą

pościel. Wracam, sięgam do szuflady po kromkę z pasztem i powoli, obgryzając najpierw dookoła skórę, zjadam całą kanapkę. Cóż to za facet ten Cezar Dujmond?

— Kim jest ten Dujmond, co to za człowiek? — pytam Juce, przechylając się przez okienko. — Bo wiesz... — i opowiadam jej od początku całe zajście.

— I zapewne zamknął się w tym pokoju na klucz — kończy Juca moją opowieść. Kiepska sprawa, myślę i próbuję sobie wyobrazić, co też nasz kierowca robi zupełnie sam w tym hotelowym pokoju. A Juca już łączy z 701, abym z nim porozmawiał. Dujmond natychmiast podnosi słuchawkę.

64

— To chyba ty, prawda — płaczę słowa. — Powiedz mi, co mam teraz robić?

— Potraktuj mnie jak najzwyczajniejszego gościa, oczywiście płacę — odpowiada cicho Dujmond. — Zaraz przysię ci dowód osobisty.

— Jeszcze czego! Przecież nie będę cię wpisywał!

— To nic nie posyłam.

Mówię Juci, że kierowca zażyczył sobie nawet zameldowania. A może i śniadanie każe sobie jeszcze podać do pokoju. W gruncie rzeczy powinienem mieć już niezłego stracha. Choć nie jestem w końcu nerwowym.

— Porozmawiaj z nim jeszcze — mówi Juca. — A swoją drogą jest przecież dość wolnych pokoi.

— Jest ich od groma — mówię. Powiedziałem to zresztą Dujmondowi.

Niech to cholera weźmie, kompletnie nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć!

Pod oknami holu zaczynają grzać kaloryfery. Przeciągając się, wychodzę z recepcji i gaszę palące się wzdłuż kolumn holu lampy. Na placu przed hotelem ciągle, delikatnie mówiąc, paskudnie połyskuje śnieg, choć nad miastem już rozpościera się fiolet poranka. Wygodnie rozsiadam się w jednym z foteli i czekam na płynącą od strony kaloryferów pierwszą falę ciepła, która za każdym ruchem wahadłowych drzwi przynosi mi prosto w nozdrza powiew świeżego powietrza. Jeszcze chwila i zasnę, ale nie poddaję się ogarniającemu mnie błogostanowi. Mam w tym sporą wprawę. A jednak otrząsam się, gdy ktoś dotyka mojego ramienia. Patrzę, a to nowa kawiarka zza baru. Bardzo podobna do jednej z moich kuzynek. Dyskretnie zwraca

65

mi uwagę, że pan Nemes już je śniadanie i wskazuje nie na restaurację, lecz na kuchnię, jakbym nie wiedział, gdzie szef zwykł się posilać. Zrozumiałe, że wchodząc do recepcji, powinien zastać mnie na stanowisku, a nie w miękkim fotelu. A i z kierowcą, nim Nemes do mnie przyjdzie, powinienem jeszcze porozmawiać.

Dujmond z miejsca zadaje mi pytanie:

— Co tam słysząc? Co się dzieje?

— Nic się nie dzieje — odpowiadam. — A ty co robisz?

— Ja? Nic.

— Nic?

— A co miałbym robić? — powiada.

Nemes wita mnie tylko wzrokiem, jego spojrzenie, jak zwykle, zatrzymuje się gdzieś na wysokości mojego krawata. Pyta, czy są nowi goście? Odpowiadam, że nikogo nie ma, wieje pustką. Przez chwilę stoi nade mną, twarz ma bez krzty wyrazu, wygląda niczym zanurzona w wodzie heblowana deska. Po czym rusza w kierunku swego biura. Nie wiem, w jaki sposób wyrobił sobie ten nie mówiący wyraz twarzy, ale zrobił to perfekcyjnie i wysoko z tym zaszedł. Kiedy z nim rozmawiam, podobnie jak on, zawsze staram się być równie bezbarwnym, cichym i stanowczym.

Dyscyplina to nie guma do żucia.

Już wpół do ósmej, a ciągle nic się nie dzieje. Wyciągam z kieszeni, nie większą od kieszonkowego zegarka, mini-ruletkę. Działa na sprężynowy przycisk, który uruchamia koło z cyframi pod tkwiącą w jednym miejscu kulka. Ustalam w myślach liczbę — od jednego do trzydziestu sześciu. Jak wyjdzie, to wygrywam! Nocami, głównie kiedy Juca,

66

niczym w bibliotece, czyta książki, z nudów, które wywołuje ten ogromny i pusty godzinami hol, gram w ruletkę i jakbym obstawiał w prawdziwym kasynie, prowadzę sobie statystykę częstotliwości wychodzących czerwonych i czarnych pól oraz parzystych i nieparzystych numerów. Zdaniem Juci jest to dość prymitywne i ogłupiające zajęcie. Czy nie lepiej, żebym sobie kupił książkę i obliczał, jakie litery najczęściej występują na jednej stronie? A nawet mógłbym gdzieś te swoje odkrycia przekazać. Ale po co mi to proponuje, skoro wie, że nie lubię czytać.

Patrzę, a przed recepcją już stoi Nemes. Z pozbawioną wyrazu twarzą pyta, gdzie jest Dujmond. Czy nie widziałem go dziś rano?

— Dujmond?! — powtarzam niepewnie.

— Tak, Dujmond.

Przecząco ruszam głową, krzywię usta i patrzę wprost w oczy szefowi.

— Jeszcze go dziś nie widziałem.

Nemes już gna gdzieś dalej, a ja obracam się na swoim fotelu w stronę centralki. Mówię do Juci, że ja dziś nie widziałem Dujmonda. Ja też go nie widziałam — odpowiada — ale niewykluczone, że on nas widział! No to co teraz będzie? Dobrze byłoby to wiedzieć.

Kierowca odzywa się, jakby tylko na to czekał.

— Szef cię szuka — mówię.

— Tak przypuszczałem.

— Kryłem cię, przez ciebie skłamałem.

— Siebie kryłeś — on na to.

— No to siebie, ale przez ciebie.

— No to mnie nie kryj — i odkłada słuchawkę.

67

Nie kryjemy go więcej, mówię do Juci, prosił nas o to. Ruszam w stronę biura. Sprzątaczką odkurza korytarz. Zatrzymuję się przed uchyloną szybą pokoju Nemesa i głośno pytam sprzątaczkę, czy widziała dziś naszego kierowcę? Pewnie, że widziała, pił przecież kawę w recepcji, dokładnie naprzeciw mnie. Klepię się więc w czoło i pukam w okienko Nemesa. Odsuwa szybę i patrzy na mnie wyczekująco.

— Lina właśnie mówi, że widziała naszego kierowcę — mówię. — Pił kawę w recepcji na moim pulpicie. Dujmond musi więc gdzieś tu być.

— To ja też już wiem, że tu jest — odpowiada Nemes i zasuwa szybę.

Świetnie, mógłbym jeszcze coś powiedzieć, ale skoro już wie, nie będę się dalej wysilał.

W recepcji już na mnie czekają. Wreszcie jest kilku gości i mogę zająć się swoimi obowiązkami. O dziesiątej znów przychodzi Nemes. Wydaje polecenie, że gdyby pojawił się kierowca, to niech nawet do niego nie wchodzi, tylko natychmiast zawiezie brudy do pralni.

— Nie kryłem cię, bo o to prosiłeś — mówię Dujmondowi przez telefon. — Powiedziałem, że jesteś w budynku. Więc bądź tak miły i przychodź.

— Co to, to nie — odpowiada.

— Masz zawieźć brudy do pralni.

— Nie pojedę tam.

— To gdzie, do cholery, możesz jechać?

— Nigdzie!

Dodałbym coś jeszcze, ale Dujmond odkłada słuchawkę. Pomyślałem, że mogą mnie za to nawet wyrzucić z pracy.

68

Nachylałam się do Juci i mówię, że chyba mnie wyleją z pracy, a wtedy przez kilka dni byłbym bardzo zmartwiony.

— Ciebie raczej nigdy — uspokaja mnie Juci. — Nemes dobrze wie, że nawet jemu nie wydałbyś pokoju. Jesteś jego ulubieńcem.

— Na czym to opierasz?

— Tak mi się widzi.

— Słowem, według ciebie jestem dobrym recepcjonistą.

— Spokojnie, jesteś dobry, naprawdę.

Spoglądam na Juci ze zrozumieniem, jasne, to mądra dziewczyna. Ale niby dlaczego ten Nemes miałby mnie cenić? Czy to nie przesada? I niby za co miałby mnie lubić? A może jeszcze w domu opowiada o mnie swojej żonie, która mnie zresztą zna po nazwisku i być może czasem sobie nawet przypomina. Dajmy temu spokój.

Po jedenastej z termosem w ręku podchodzę do baru i proszę, żeby barmanka naląła mi kawy. W domu też pijam tę kawę. Dziewczyna szarpie rączkę ekspresu i pyta mnie, jak stoi nasza drużyna. Marnie — odpowiadam — wie-

czorem oberwali jeden do siedmiu, ale pomyliłaś mnie ze zmiennikiem, który szaleje na punkcie naszych hokeistów. Barmanka powie jeszcze, że w tym kelnersko-hotelowym fachu błogosławieństwem jest zapamiętywanie twarzy ludzi, z którymi się pracuje. No i ciach, po rozmowie. Barmanka rzeczywiście podobna jest do mojej kuzynki, która wcześniej została sierotą. Ta kuzynka podobała mi się nawet. Pomyślałem wtedy, że wezmę ją pod swoje skrzydła, ale mówią, że między krewnymi nie jest to bynajmniej zdrowe. Inna sprawa, że i tak nic by z tego nie wyszło, bo dziewczyna dostała się na studia i wyjechała.

69

Ledwo wracam, a w recepcji już dzwoni wewnętrzny.

— Zaraz przyjdzie zmiana — mówi Dujmond — więc może lepiej, jak prześlę ci dowód osobisty.

— A idź z tym w cholere, jak już nie chcesz sam tu zejść.

— Bo powinni wiedzieć, w którym pokoju jestem.

— Nikogo to nie obchodzi — odpowiadam. Ramieniem przyciskam słuchawkę do ucha i czekam, czy jeszcze coś powie, ale chyba skończył. Wtykam w usta jednego stuyvesanta, zapalam i z absolutnie obojętnym wyrazem twarzy maszeruję w kierunku dyrekcji. Przez okienko zaglądam do środka.

— Szefie — zaczynam — nasz kierowca jest pod 701.

— Wiem — odpowiada Nemes.

Chwilę czekam, może raczy na mnie spojrzeć. Ale on dalej coś skrobie.

— Pomyślałem, że może pan przemówi mu do rozumu.

— Nie, nie — odpowiada Nemes. — Niech tam zostanie, póki chce.

— Oczywiście.

— Dowiemy się, jak długo chce tam siedzieć — mówi Nemes i wreszcie podnosi na mnie wzrok. — No i głównie z jakiego powodu.

— Oczywiście.

— No, widzicie.

W trakcie liczenia kasy znów dzwoni Dujmond.

— Czy ktoś mnie szukał?

— Nikogo to nie obchodzi, nie licz na to — odpowiadam szorstko.

70

— Dlaczego tak sądzisz?

— Bo nikt cię nie szuka — i odkładam słuchawkę.

Biorę kwitariusz, kasę i zanoszę do księgowości. Narzekają, że mało, ale to nie moja wina. Na korytarzu natykam się na swego zmiennika Freda. Szybko informuję go, że 701 jest zajęte, Nemes o tym wie, więc spokojnie, bez nerwów. Nic więcej mu nie mówię, bo i tak się przecież dowie.

Kiedy już przebrany wchodzę do holu, Juci wybiega naprzeciw, łapie mnie pod rękę i ciągnie za jedną z kolumn.

Dujmond znów dzwonił. Powiedział, że woli przekazać to naszej zmianie, bo lepiej, kiedy to my pierwsi się o tym dowiemy, a nie kto inny. Rankiem, w drodze do hotelu, przejechał przechodnia. Nie zatrzymał się. Zostawił samochód przy tylnym wejściu do hotelu. Resztę już wiemy. Musiał się uspokoić, na chwilę wyłączyć. Teraz już mu przeszło.

I prosi, abyśmy zgłosili wypadek.

Przez chwilę stoję jak oniemiały, nie widzę Juci, patrzę pod nogi, na dywan, który jakbym miał przy samej twarzy. Nic mi nie przychodzi do głowy. Chyba ze dwie minuty. Mówią wprawdzie, że to niemożliwe, bo mózg pracuje bez przerwy. Ale chyba nie u mnie.

— Ten Dujmond opowiadał mi dziwne rzeczy — mówię do Nemesa.

— Co dla was to „dziwne” znaczy?

— Powiedział, że przejechał człowieka.

— Wiem już — mówi Nemes.

— I teraz chce, abyśmy to zgłosili.

— A byliście przy tym, widzieliście?

— Nie!

— To idźcie do domu się przespać.

71

— W porządku — odpowiadam i wychodzę.

Przed hotelem wręczam Juci na chwilę teczkę, aby odgarnąć śnieg z bocznego lusterka mojego trabanta. Wprawdzie jest czyste, ale mogę to stwierdzić dopiero wtedy, kiedy odbijające się w nim niebieskawo chmury przesuwiają mi się dosłownie pod samym nosem. Zadzieram głowę, patrzę na niebo, na którym między dwiema szybko przepływającymi chmurami ulokowała się czarna i nieruchoma smuga jakiegoś dymu. Zapewne z okrutnie kopącego, olbrzymiego, starego autobusu.

Zapalam silnik i mój kochany trabancik dostaje takich drgawek, że spore płaty śniegu same spadają z bagażnika. Kiedy tak się toczymy w dół, w stronę miasta, Juca zadaje mi pytanie:

— A co teraz będzie z Dujmondem?

A co ma być, zastanawiam się chwilę. Ktoś z całą pewnością wyświadczy mu przysługę, na którą liczy, i doniesie. Choć na pewno byłoby lepiej, gdyby to sam załatwił i zgłosił gdzie trzeba.

— Nemes ma swój rozum — mówię. — Przetrzyma go, zmęczy, zaczeka, aż Dujmond sam zgłosi wypadek. To tylko kwestia czasu.

Przed skrzyżowaniem w lewo w ulicę Rosenbergów parkuję przed sklepem. Zostaję w samochodzie, a Juca idzie po zakupy. Wychodzi po piętnastu minutach. Z daleka widzę, że z siatki wystaje główka zielonej sałaty oraz pęczek rzodkiewek. Reszty mogę się tylko domyślać: słoiki grzybków i szparagów, puszka szpinaku, same zieleniny, za którymi bynajmniej nie przepadam. Ale nie jest też powiedziane, że zaprosi mnie dzisiaj na obiad.

— Wejdiesz? — pyta zapraszająco, kiedy podjeżdżamy pod bramę.

— Skoro już tu jestem, to przelknąłbym kapiącą od tłuszczu jajecznicę na boczku.

Padam na pierwszy fotel, dosłownie zasypiam. Ale nie wolno mi poddać się senności, jadę autem, drogi są dość śliskie. Wyjmuję swoją ruletkę, naciskam, wychodzą różne cyferki.

Kiedyś o świcie, gdy Dujmond popijał przy moim pulpicie kawę, pokazałem mu swoją zabawkę. Spojrzał na mnie jak na przygłupa, ale w końcu poprosił, abym i jemu ponaciskał. Stawia na trzydzieści pięć, bo to jego rocznik.

Teraz więc też naciskam w jego imieniu, może wyjdzie ta Dujmondowa trzydziestka piątka. Ale nie, jest czwórka, zero, jedenaście, piętnaście, dwadzieścia dziewięć, znów czwórka i trzydzieści jeden. Pięć czarnych i dwa czerwone, cztery parzyste i trzy nieparzyste. I jeszcze jakieś inne liczby, których ze względu na ogarniającą mnie senność nie jestem w stanie zapamiętać, a co dopiero wymienić.

Przełożył Tadeusz Olszański  
PRZYBYCIE NA PÓŁNOC

Spodziewałem się zobaczyć morze już z okien pociągu. Ale po wschodniej stronie falowały tylko upstrzone wierzbami pagórkowate łąki, a mgły unoszące się wczesnym rankiem, pod wpływem słońca, zabieliły horyzont. Pociąg zmierzał prosto na północ, a pod zbliżającą się coraz bardziej brunatną pokrywą dymu znajdowało się zapewne położone nad zatoką miasto. Kolejowe tory biegły wśród białych domów z wysokimi dachami oraz poczerniałych od dymu budynków z czerwonej cegły. Pierwszy raz w życiu wybrałem się na północ.

Na środku peronu wyczekiwała opalona dziewczyna.

Spojrzała na mnie i moje bagaże, ale kiedy zbliżyłem się do niej, jakby mnie nie zauważyła. Podróżowałem z przewieszoną przez ramię torbą oraz wielką tekturową teczką na projekty. Miałem się przesiąść na szybką podmiejską kolej, ale pomyślałem, że lepiej będzie przedtem wstąpić na herbatę. Dziewczyna z peronu też chciała się napić herbaty i stanęła za mną w kolejce, a potem z gorącym kubkiem w ręku przysiadła się do mego stolika. Była ładnie opalona, nosiła džinsy i džinsową bluzę, a na szyi miała zawieszony na skórzanych rzemykach kieszonkowy zegarek,

75

który kołysał się na jej gładkiej skórze tuż nad pierwszym rozpiętym guzikiem bluzy. Nic pod tą bluzą nie miała. I tu, na północy, trwało jeszcze lato.

Naraz, ni stąd ni zowąd, odłożyła łyżeczkę i wyciągniętym ponad kubkiem wskazującym palcem dotknęła mojej dłoni. I nawet nie uśmiechając się, powiedziała, że chyba to właśnie mnie szuka. Ojciec wysłał ją — Ewę Wędzińską — po mnie na dworzec. Tak więc razem wsiedliśmy

do kolejki, która zawiozła nas do Oliwy. Trzymając mnie za przegub, niby ciepłymi kajdankami, prowadziła przez perony i puściła dopiero wtedy, kiedy usiedliśmy. Pachniała niezwykle świeżą korą.

— Będziesz u nas mieszkał — powiedziała.

— Tylko kilka dni — odpowiedziałem.

— Zostaniesz u nas cały czas — dodała i wskazującym palcem znów dotknęła mojej ręki. A potem przykryła ją całą dłonią.

Teczkę z projektami oddałem w oliwskich zakładach tekstylnych. Były to wzory na ogłoszony przez nich konkurs. Może nawet je wykorzystają. Właśnie w tym celu przyjechałem. I żeby odwiedzić Tadeusza Wędzińskiego. W bramie fabryki Ewa, jakby rzeczywiście bała się o mnie, ponownie chwyciła moją rękę. A teraz pojedziemy obejrzeć morze — powiedziała. Przejechaliśmy dwie-trzy stacje. Pociąg pędził po wysokim nasypie, przez zalesione zbocza, aż nagle po prawej stronie, w dole, zarysował się zalesiony brzeg i ciemniejące niebo, pod którym w oparach falowało morze. Stacja nazywała się Kamienny Potok, a z peronu prowadziły schodki w dół na szosę, a za nią był las i domy wśród drzew.

76

— Może coś zjemy? — zaproponowała Ewa Wędzińska. — Czy lubisz ryby?

— Raczej nie.

— To możesz zjeść hot doga.

Jedliśmy na stojąco koło przeszklonej budki. Ewa smażyła rybę z bułką, a ja hot doga. Ułamała kawałeczek usmażonej na chrupko ryby i dotknęła nim moich ust. Zaczekała, aż otworzę usta, i delikatnie wsunęła.

— My tu jemy dużo ryb — powiedziała.

Kupiliśmy też za siedem złotych butelkę karmelowego piwa i popijaliśmy na zmianę. Włosy Ewy Wędzińskiej rozwiane podmuchami wiatru od morza ocierały się to o butelkę, to o moją twarz. I znowu poczułem zapach brzozonej kory.

— Zaczekaj troszeczkę — powiedziała, gdy opróżniliśmy butelkę. Z kieszeni bluzy wyjęła zdjęcie. Byłem na nim razem z Martą. Tadeusz Wędziński zrobił nam to zdjęcie osiem lat temu.

— A gdzie ona teraz jest? — wskazała palcem na Martę.

— Nie wiem — odpowiedziałem.

— Jak to nie wiesz?

— Rozwiedliśmy się.

— To ja ją odetnę.

— Odcinaj.

Szerokim szlakiem ruszyliśmy w kierunku lasu, ale gdy tylko doszliśmy do drzew, nasza ścieżka wśród krzaczków jagód rozeszła się w drobne dróżki. Szliśmy wzdłuż cichego strumyka, który niósł wcześniej poźółkłe klonowe i brzozowe liście. Zdarzały się też ciemne sosny z nie-

foremnymi korzeniami, które strumyk omijał szybkim

77

nurtem. Las pachniał tak samo jak Ewa. Była to woń opadłych liści, odartych brzozowych pni i może całego tego wybrzeża.

Ciągle nie słyszeliśmy szumu morza, choć musiało już być całkiem blisko. I rzeczywiście gęsty las raptownie się urwał. U podnóża drzew białał morski piasek. Plusk potoczku całkowicie ucichł i bezgłośnie wpływał do morza. Przy ujściu leżała odwrócona dnem do góry łódź. Jej żebra znaczył naniesiony wiatrem piach.

Ciągnąca się między skrajem lasu i brzegiem morza plaża jaśniała w blasku słońca. Była wyludniona i aż do zaznaczonego ciemnym, zalesionym cyplem Orłowa całkowicie pusta. Tylko jakiś chudy, czarny psiak biegł samym skrajem, wzdłuż zalewanej przez fale plaży.

Piasek był zimny, nie było czuć zapachu morza, tylko nad wyrzuconą przez fale i osiadłą na piachu brudną pianą wyczuwało się charakterystyczną woń jodu. Woda była wręcz lodowata, ale mimo to zaczęliśmy w niej brodzić.

— Coś ci pokażę — powiedziała Ewa Wędzińska, kiedy już suszyliśmy się w pobliżu krzaczków z jagodami.

Wyjęła małe puzderko ze szklaną przykrywką. W środku znajdowało się podobne do wiewiórki małe zwierzątko z niewiadomego tworzywa oraz malutki orzeszek laskowy. W zależności od zmyślnego poruszania pudełeczkiem wiewiórka chwyciła pyszczkiem orzeszek.

— To taka zabawka, chyba nic mądrego — powiedziała Ewa.

— Bo ja wiem, zmyślna — odpowiedziałem.

— Dostałam od przyjaciela, produkuje takie cudeńka.

78

Trochę przysnąłem. Oprzytomniałem, kiedy Ewa zasłoniła sobą słońce. Powoli pochyliła się nade mną, aż jej zawieszony na rzemykach zegarek dotknął mego podbródka.

— Miły gościu — odezwała się.

Spojrzałem na kołyszący się przede mną zegarek. Dochodziła jedenasta.

— Ja już muszę iść — powiedziała.

Usiadłem. Ewa, całkowicie ubrana, przykucnęła koło mnie i machała fotografią.

— No to mogę odciąć tę panią?

— Możesz.

— Teraz już pójdę. Dobrze?

— Możesz iść — odpowiedziałem.

— Ale potem się jeszcze spotkamy.

— Oczywiście.

— I to chyba nie raz — powiedziała.

Szybko minęło południe, a na plaży aż do Orłowa nie wydarzyło się nic szczególnego. Na wywróconej dnem do góry łodzi siedziała sobie zakonnica. Zdjęte przez

nią sandały leżały w piachu, a ona poruszała palcami stóp, jakby je gimnastykując. Potem ześliznęła się z łódki i zrobiła kilka kroków tak, aby woda przykryła jej stopy. Patrzyła na kołyszącą się przed nią na fali butelkę po piwie „Gdańskie”.

Po południu zaczęło mocniej wiać. Chudy, czarny pies dalej biegał dokładnie po dzielącej morze od lądu ruchomej linii. Zakonnica siedziała na łodzi i na słońcu suszyła podwinięty do kolan habit. Przy jej opalonych łydkach, koło dulki na wiosła, leżała wyrzucona przez fale butelka po piwie z utłuczoną szyjką.

79

Nieco okrężną drogą powróciłem na stację. Ale nie musiałem się śpieszyć. Na peronie podjadłem kupione w budce frytki i gapiłem się na kursujące w siedmiominutowych odstępach niebiesko-żółte składy kolejki.

Wpół do szóstej zajechałem do Wejherowa. Tadeusz Wędziński czekał już na mnie na stacji. W rękach trzymał dwa blaszane pudła z filmami. Kiedy mnie zobaczył, położył je pod parkanem. Nie objął mnie na powitanie, nie poklepywał, tylko zwyczajnie uściśnął ramię. Po drugiej stronie jezdnicy czekały na nas dwa rowery. To na nich mieliśmy pojechać do jego domu.

Przed kinem zatrzymaliśmy się na chwilę. Przez okrągłe okienko wyjrzał młody człowiek o skołtunionych włosach. Tadeusz Wędziński zamienił z nim kilka słów i wniósł pudła do kina.

Kiedy wyjechaliśmy wreszcie z miasta, słońce uderzyło nas prosto w oczy. Tym razem było to jednak przyjemne, bo za każdym zakrętem powietrze stawało się coraz chłodniejsze. Pedalowaliśmy w milczeniu, jeden za drugim. Tadeusz odezwał się dopiero wtedy, gdy wjechaliśmy na nieco szerszą, bitą drogę. Tu zaczął na mnie, byśmy jechali teraz obok siebie.

— Zdaje się, że Ewa cię nie poznała.

— A jednak — odparłem. — Poznała.

— A potem sobie poszła?

— Tak, poszła.

Pochylił się na siodełku, bo zjechaliśmy z drogi na krętą ścieżkę dla pieszych.

— Pojedziemy okrężną drogą — powiedział — jeszcze za dnia rzucimy okiem na jeziora.

80

Ścieżka wiała się tu między płataniną brzoź i sosen, a po obu jej stronach, przez sitowie połyskiwała czarna woda. Dotarliśmy do jezior już po zachodzie słońca. Niebo było żółte i nieruchome lustra wody połyskiwały złocisto wśród ciemnych drzew. Były to całkiem małe jeziora, właściwie zwykłe sadzawki. Zsiadliśmy z rowerów, stanąłem posłusznie obok Tadeusza Wędzińskiego. Staliśmy dość długo, aż usłyszałem:

— No to przyśpieszmy.

Dróżka zaczęła nam teraz sprężyćście falować pod kołami. Wędziński ostrzegł mnie, abym mocno trzymał kierownicę na nierównych odcinkach, żeby koła się nie omsknęły na wąskiej ścieżce. Ciemniało i na jednym ze zjazdów wjechaliśmy w gęstą warstwę mgły. Białym prześcieradłem przykrywała ziemię, unosiła się nad nią coraz wyżej, do tego stopnia, że zanurzyliśmy się w niej aż po pas. Mgła stała się tak gęsta, że zagłuszała trzask łamanych rowerowymi kołami gałązek, a nawet skrzywienie siodełka.

— Jakbym płynął statkiem — powiedziałem. Tadeusz obejrzał się, widział spowijającą nas mgłę i poprosił, abym raczej skupił się na jeździe, patrzył na środek jego pleców i trzymał się szlaku, bo nie wolno zboczyć nawet na centymetr. Kiedy już całkiem się ściemniło, wyrosły przed nami długie, rzucone na mgłę nasze cienie. Jak również cienie ostro zakończonych, spiczastych sosen, zza których jasnym blaskiem zaczął się powoli unosić księżyc.

Wreszcie zatrzymaliśmy się przy jednym z kolejnych płotów. Na Tadeusza czekały dwie poczciwe krowy. Nozdrzami zanurzone we mgle, z błyszczącymi wilgocią czarnymi

81  
czubkami rogów. Tadeusz Wędziński przeciągle gwizdnął, ale na darmo, nikt się nie pojawił.

— Nie ma jej w domu — powiedział. — Często tak robi: znika, żeby gdzieś szybciej dotrzeć.

Dom stał nad mgłą, jakby na jakiejś wyspie. Na tle pruskiego muru z czerwonej cegły, między skrzyżowanymi czarnymi belkami, szarzały drzwi i pozamykane okiennice. Tadeusz Wędziński pośpiesznie zapalił olejowy piec, a ja rozcierałem ślady kierownicy roweru na zbiegających i zziębniętych dłoniach. Tadeusz tak samo jak na stacji w Wejherowie chwycił mnie za ramię.

— Dotarliśmy do celu — powiedział.

Weszliśmy na piętro po schodach z brązowego drewna. Na górze było ciepłej, a z pokoi, które Tadeusz kolejno przede mną otwierał, dochodził delikatny zapach świeżego ciasta. Jakby wypływał z suchego drewna brzozy-  
wych mebli.

— A co będzie, jak wygrasz konkurs?

— Tego jeszcze nie wiem.

— To wtedy zostaniesz u nas dłużej — powiedział. — I przyjdziecie z Ewą do mnie do kina.

Tadeusz wyciągnął swój klarowny, przeźroczysty samogon z żyta. Na jednej ze ścian kuchni wisiały polakierowane żółte i czerwone liście platanowe. Pomiędzy nimi oprawione w ramki zdjęcie nieżyjącego już pocztowca z Rumii — Janusza Wędzińskiego.

Przy pierwszej herbacie dotarła do domu młodsza córka Tadeusza — Agnieszka Wędzińska ze swym narzeczoną. Oni też przyjechali na rowerach. Nogawki dzinsów mieli, aż po kolana, mokre od wilgotnych przydrożnych zarośli.

Na kolację były jajka na twardo, chudy krowi ser i pomidory. Herbatę tego zakrapialiśmy żytniówką. Młodsza córka Tadeusza była zupełnie bezbarwna, nijakie zmierzwione włosy odstawały od porowatych policzków, miała nieładne, zgryzione zęby. Była jak wypłukany z wszelkich kolorów przez słoną morską wodę przybrzeżny kamień. Ale miała miły, dziecinnie szepczący głos i niczym psiak łaśnięła się do ojca, szukając jego dotyku.

— Ewa była w domu po południu — szeptała. — Przyjechała na rowerze i zabrała ze sobą psy. Jest u Grassa, w jego majątku. Żegna się z nim.

— Kim jest ten Grass? — zapytałem.

— Ma tu gospodarstwo.

Narzeczony Agnieszki często pokasływał, bo porządnie nadymiliśmy.

— Julian choruje trochę na płuca — szepnął do mnie Tadeusz Wędziński. — Ale wkrótce całkiem wyzdrowieje. Julian rzeczywiście nie najlepiej czuł się w nagrzanej kuchni, więc stanął przy otwartych drzwiach. Później narzucił sobie na plecy chustę, wyszedł na dwór i dość długo nie widzieliśmy go. Tylko szara mgła kłębiła się w świetle otwartych na oścież drzwi.

— Ile masz lat? — zapytała mnie Agnieszka Wędzińska.

— Prawie czterdzieści.

— Grass też ma tyle.

— Kim jest ten Grass? — ponowiłem pytanie.

— Teraz to już nieważne — odpowiedziała.

Julian wrócił z małym słoikiem w ręku. Przyniósł w nim łaciatą salamandrę.

— Od tygodni na nią polowałem z latarką, zwłaszcza w takie wilgotne dni — tłumaczył. — Wreszcie złapałem ją na progu stajni. Postawił słoik na środku stołu, abyśmy wszyscy mogli przypatrzeć się czarnej niczym smoła jaszczurce z pomarańczowymi plamami.

— Powiedz, tatusiu, czy to stworzonko ma teraz pietra? — zapytała Agnieszka.

— No, na pewno ma kłopot — odparł Tadeusz i przykrył swoją dłonią kędzierzawą głowę córki.

Julian przyniósł mech i włożył do słoika. Znudził się jednak szybko, założył słuchawki i wyciągnął się na werzalce obok magnetofonu.

Tadeusz Wędziński wręczył mi kaptcie oraz czarny dres. Lepiej szybciej się położyć i dobrze wyspać — mówił — bo jutro czeka nas większe pedałowanie, aż do Pucka, a co najmniej do Rewy, aby zobaczyć zatokę. I to całą piątką. Przespałem się w jednym z pachnących ciastem pokoi na piętrze. Szarzało, kiedy przez spraną, cieniutką firankę zobaczyłem, że mgła już się uniosła, ale niebo pokryte było ciemnymi chmurami, gnany szybko przez wiatr

od morza. W pokoju było chłodno, a porywy wiatru od czasu do czasu poruszały firanką. Włożyłem otrzymany od Tadeusza dres i na bosaka stałem przed oknem. Niebo szybko zmieniało kolor i w miejsce ciemnych chmur pojawiły się tafle białych obłoków. A kiedy się całkiem przejaśniło, dużymi płatami zaczął padać śnieg.

W oddali, zapewne od strony gospodarstwa Grassa, pojawiły się dwa duże, kudłate psy, a za nimi na rowerze starsza córka Tadeusza Wędzińskiego. Z zawieszonym na szyi zegarkiem.

84

W piecu na olej buzował już ogień, a kuchnię przepęłniał zapach mleka. Ewa Wędzińska w czerwonej flanelowej piżamie siedziała na wersalce z podwiniętymi nogami.

— Witaj, miły gościu! — powiedziała.

Przysiadłem na skraju wersalki i przypatrywałem się bosym stopom Ewy, jej wiszącemu na szyi zegarkowi oraz płukanym w brzożowej wodzie włosom.

— Trochę mi zmarzły nogi — powiedziała.

Przysunąłem się nieco do dziewczyny, tak aby przynajmniej dotknięciem dresu ogrzać jej stopy, a potem przykryłem je poduszką, a na poduszce położyłem obie dłonie.

Ewa wyciągnęła swoją wiewiórkę z orzeszkiem.

— Mogę się pobawić? — zapytała.

— Oczywiście.

Na podwórzu Tadeusz Wędziński już pompował koła rowerów, aby nas nie spotkała w drodze żadna niespodzianka. Przez przeredzające się chmury zaczęło przebić słońce, a na pniach drzew topniały uczone chropawej kory płatki śniegu. Chyba nadeszła jesień.

Po śniadaniu wsiedliśmy na rowery. Z przodu biegły oba kudłate psy, za nimi jechali Agnieszka i Julian, potem Tadeusz Wędziński, a na końcu my dwoje: Ewa i ja.

Po drodze przepytowała mnie, czy to, czy tamto mi się podoba i czy mógłbym przyzwyczać się do życia tu, na północy?

No to odpowiedziałem:

— Jeszcze zobaczę. W każdym razie, skoro już tu przyjechałem, to spróbuję.

Przełożył Tadeusz Olszański

#### JAKA WŁAŚCIWIE JEST PRZEŁĘCZ?

W okolicy nie było żadnych ludzkich osiedli, mimo to dokładnie pośrodku przełęczy, przy szosie łączącej dwie doliny, podzwaniała na wietrze przytwierdzona do czerwono-białego słupka okrągła tabliczka przystanku autobusowego. Jeździły tędy cztery autobusy dziennie, ranny i popołudniowy kurs.

Pod słupem siedziała samotnie dziewczyna. Szyła coś, nie skupiając na tym większej uwagi. Miała na sobie zwykły brązowy fartuch, na bosych stopach tanie buty. Trzymała siatkę ogórków do zakiszenia. Przyjechała porannym kursem z południa, skądś gdzie uprawiają ogórki.

Przełęcz taka jak ta jest dość wietrznym miejscem — przeważnie miejsca powyżej tysiąca czterystu metrów są dość wietrzne i nawet w ładną pogodę wiatr trzepocze tu człowiekowi rąbkiem ubrania. Dziewczynie też, chociaż siedziała oparta plecami o skarpe, wiatr lekko łopotał skrajem brązowego fartucha, a nad jej głową co chwila skrzypiała okrągła tabliczka przystanku.

Była ładna pogoda. Widać było obie doliny, północną nawet nieco lepiej, bo jej zachodni kraniec mienił się w przenikających wśród mgieł promieniach słońca. Na zachodzie

87  
i wschodzie lśniły nagie i zalesione grzbiety gór, wyższe szczyty pokryte były płatami śniegu, sięgającymi granicy lasu.

Poniżej przełęczy, przy zakręcie szosy, mieścił się punkt skupu mleka. Co dzień zwożono tam furami mleko z zagród położonych wysoko w górach. Żłobione deszczem ścieżynki schodziły przełęczą ku szosie, co rano zbiegali nimi pasterze tuż obok podskakujących na wertepach fur.

— Może cię zwieźć w dół? — krzyknęli do dziewczyny.

Ale ona, nawet nie patrząc w ich stronę, przecząco pokręciła głową.

Przystanęło też na przełęczy, by dać wytchnąć silnikom, kilka ciężarówek. Kierowcy rozglądali się wkoło, zerkali w doliny po obu stronach, gdzie wśród lasów w dole wiła się droga. Oni też pytali dziewczynę, czy jej kawałek nie podwieźć. Ale ona nie chciała jechać ani na północ, ani na południe.

W porze obiadu powracający w góry pasterze znów ją mijali i po raz kolejny pytali, czy jej nie podwieźć kawałek, tym razem pod górę. Ale dziewczyna również tam nie chciała jechać.

Siedziała u stóp słupa i patrzyła w dal. Wstawała bardzo rzadko, poprawiała na sobie ubranie i przechodziła na drugą stronę drogi, i miało się wrażenie, jakby przyglądała się miejscu, w którym wcześniej siedziała zapatrzona. Wydawała się nieobecna. Szkoda, że nie można jej z bliska spojrzeć w oczy, ale wtedy pewnie by się przestraszyła. D oczekała tak aż do zmierzchu.

88

A zmierzch wysoko w górach bywa nieco melancholijny. Do tego ta zagubiona przełęcz, z której można przez cały dzień patrzeć na północ i południe. No i jeszcze ta dziewczyna, której nie wolno przestraszyć.

Kiedy koło wpół do siódmej nadszedł wieczorny autobus, wsiadła do niego i pojechała dalej na północ.

Była trochę miastowa, a trochę wsiowa, trochę niepewna, a trochę uparta, przyjechała z południa i jechała z ogórkami na północ; i przesiedziała cały dzień na przełęczy. Można by teraz pomyśleć, że od samego rana czekała

na wieczorny autobus. A może na coś innego — i pewnie na marne. A może po prostu chciała się przekonać, jaka właściwie jest przełęcz?

Przełożyła Małgorzata Komorowska-Fotek

zoo

Wysiedli we trójkę z samochodu: Władimir Kovacs — ścięty najeża blondyn w marynarce, pod krawatem, trochę po pięćdziesiątce, Viii Kovacs — blondyn, gładko przyczesany, w płóciennych spodniach i tiszercie, również po pięćdziesiątce oraz żona Władimira Kovacsa. Samochód z nalepką e u na tylnej klapie zostawili na parkingu.

Szli wzdłuż żywopłotu, zza którego dochodził brzdęk butelek z piwem, potem przeszli pod zieloną strzałką z napisem: „Do zoo” i weszli między szpaler drzew, na usiany opadłymi liśćmi wąski deptak.

Viii Kovacs, który szedł obok Władimira Kovacsa, szepciem powiedział:

— Lepiej byłoby, gdybyśmy poszli tam sami.

— Możesz być spokojny — odpowiedział Władimir Kovacs pełnym głosem. — Ni w ząb nie rozumie, wcale nie udaje. Prawda? — Żona Władimira Kovacsa uśmiechnęła się, z czego można było wnioskować, że faktycznie nie rozumie, o czym rozmawiają.

— Tym bardziej, że to w sumie niewesoła sprawa — powiedział Viii Kovacs.

— Jaki przyjemny las — powiedział Władimir Kovacs, głosem odkrywcy. — Przyjemny miejski park, taki mały

91  
zagajnik, słowo daję, nie przypominam go sobie. Ty pamiętasz te drzewa tutaj? Bo ja wcale.

— Pamiętam — powiedział Viii Kovacs.

— Nie przypominam sobie też tej ulicy ani restauracji. Niczego.

— A ja świetnie to wszystko pamiętam — powiedział Viii Kovacs.

— Całkiem miły, cichy zakątek. Udał im się. — Byli już przed bramą. — Zostaw, ja zapłacę.

— Proszę — powiedział Viii Kovacs, ustępując drogę szwagierce.

— Czemu się denerwujesz? — spytał Władimir Kovacs.

— Nie idźmy tam — powiedział Viii Kovacs.

— Czemu się denerwujesz w tak spokojnym miejscu?

— Ano temu — powiedział Viii Kovacs — że kiedy tu przychodzę, to jakoś mnie nerwy biorą i dobrze wiem dlaczego.

— Którędy idziemy?

— Tędy — powiedział Viii Kovacs, i ruszyli wzdłuż klatek ze świnkami morskimi, sowami, szopami pracami i bielikami.

Władimir Kovacs przystanął przed wybiegiem dla psów dingo.

— Takiego to bym chętnie wziął do siebie — powiedział — ale pewnie trzeba się nim dużo zajmować, inaczej całkiem zdziczeje. I chyba niełatwo się przyzwyczaić do jego dzikiego zapachu. A ja nie mam za dużo czasu. Czujesz ten zapach?

— Chodźże już, zaraz będziemy na miejscu.

92

— Naprawdę miły zakątek — powiedział Władimir Kovacs.

— Potem je sobie obejrzysz — powiedział Viii Kovacs.

— Zawsze był z ciebie wrażliwy dzieciak. Taki mały, wrażliwy smarkacz. Stuknięty nadwrażliwiec.

— Stuknięty, tak? — Viii Kovacs wyprzedzał o krok brata, który został z żoną nieco z tyłu.

— No popatrz tylko — powiedział nagle Viii Kovacs, i wskazał przed siebie, gdzie u zbiegu trzech alejek znajdował się centralny plac zoo. Tam, za wysoką, szpiczaste zakończoną konstrukcją z żelaznego drutu stał utrzymany we wschodnim stylu budynek ze ścianami wykładanymi kafelkami, z wejściami półtora na półtora i napisem: Leo.

— Lew, widzisz?!

Władimir Kovacs popatrzył na lwa, który trzymał się nieco z dala, co chwila potrząsał głową i boleśnie zamiatając tylną nogą, chodził w kółko wzdłuż ogrodzenia. Siedzącego na trawie mężczyznę zauważył dopiero, gdy spacerujący lew znalazł się z nim na jednej linii. Mężczyzna miał śnieżnobiałe, sięgające ramion włosy, siedział na trawie koło klatki i obserwował przechadzające się zwierzę.

— To tu można siadać na trawie? — wyrwało się z ust Władimira Kovacsa. Następnie zwrócił się do Viii Kovacsa. — Jakie zgrabne zwierzę. To lwica. I tak się na nią gapi? To na tym spędza całe dnie?

— Sam widzisz? — powiedział Viii Kovacs. — Tylko tak siedzi, patrzy się i nic nie robi.

93

Władimir Kovacs podszedł do ogrodzenia i zatrzymał się.

— Ile może u was kosztować takie zwierzę? Pewno będą chcieli za nią ze czterdzieści tysięcy, chociaż taka znerwicowana.

Viii Kovacs spojrział z zimnym uśmiechem w twarz Władimira Kovacsa.

— Nie jest na sprzedaż — powiedział.

— Jak się odwróci, podejść do niego — rzucił szybko Władimir Kovacs. — Co mam mu powiedzieć?

— Nie odwróci się.

— Czemu?

— Bo nigdy się nie odwraca.

— A co mam mu powiedzieć? Tato, przyjechałem?

— Panie Kovacs. Powiedz do niego: panie Kovacs.

— I co mi na to odpowie?

— Nic.

Viii Kovacs nagle się odwrócił, powieki mu zadrgały jak u mającego wybuchnąć płaczem dziecka, otarł dłonią zachmurzoną twarz.

— Chodź — powiedział, obejmując szwagierkę, i poprowadził ją do najbliższej ławki, gdzie usiedli. — Chodź, pogadamy. — Żona Władimira Kovacs uśmiechnęła się. Viii Kovacs też się uśmiechnął, po czym wycedził ostrzegawczo: — Nienawidzę. Obojga was nienawidzę. — I zamilkł wyczerpany.

— Dziwne, taka tu cisza i taki spokój — powiedział Władimir Kovacs, dosiadając się do nich. — Już dawno nie czułem nic podobnego. Gdzie w dzisiejszych czasach można znaleźć tyle spokoju i świeżego powietrza? Ile się człowiek musi naszukać, zanim znajdzie kawałek przyrody! A tutaj

94  
proszę: lew. A taki lew to lew, nie byle co. Kto wie, może gdybym miał więcej czasu, sam bym tak sobie posiedział... Ale ja nie mam na nic czasu.

Viii Kovacs wstał.

— Zaczynam mieć już tego powyżej uszu — powiedział cicho. — Lepiej już sobie pójdę.

— Nie miałem serca mu przeszkadzać — powiedział Władimir Kovacs. — Słowo, nie umiem, no.

— I to by było na tyle — Viii Kovacs wstał, a gdy wstała pozostała dwójka, uśmiechnął się krzywo do szwagierki, potem nagle pochylił się przed nią i chwycił za ramię Władimira Kovacs, który wyciągnął aparat.

— Zrobię zdjęcie dla dzieciaków — powiedział Władimir Kovacs. — Pewnie nie widzieli takiego wielkiego i zgrabnego lwa.

— Robi się zimno — powiedział sam do siebie Viii Kovacs, kiedy wracali do bramy.

— Chciałbym jeszcze raz obejrzyć psy dingo — powiedział Władimir Kovacs. — Byłeś kiedyś w Australii? Tu jest napisane, że te psy stamtąd pochodzą. Dużo tam różnych dziwnych stworzeń, jakieś latające ssaki, różne kangury i takie tam.

— Nie byłem w Australii, na litość boską! — powiedział Viii Kovacs.

— A gdzie trzymają tego lwa, kiedy spadnie śnieg? — spytał Władimir Kovacs, gdy już pili piwo za żywopłotem. — Co będzie, jak spadnie śnieg?

— Nienawidzę cię — powiedział Viii Kovacs. — I tej twojej żony też. W tym całym nieszczęściu potrafię was tylko nienawidzić.

95

— Ja też nienawidzę mojej żony — powiedział Władimir Kovacs, gdy wstali od stołu, i pytająco, z uśmiechem klepnął kobietę po plecach.

— Es war ganz nett — powiedziała żona Władimira

Kovacs, co miało znaczyć, że spędzili miłe popołudnie.

Przełożyła Małgorzata Komorowska-Fotek

LISEM JESTEM!

Pod wieczór, około wpół do siódmej, przed wielkim sklepem samoobsługowym w samym centrum, podążający do wejścia w towarzystwie dwóch kobiet mężczyzna ni stąd, ni zowąd wyrwał się do przodu i krzyknął:

— Lisem jestem!

Jeszcze wielokrotnie powtarzał ten okrzyk, a w jego zalamującym się i więznącym w gardle głosie pobrzmiwała zarówno radość, jak i rozpacz tego wyznania.

W samoobsługowym sklepie, nawet nie w centrum, o tej porze, przed siódmą, panuje z reguły duży ruch, więc sporo kupujących, a także przechodniów zbiegło się, aby zobaczyć, co takiego się dzieje.

Na pierwszy rzut oka mężczyzna w niczym nie przypominał lisa. Błada twarz o miękkich rysach, szeroki nos, ciemne włosy i oczy. Był w letnim płaszczu, z gołą głową. Obie kobiety, z których towarzystwa tak zdecydowanie się wyrwał, rzuciły się za nim z wyciągniętymi ramionami. Dogoniły go, rozpaczliwie chwyciły i błagalnie patrzyły w jego puste, niczego nierozumiejące i nikogo niepoznające oczy.

Nie ulegało wątpliwości, że w tym przypadku nie chodzi o to, że delikwent nosi nazwisko Lis i nagle odczuł

97

przemożną potrzebę przedstawienia się zgromadzonej przed sklepem publiczności. Nie, o tym nie mogło być mowy, ponieważ energicznie wyrwał się z objęć powstrzymujących go kobiet, skradającym się, lisim wręcz krokiem wybiegł na środek jezdni i wśród wymijających go pojazdów szybko zaczął się rozbierać. Swoją garderobę rozrzucił na przejeżdżające samochody i trolejbusy linii dwadzieścia pięć oraz trzydzieści. Został tylko w różowej koszuli ze sztucznego tworzywa, na środkowym, dzielącym jezdnię pasie.

Obie oszołomione kobiety, którym tłum życzliwie ustąpił miejsca na samym skraju chodnika, uczeplone siebie nawzajem, zaczęły wołać go po imieniu:

— Benedykt! Benedykt!

Nie zrobiło to jednak na mężczyźnie żadnego wrażenia, jakby nigdy nie nazywano go Benedyktem, ba, jakby w ogóle nigdy z żadnym imieniem się nie spotkał. I zaczął rozpinać koszulę.

— Nawet nie jest taki brzydki.

— Nie, naprawdę.

— Ani zarośnięty.

— Ani rudy.

— Ani niebieski.

— Ani srebrny.

— Ani chytry.

— Ani brudny.

Tłum, ponieważ zabrakło mu już dalszych określeń, zostawiwszy wąski przesmyk od strony nieszczęśnika, zwrócił się teraz do obu kobiet.

— To na pewno rodzina.

98

— A jedna z nich to żona.

— Jak nie obie...

— Druga to chyba szwagierka.

— Albo kuma.

— Eee, gdzie tam.

— Dostaną na niego zasiłek chorobowy.

— Czubkom raczej nie dają.

Były to pełne serdeczności i współczucia pogaduszki.

— Wezmą go chyba do domu.

— A skądże, zabiorą gdzie trzeba.

— Na pogotowie.

— Na policję.

— Do domu wariatów.

— Do zoo.

I rzeczywiście, zabrano go. Przyjechała najzwyczajniejsza, biała karetka pogotowia. Z większym niż zwykle personelem. Wysocy sanitariusze w fartuchach otoczyli mężczyznę, zasłaniając widok, i jednocześnie, jak na komendę, pochylili się nad nim. Na ubieranie nie było czasu, ale sanitariusze pobierali wszystko, co z siebie zdjął. Kiedy karetka odjechała, śladu po zajściu nie było.

Przechodnie i klientela sklepu samoobsługowego szybko się wymieniła, ale nawet przed zamknięciem sporo mówiono o lisie. Każdy znalazł coś w pamięci i dzięki temu wiele się wyjaśniło.

Że swego czasu jakiś gość zaczął chodzić na czworaka i szczekać na własne dzieci, o tym, co było dalej, lepiej nie mówić, ale lekarzom dzięki coraz większej wiedzy medycznej udało się coś wpompować w wariata i na pewien czas przywrócić dzieciom ojca. Że ktoś inny, stały gość jednej

99

stołówki, pewnego dnia, zamiast swojego zawsze w środę zamawianego ciastka, poprosił o środowego zółwia, następnie o książkę zażaleń i bezradnie nad nią się rozplakał. Całe szczęście, że miał w Ameryce brata, który zabrał go do siebie. Że najlepszy uczeń jednej klasy, po odrobieniu pracy domowej, wyskoczył z parasolem z siódmego piętra. I tak dalej. Najbardziej niezrozumiałe w tym wszystkim jest jednak to, że tego typu historie zdarzają się co chwila, i w końcu skąd można wiedzieć, co kto ma w głowie, co dzieje się w jego mózgu. No nie?

— Ale skąd się wziął tamten lis — powiedział ktoś z boku z wyrzutem w głosie — tego nie mogę zrozumieć.

A gdyby mnie to spotkało...? Sam nie wiem.

Jedno jest pewne, samemu trudno przewidzieć, co by było, gdyby... A świadkowie zajścia, którzy zastanawiali się nad tym, jakby to było, gdyby ich coś takiego spotkało,

woleli nie wypowiadać się w tej sprawie.

Wkrótce też można było usłyszeć, że ta cała historia z li-  
sem przydarzyła się nie w tym, a zupełnie innym mieście.  
W każdym razie na pewno przed sklepem samoobsługowy-  
m. A wielu świadków, którzy akurat wtedy przejeżdżali  
i na własne oczy widzieli całe zajście, klęło w żywe oczy, że  
ten, co się rozebrał, był włochaty, rudy i chytry. Nie było  
łatwo go schwytać, ale się w końcu udało. I każdy może  
go sobie obejrzeć w ogrodzie zoologicznym. Na klatce jest  
wypisane: „Lis”.

Przełożył Tadeusz Olszański

#### ZAMIAST EPITAFIUM

Po powrocie z wojska Vasile Ureche wybudował sobie dom  
z sosnowych bali nad rozlewiskiem zwanym Kamionka,  
niedaleko rodziców. Jak większość domów w tych stronach,  
tak i ten utrzymany był w góralskim stylu, miał kryty gon-  
tem dach i ganek. Każdy, kto szedł na Pietrosa, musiał go  
mijać. Na działce rosło kilka sosen, a między drzewami  
Vasile Ureche posadził kartofle. Na wąskim poletku po-  
łożonym pod lasem zasiał owies. Na hali trzymał owce  
i krowę, robił domowe masło, które raz w tygodniu zawoził  
na targ do Visó. Gdy brakowało pieniędzy, najmował się  
do pracy w kopalni lub przy wycince drzew. Bywało też,  
że dorabiał jako nocny stróż.

Jego żona była niska i przysadzista. Miała na imię Ioana.  
Jeśli mogli, nie rozstawali się na krok. Okoliczni miesz-  
kańcy dobrze znali ich zwyczaje i gdy ktoś zachodził do  
nich po masło, zaglądał najpierw do małej karczmy nad  
Kamionką, gdzie zwykle przesiadywali, jedno obok dru-  
giego, zwróceniem plecami do wejścia, nad kuflem piwa.  
Mieli trzech synów, dawniej Vasile Ureche zabierał ich ze  
sobą po drewno do lasu, które zimą woził saniami do Visó.  
Gdy dorośli, wyjechali z domu do różnych szkół. Zawsze  
101

jednak sobie pomagali; czasem synowie pożyczali pienią-  
dze od ojca, potem oddawali, innym razem on pożyczał  
od swoich dzieci i potem oddawał. Zostało jeszcze kilka  
przekazów i listów.

Na jego pogrzeb zjechali się synowie z rodzinami z Bu-  
karesztu, Nagybanja i Orszovej. A po ceremonii trzech sy-  
nów inżynierów wróciło do swoich domów do Bukaresztu,  
Nagybanja i Orszovej. Namawiali matkę, by z nimi jechała,  
ale nie chciała wyjeżdżać. Wołała zostać w domu i każdy,  
kto czasem zaglądał do małej pijalni nad Kamionką, wi-  
dział, jak stoi zwrócona plecami do wejścia, sącząc kufel  
piwa. Raz w tygodniu widywano ją także na targu w Visó,  
gdzie sprzedawała masło.

Wielu obcych zagląda w te strony i każdy, kto wspina się  
na Pietrasa, musi przejść obok niewielkiego domu z sos-  
nowych bali, ale jakoś nikomu nie przychodzi do głowy  
pytanie, kto też może w nim mieszkać.

Vasile Ureche był prostym człowiekiem, wiódł proste

życie, a teraz ma prosty grób na cmentarzu. Jego spoczywający w sąsiednich mogiłach krewni nie muszą się obawiać, że ktoś zادهcpe im dziko rosnące na grobach polne bratki albo przewróci chwiejące się w puszkach lwie paszce i niezapominajki, bo Vasila Ureche znali tylko mieszkańcy rodzinnej wioski i nikt nie prowadzi do jego grobu zbiorowych wycieczek.

Przełożyła Małgorzata Komorowska-Fotek

#### ZATRZYMANE W KADRZE

Kelner zatrzymał się nagle jak wryty. Niósł na tacy połówkę wołową z mizerią i tuż przed stolikiem samotnego gościa, któremu miał podać zamówione danie, raptownie zastygł w bezruchu. Wyglądał jak na zdjęciu. Zatrzymany w kadrze.

Głowa lekko przekręcona, twarz blisko tacy, która zamarła w balansie kelnerskiego kroku, oczy wpatrzone w niesione dla gościa danie. Befszyk z połówki był przyzwoicie wysmażony, wszystkie dodatki bez zarzutu, mizeria również prawidłowo serwowana. A jednak kelner jakby ze zdumieniem patrzył na to, co niesie.

Trwało to wszystko chwilę, góra pięć sekund, po czym kelner zrobił trzy dzielące go od stolika kroki. Podał talerze, otworzył butelkę piwa i uważnie nalał. Kiedy wracał do kuchni z pustą już tacą, uprzytomnił sobie, że tych kilka chwil bezruchu niewątpliwie przyczyniło się do zapamiętania jego twarzy przez większość obecnych na sali gości.

— Czy coś z tym mięsem było nie tak? — spytał go drugi kelner w drzwiach kuchni.

— Nic takiego.

— No bo się wpatrywałeś w talerz. A może o co innego chodziło?

103

— Patrzyłem na befszyk, ale był w porządku.

Kiedy po chwili znów przechodził koło stolika samotnie siedzącego gościa, ten przywołał kelnera do siebie.

— Niech pan powie, czy z tym befsztykiem coś było nie tak?

— Ależ nie, proszę pana, absolutnie wszystko w porządku.

— Ale coś mu się pan podejrzliwie przyglądał, no nie?

— Przyglądałem, ale naprawdę bez powodu.

— Chciałbym, żeby tak rzeczywiście było — powiedział gość powątpiewająco, lecz już bez gniewu. — Po prostu ot tak sobie zapytałem.

— Życzę smacznego! Może pan jeść spokojnie.

Kelner odszedł do drugiego stolika, aby przyjąć kolejne zamówienie.

— Ten gość ciągle nie je — powiedział mu w drzwiach kuchni drugi kelner. — Stałeś przy nim, jakbyś chciał zabrać z powrotem to danie. Co ci do głowy strzeliło?

— Coś mi się przypomniało, ale już nie pamiętam co.

Trochę później, kiedy niósł dwie porcje schabu z ryżem i zielonym groszkiem do następnego stolika, zauważył, że jego samotny klient powoli zaczyna jeść.

— Widać, że chyba wreszcie zje to, co mu podałeś — powiedział drugi kelner.

— Pewnie, że zje. A niby dlaczego miałby nie zjeść?

— Chyba wiesz, że ludzie boją się o swój żołądek.

Drugi kelner zza zasłony kuchni obserwował jedzącego befsztyk gościa, a kiedy ten skończył, powiedział:

— Skończył jeść.

104

Przy płaceniu rachunku gość, mimo że wszystko zjadł, nie wyglądał na zadowolonego.

— Niech pan powie, jak się pan nazywa? — zapytał.

— Dunyha Janos — odpowiedział kelner, chowając pieniądze do portfela. — Życzę panu wszystkiego najlepszego, na zdrowie.

Przy wyjściu gość jeszcze raz zapytał drugiego kelnera, jak nazywa się kolega, który go obsługiwał.

— Dunyha Janos — usłyszał ponownie.

W mieście było wielu kelnerów, którzy nosili to samo nazwisko. Byli krewnymi, kelnerską rodziną. Ojciec i dziadek Janosa Dunyha też byli kelnerami i też mieli takie same imiona. Stali goście z poufałością mawiali do dziadka, ojca, a teraz do najmłodszego Dunyha — panie Janosu kochany! Ale i ten najmłodszy też już miał pięćdziesiątkę na karku, z czego trzydzieści przepracował w kelnerskim fachu. Zdążył być kelnerem w Savoyu, Bagolyvar, Tivoli i w Lido.

Gwałtowne zatrzymanie się uczyniło Janosa Dunyha podejrzanym w oczach obsługiwanego gościa oraz przyczyniło się do zapamiętania jego twarzy przez innych gości. W tym fachu było to rzeczywiście niezwykle, ale też wielce potrzebne. Kelner, być może, nagle przestraszył się, że talerz spadnie mu z tacy albo go sam zrzuci lub po prostu chwyci w rękę befsztyk i ugryzie. Być może wcale nie tego się przeląkł, tylko akurat coś innego przyszło mu do głowy. Na przykład, że już trzydzieści pięć lat robi w tym fachu, teraz akurat w Lido, i oto niesie na tacy zamówiony befsztyk z wołowej połówicy oraz mizerię.

Przełożył Tadeusz Olszański

## SUBLOKATOR

Ponton nie zmieścił się w bramie, więc komisja w sięgającej powyżej kolan wodzie przedostała się na podwórze. Między solidnie zbudowanym, betonowym domem a niską letnią kuchnią, niczym w jakimś wąwozie, unosiły się stłoczone beczki i skrzynie.

— Te beczki to z fabryki konserw — powiedział jeden z członków komisji.

— Rozejrzyjmy się, co tu jeszcze woda przyniosła — dodał drugi.

Na ścianie domu, na wysokości okiennych parapetów,

ciągnął się brunatny, mulisty szlak. Zapewne o świecie jeszcze do tej wysokości sięgał poziom wody. Płaski dach letniej kuchni z pofałdowanymi płatami czarnej papy znajdował się dokładnie na dolnej linii okien domu. Na zmurszałych ścianach tej kuchni nie było żadnego szlaku. Były całkowicie oblepione brunatnym mułem.

Kiedy gospodarz zobaczył na swoim podwórzu członków komisji, ruszył im naprzeciw, brnąc niemal po pas w wysokiej wodzie. Był tylko w krótkich gatkach. Wspólnie odsunęli unoszące się na wodzie beczki, po czym we dwóch wyjęli z zawiasów drzwi do letniej kuchni.

107

— A to kto? — zapytał jeden z członków komisji, kiedy z nagromadzoną w kuchni wodą prosto na nich wypłynęło ubrane w piżamę ciało.

— To sublokator — powiedział gospodarz i cofnął nogę, o którą oparły się zwłoki. Wszyscy pozostali byli w nieprzemakalnych spodniach oraz długich, gumowych butach.

— A te rzeczy w środku to czyje?

— Moje.

Za wiodącą do sadu furtką, na śliwach — jakby je ptaki obsiadły — uczepiły się różne szmaty, a do pni przylegały płaty błota i wszelakie brudy. Na gałęziach gęsto wisiała słoma, tworząc jakby firanki przed jakimś małym tropikalnym bistro. I właśnie od tamtej strony zbliżała się samotna dziewczyna z pętem kielbasy w ręku. Nie miała na sobie dosłownie nic, jeśli nie brać pod uwagę czegoś w rodzaju oblepiającej ją, przylegającej dokładnie do ciała ni to tkaniny, ni to mazi błotnej o wzorze panterki pomieszanej z topograficzną mapą. Zmierzała prosto w stronę stojącej w wodzie komisji i zatrzymała się przed nią, kurczowo ściskając w ręku kielbasiane pęto.

— Dokąd idziesz? — zapytał jeden z członków komisji.

— Do domu — odpowiedziała dziewczyna.

Gospodarz podciągnął opadające gatki i spojrzał w kierunku sadu, czy nie ma tam jeszcze kogoś. Ale aż po horyzont było pusto.

— Nie było mnie w nocy w domu — wyjaśniła dziewczyna.

Jeden z członków komisji zdjął z siebie nieprzemakalny płaszcz i choć pozostał tylko w bluzie od piżamy, podał okrycie dziewczynie.

108

— Proszę to włożyć — powiedział.

— Nie jest mi zimno, dziękuję — odparła dziewczyna i chlapiąc wodą, ominęła członków komisji oraz zwłoki sublokatora. Zmierzała w kierunku drogi, przy której kolebał się ponton.

— Powiniennem opłukać jej tę kompletnie zabłoconą kielbasę — odezwał się gospodarz. — I podzielić się chlebem, bo mam jeszcze trochę.

— Ale ten chleb też pan opłucz — powiedział jeden

z członków komisji.

— Dajcie spokój, dobrze, że w ogóle coś ma w domu — dodał drugi. — Nie jesteście głodni?

Kolejny członek komisji wyciągnął z kurtki zeszyt i zaczął notować.

— Nie zwlekajmy, jesteśmy przecież dopiero na początku drogi.

— Pisz — powiedział pierwszy. — Dziewięć beczek. Na podstawie panującego tu zapachu można z całą pewnością stwierdzić, że to beczki z fabryki konserw.

— Czy możecie podać jeszcze jakieś szczegóły? — zwrócili się do gospodarza.

— Nie, nie ma żadnych szczegółów — odpowiedział gospodarz, patrząc za oddalającą się dziewczyną. Bryzgi błotnistej wody zmywały z jej pleców maź, zostawiając jaśniejsze ślady na pokrywającej ją skorupie.

— Chyba tylko to, że mój sublokator sypiał jak zabity — dodał po chwili.

Przełożył Tadeusz Olszański

### DZIEWCZYNA Z ZAGRODY

W łodzi było pięć starych kobiet i wiosłujący mężczyzna.

Nieco dalej i wyżej ciągnął się rząd słupów telegraficznych.

I właśnie wzdłuż linii tych słupów zderzała się napływająca z dwóch stron woda. Mężczyzna odłożył wiosła i łódź zaczęła wirować w miejscu.

— Dziewczyna, o tam! — odezwała się pierwsza starsza kobieta.

— Tak, dziewczyna, tam stoi! — potwierdziła druga.

— Pali papierosa.

— Stoi w wodzie po kostki.

— I pali papierosa.

— Zimno mi — powiedziała trzecia stara kobieta. Była całkowicie przemoknięta.

— Że kto tam stoi?

— Jakaś dziewczyna — odpowiedziała czwarta stara kobieta tej piątej, która zadała pytanie.

— Hej! — krzyknął wiosłarz w kierunku dziewczyny. — Co ty tam robisz?

— Nic! — odkrzyknęła dziewczyna.

— Chodź no szybko do nas.

— Nie pójde! — krzyknęła dziewczyna.

111

— Nie żartuj. Woda idzie, nie ma czasu.

— Chodź dziecko, chodź prędko — krzyczała piąta stara kobieta.

— Odpływajmy — powiedziała trzecia, przemoknięta stara kobieta. — Jak nie chce do nas przyjść, to odpływamy.

— Nie mogę do ciebie dopłynąć — krzyknął wiosłarz. — W żaden sposób. Musisz do nas przyjść.

— Nie musisz po mnie przyplwać — odkrzyknęła dziewczyna.

— To chodź wreszcie do nas. Już masz wodę po kolana.  
— Jestem dziewczuchą z tej zagrody. Nigdzie nie pójdę.  
— Jaką dziewczuchą? O co ci chodzi? — krzyknął wiosłarz.  
— Tutejszą, z zagrody. Nie ruszę się.  
— Co ona mówi? Co to za dziewczucha? — zapytała trzecia starsza kobieta tę czwartą.  
— Że jest z zagrody.  
— Z jakiej zagrody, bo jej chyba nie znam?  
— Ja też jej nie znam.  
— Ani ja.  
— Umiesz pływać? — krzyczał mężczyzna.  
— Umiem.  
— To chodź szybciej. Tylko kawałek, o stąd dotąd trzeba przepłynąć.  
— Nie pójdę.  
— Nie przyjdzie — powiedziała pierwsza stara kobieta. — Nie chce.  
— Płynmy wreszcie — nagliła trzecia.

112

— Potrafisz się wdrapać na słup? — dopytywał wiosłarz.  
— Potrafię — odkrzyknęła dziewczyna.  
— To wdrap się.  
— Nie wdrapię. Jestem dziewczyną z zagrody.  
— Mówi, że nie wejdzie na słup — powtórzyła piąta stara kobieta.  
— Wodę ma już po tyłek.  
— Jak nie chce przyjść, to odpływajmy — powiedziała trzecia. — Strasznie mi zimno.  
— Poczekajmy jeszcze — zdecydował mężczyzna. — Jak jej woda podejdzie do piersi, to sama do nas przyjdzie.  
— Jeszcze ciągle pali — powiedziała czwarta stara kobieta.  
— Skończy palić i przyjdzie.  
— A gdzie ta wasza zagroda? — pytał mężczyzna.  
— O, tam!  
— Tam już nic nie ma.  
— Ale tam jest nasza zagroda.  
— A gdzie ludzie z tej zagrody?  
— Oni tam są.  
— Tam naprawdę nikogo nie ma.  
— Są na pewno.  
— Mówi, że tam są — powiedziała czwarta.  
— To ona nie jest sama.  
— No pewnie!  
— Oni tam są, tylko ich nie widać.  
— Ktoś jej przecież zapalił papierosa.  
— Jeszcze coś tym papierosem podpali.  
— Płynmy już.

113

— Naprawdę odpłynemy.  
— No idziesz czy nie? — krzyczał mężczyzna. — Nie dam rady podpłynąć, bo wpadnę w wir.  
— Nie idę — odkrzyknęła dziewczyna.  
— Już masz wodę po piersi — krzyczał mężczyzna. — Teraz możesz ruszyć. Odepchnij się mocno od słupa. Już masz po piersi...  
— A co ci do moich piersi — krzyczała dziewczyna. — Jestem dziewczyną z zagrody. Odczep się od moich piersi.  
— Odpływajmy stąd wreszcie — odezwała się trzecia stara kobieta — bo się przeziębę.  
— Po cholere mi twoje piersi! — zawył mężczyzna przy wiosłach. — Już masz wodę po ramiona, zaraz cię przykryje.  
— Odpływajcie do siebie — krzyczała dziewczyna.  
— Dobrze mówi, odpływajmy — powiedziała czwarta. — Ma rację.  
— Zaraz się utopisz, będzie po tobie — wrzasnął mężczyzna i zwrócił się do siedzących w łodzi kobiet: — Żebyśmy jeszcze zdążyli dobić gdzieś do brzegu, tam przy tych akacjach. Ale nie wiem, czy dam radę.  
— Dobijmy byle gdzie — powiedziała druga stara kobieta.  
— Przydałby się jeszcze jeden wiosłarz.  
— Albo i wiatr w plecy.  
— Patrz, jeszcze jej głowa wystaje.  
— Ale już nie całkiem.  
— A to chyba jej usta.  
— Nie, to już nie usta. Usta już pod wodą, to pewne.  
— Papieros jej zgasł.

114

— Ale nos jej jeszcze wystaje.  
— To nie nos, to coś innego.  
— No to co?  
— Chyba ucho.  
— Dla was to ucho?  
— Co ona mówi?  
— Że to nie ucho.  
— Bo ja słabo widzę.  
— Ale tam coś jeszcze wystaje.  
— Ale co?  
— Noto...  
— To nie to.  
— Przecież ona nie przy tym słupie stała.  
— A przy którym?  
— Między tymi dwoma słupami, o tam.  
— Nie przy tym. Przy tamtym.  
— A ja mówię, że przy tym.

Przełożył Tadeusz Olszański

BRZYDAL

Pewnego dnia, pod koniec lata, pojawił się w miasteczku brzydal. Przyszedł od strony stacji, pewnie przyjechał tu

pociągiem, ale nie tym zwykłym kursowym, lecz nieco wcześniejszym, dalekobieżnym, tym, co zatrzymuje się na tej stacji tylko zgodnie z letnim rozkładem jazdy.

Swoją drogą z pośpiesznego podróźni wysiadali tu nieczęsto, a jeśli już, to byli to zazwyczaj objuczeni teczkami inżynierowie lub specjaliści, którzy spędzali najwyżej jedną noc w gościnnych pokojach przy kombinacie i zaraz odjeżdżali, nie zapoznawszy nawet tutejszych dziewczyn.

Brzydał bez teczki wspinał się krótkim deptakiem i nie miał w sobie nic z inżyniera czy specjalisty. Był ubrany w przyduży, letni garnitur ze sklepu z konfekcją. Kieszenie miał wypchane drobiazgami niezbędnymi w podróży. Do ciemnoniebieskiego garnituru — pewnie z braku innych — włożył zbyt jasne buty oraz szarą, kraciatą koszulę w stonowanym miejskim guście. Elementem przesądającym o jego nieprzyjemnym wyglądzie była szeroka, okrągła głowa, osadzona między ramionami, wystająca nad ciemnogrnatowym kołnierzem marynarki. Z bladą twarzą, niskim czołem i gładko przyczesanymi do tyłu włosami przypominał rybę. A że człowiek z łbem ryby,

117

w ciemnoniebieskim, przydużym, letnim garniturze wygląda nieco dziwnie, prawie wszyscy się za nim oglądali. Tymczasem obcy, na przekór całej swej brzydocie, zachowywał się dość niewinnie. Całe popołudnie szlifował bruki miasteczka, jakby chciał je sobie przyswoić. Jakby go coś łączyło z porośniętymi mchem kamieniami wieńczonych łukiem bram, z wybrukowanymi kocimi łbami korytami ulic, których nawierzchnia, jedyny zabytek tego miasta, cierpliwie znosiła przetaczające się po niej z wielkim turkotem zaprzęgnięte w woły furmanki. Gdy nieznanomy kogoś mijał, łapczywie wpatrywał się w jego twarz, jakby szukał wśród mieszkańców swego zaginionego brata. Ale w miasteczku nie było nikogo, kto byłby do niego podobny. W tych stronach żyli kędzierzawi, śniadzi Ormianie, ze swymi nieco tylko bledszymi dziećmi, a on był biały i przylizany.

Nazajutrz pojawił się znowu i znów ze swą rybią, martwą twarzą krążył po mieście, przyglądając się mieszkańcom. Raz widziano go nawet z kwiatem w ręku, ale nie zdołano ustalić, do której gospodyni szykuje się na obiad ani gdzie sypia.

— Kto to, u diabła, jest? — spytał ktoś przez okno kogoś, kto przez inne okno gapił się na ulicę.

— Pojęcia nie mam — odpowiedział tamten, jakby z pretensją w głosie. — Nie wiem, ale gębę ma zakazaną, jak nic.

— Co prawda, to prawda. Zakazana gęba — zgodził się pierwszy. I na tym stanęło.

Trzeciego i ostatniego dnia weekendu ludzie zaczęli gadać, że obcy wraca co wieczór, tuż przed zamknięciem,

118

z cmentarza, a gdy zapadnie noc, idzie szosą za miasto, skąd powiew ciepłego wiatru niesie pod okna rechot żab. Tego wieczora wyjechał. Większość gapiów kręcących się przy stacji natychmiast go poznała — idzie obcy z rybim łbem — mówili. Gdy poprosił o bilet, pewne zdziwienie wywołał jego głos o miękkim, ciepłym i głębokim brzmieniu. Chwilę później któryś z gapiów powiedział, że widział na własne oczy, jak obcy kładł kwiaty na grobie Adorjanów. — Może to syn Adorjana? — podchwycił drugi. — Możliwe — przytaknęli inni. — Pewnie tak. Mówili, że grób Adorjanów był najbardziej zapuszczony na całym cmentarzu, ale teraz przyjechał ich syn i wreszcie go ogarnął. Za życia nie bardzo się dogadywał z rodzicami, a oni też go nie rozpieszczali. No cóż, nie był z niego udany dzieciak. Ale co było, minęło. Już wybaczył starym. Swoją drogą, z taką twarzą można wystawić rodzicielską miłość na próbę, grunt że nie był z niego zły dzieciak. Nie, nie. Nadjechał pośpieszny i obcy opuścił miasto. Potem gapie rozeszli się do domów, przy kolacji opowiadali rodzinom, że w miasteczku był syn Adorjanów, ten, co ma łeb jak ryba.

I tylko starzy, którzy jak zwykle wcześniej udali się na spoczynek, milczeli, choć dobrze wiedzieli, że Adorjanowie — mimo że swego czasu bardzo się o to starali — nie mieli dzieci.

Przełożyła Małgorzata Komorowska-Fotek

## WOLF

Pewnego wieczoru w mroku nieregularnych kształtów magazynu fortepianów pojawił się mężczyzna. Oparł trzymaną w rękę, rozpiętą na kiju siatkę o jeden z fortepianów, po czym przedstawił się magazynierowi Bordzie.

— Wolf — powiedział i zaczął rozglądać się za krzesłem, aby usiąść. Był blondynem, miał jakby psią głowę i w swoim brunatnym dresie wyglądem przypominał płowego wilczura.

— Jak to Wolf? — zapytał Borda.

— Tak się nazywam — wyjaśnił przybysz.

Obaj mężczyźni stali w zatłoczonym kącie składu, wśród pokrytych płachtami nędznych mebli, pod zakurzonym oknem na dachu, przez które docierało jeszcze trochę światła. W szybach okna odbijała się niczym w lustrze niezwykłość wnętrza. Na dworze ciemniało, wewnątrz paliło się światło. Na płycie małego, żelaznego piecyka Borda rumienił kromki chleba.

— Panie Wolf, czy interesuje pana przypadkiem jakiś fortepian? — zapytał Borda.

— Nie szukam fortepianu — odpowiedział Wolf, po czym usiadł na stojącym obok taborecie i kręcąc się na nim, zaczął się rozglądać wokoło.

121

— To widocznie jest jakiś inny powód — powiedział

Borda, patrząc na porwaną miejscami siatkę, którą przyniósł ze sobą Wolf. I tak się jej przypatrywał, jakby kompletnie nie mógł sobie przypomnieć, gdzie już coś takiego widział i do czego to służy.

— Mam nastawioną herbatę — odezwał się po chwili. — Czekałem na Matokę...

— Czy to przypadkiem kobieta?

— Nie, Matok to stroiciel fortepianów, pianista — powiedział Borda. — Napije się pan sznapsa?

— Jednego sznapsa i owszem.

Borda nalał i stojąc, podał gościowi szklaneczkę. Wolf obrócił się na taborecie, uniósł szklaneczkę i wypił.

— Czy przypadkiem nie przypętał się tu jakiś pies? — zapytał.

— Jaki pies?

— No, pies.

— Słowem, szuka pan swego psa, panie Wolf?

— To nie mój pies.

Borda obszedł stół i położył kolejne kromki chleba na blasze piecyka. Wolf wyjął z kieszeni dresu poźółkłe, pogniecione, stare zdjęcie i pokazał je gospodarzowi.

— Może go pan widział?

— Pies. Mały piesek — uśmiechnął się Borda — stoi w drzwiach składu. Ładne zdjęcie.

— Gdzieś tu jest?

— Już dawno nie widziałem tu żadnego psa. Od lat.

— W dwudziestym dziewiątym, no nie? A może w dwudziestym ósmym? — zastanawiał się Wolf.

— Jakieś pięć lat temu.

122

— Mogę się rozejrzeć? — zapytał Wolf, po czym wstał, pochylił się i zniknął w mroku magazynu. Borda zdjął z piecyka mały garnek, usiadł przy stole i zaczął jeść zupę, pogryzając grzanką.

— Co pan je?

— Kalafiorową z grzankami.

— Dietetyczne.

— Nie czuję się najlepiej — powiedział Borda.

— To niedobrze, jeśli człowiek źle się czuje — powiedział Wolf — Niedobrze.

— A może pan też by zjadł?

— Nie jestem chory.

Wolf pełzał gdzieś pod fortepianami i wyłonił się, gdy Borda zjadł już swoją kolację i obojętnym wzrokiem patrzył na pusty garnek i fortepiany.

— Udało się coś znaleźć?

— Może jeszcze się uda — powiedział Wolf — spokojna głowa.

Borda podszedł do łóżka i chwycił za skraj koca.

— Chciałbym się położyć — powiedział.

— W porządku — powiedział Wolf — no to się kładźmy.

Borda pościelił łoże i przez chwilę patrzył na poduszkę z małym wgłębieniem, które utworzyło się w środku pod ciężarem jego głowy.

— Słowem, chce pan tu spać, panie Wolf?

— Muszę — odpowiedział Wolf.

Borda pochylił się i rozsznurował buty.

— Strasznie się rzucam w czasie snu, nawet kopię — powiedział. — Nie nadaję się do wspólnego spania.

123

— Może nie będzie aż tak źle, to się okaże.

— Może prześpimy się na waleta?

— Nie lubię spać na waleta.

— To może na zmianę?

— Na zmianę też nie lubię.

Borda zgasił światło i położyli się obok siebie. W nocy zaczęło padać, deszcz bębnił w wycięte w dachu okno. Borda wstał, wszedł do jakiegoś pomieszczenia, potem słysząc było szum spłukiwanej wody i po chwili wrócił do łóżka, zajmując swoje miejsce obok Wolfa.

— Co tam słysząc? — zapytał Wolf.

— Pan Wolf nie śpi?

— Jak mam zajęcie, to nie śpię — odparł Wolf.

Kiedy zaczęło jaśnieć, Borda zapalił w piecyku i nastawił wodę na herbatę.

— No widzicie — powiedział Wolf — przespaliśmy się w jednym łóżku niczym bliźniacy.

— Pan Wolf wcale nie spał — powiedział Borda.

— Należcie mi sznapsa.

Kiedy wypili herbatę, Borda przyrządził zupę kalafiorową, postawił garnek na piecyku, położył się i znów zasnął. Gdy Wolf go obudził, było już rano.

— Teraz sobie pójdę — powiedział Wolf. — Odprowadźcie mnie, Borda.

Wolf wziął swoją siatkę, Borda sięgnął po zawieszony na ścianie klucze.

— Muszę tu jeszcze kiedyś zajrzeć — powiedział Wolf, kiedy przechodzili obok fortepianów w ciągle jeszcze mrocznym pomieszczeniu. — Potrzebny mi ten pies.

124

— A niech pan zajrzy — powiedział Borda — jak pan musi, to proszę bardzo.

— Chciałbym, aby Borda mnie zapamiętał — powiedział Wolf, kiedy dotarli do drzwi. Wyszedł i nawet się nie obejrzał.

— Nigdy nie zapomnę pana, panie Wolf — powiedział Borda — w końcu rzeczywiście, jak bliźniaki, przespaliśmy się w jednym łóżku.

Przełożył Tadeusz Olszański

GAZOWNIA

Byliśmy na skraju wsi. Ostatnia ulica, pnąc się po krzyżnie wzniesienia, wiodła przez wypaloną łąkę, usłaną

pordzewiałymi felgami i dziurawymi oponami. Kobieta szła przodem, za nią ja i chłopak.

Chłopaka poznałem na peronie, gdy za naszymi plecami odjechał prawie pusty pociąg, którym przyjechaliśmy. Był wysoki, szczupły, miał na sobie bluzę i krótkie spodnie, a w ręku torbę podróżną. On też szukał kwatery.

Wtedy przyszła kobieta, jakby wiedziała, że tu będziemy.

Chłopak poszperał w torbie i zaczęła grać muzyka. Powiedział, że jeśli chodzi o bagaż, to jemu starcza magnetofon.

Ruszyliśmy w drogę.

Wieś była długa i opustoszała. Mieszkańcy przenieśli się chyba na jej drugi koniec, bo kilometrami ciągnęły się ruiny opuszczonych domów i przyprószone pyłem płoty.

Kobieta pewnie przeżyła w swoim czasie wszystko, co może przytrafić się kobiecie, nie pozostawiło to jednak śladów w jej wyglądzie. Równie dobrze mogła mieć czterdzieści lat, co siedemdziesiąt, trudno było odgadnąć jej wiek, podobnie jak trudno określić wiek skamieliny.

Zatrzymała się, żeby zaczerpnąć tchu, ale już po chwili

127

z uśmiechem wskazała przed siebie, jakby chciała nas dopingować do dalszego wysiłku. Na szczycie wzniesienia, gdzie droga się urywała i dalej biegły już tylko zarosłe zieleńmi ścieżki, stał bielony wapnem dom. Nad nim było już tylko niebo.

Piaszczystą ziemię żłobiły parowy wypłukane przez okresowe deszcze, sterczały z nich suche badyle, a u ich stóp szarzały skorupki jaj.

W czasie drogi nie rozmawialiśmy. Nagle naszym oczom ukazało się morze. Lśniło jasno na wschodzie pod płaszczem poszarzałego zmierzchem nieba.

Płot stał tu chyba tylko dla ozdoby albo był pozostałością dawnego, solidniejszego ogrodzenia. Zaczynał się w rogu domu i kończył nagle, jakies dwa metry dalej, sztachety zwisały luźno przy cienkim słupku, jakby ktoś kawał łąki chciał przyłączyć do domu. Bramy nie było, bo i po co?

Kobieta otworzyła duże drzwi zamknięte na kłódkę, odsunęła wiszącą za nimi cienką, jasną zasłonkę i doleciał nas zapach pokoju. W zasadzie pokój zajmował cały dom. A w środku stało niewielkie, podwójne łóżko, skrzynia i wieszak.

— Morze — powiedziała kobieta i wskazała małe okienko po wschodniej stronie. Potem popatrzyła na nas i wskazała na zachód. — Gazownia.

Spojrzałem przez małe okno tam, gdzie miało być morze.

— Nie widzę.

Chłopak też wyjrzał.

— Nie widać — powiedział.

128

— Ależ tak — powiedziała kobieta — jest tam. — Ale

zaraz posmutniała i pokręciła głową. — Fakt. Teraz nie widać. Po południu czasami nie widać.

— Ziemia się kręci — rzucił chłopak.

— To nic — powiedziałem.

Chłopak objął mnie mocno ramieniem i wyszliśmy przed dom. Wskazał na zachód, na pustkę ciągnącą się w nieskończoność za opuszczonymi domami.

— Gazownia — powiedział.

Niech będzie, pomyślałem i powtórzyłem za nim:

— Gazownia.

Popatrzyłem na to bezludzie. Kobieta też widziała, że oglądamy gazownię.

— Jak dla mnie to idealne miejsce — powiedział chłopak.

Poszliśmy rozpakować nasze rzeczy. Ja powiesiłem na wieszaku koszulę, ręcznik i płaszcz. Chłopak wyciągnął z kieszeni bluzy pastę i szczoteczkę do zębów i położył na skrzyni. Włączył magnetofon i położył go na łóżku. Kobieta zajrzała do środka przez otwarte okienko.

— Mówi, jaka będzie pogoda?

— Rzadko — odpowiedział chłopak.

— Którą stronę wybierasz? — spytałem.

— Bliżej skrzyni.

Wyszedłem przed dom i spojrzałem tam, gdzie według słów kobiety miała być gazownia. Chłopak wyszedł za mną. Kobieta stała obok domu, zwrócona lekko w naszą stronę. Staliśmy przez chwilę w milczeniu, jakbyśmy czekali, że coś się wydarzy. A tu nic: zwykły letni zmierzch. I tylko magnetofon ciągle grał na podwójnym łóżku.

129

— To Żółta łódź podwodna — odezwał się chłopak.

A kiedy piosenka się skończyła, rzucił: — Niezły kawałek, co?

— No — powiedziałem. — Zupełny odjazd.

W miejscu, gdzie płot rzucał za dnia odrobinę cienia, ktoś posadził dziewięć krzaczków petunii. Zawsze lubiłem petunie, te jednak były małe i zakurzone. Szczerze mówiąc, na tym pustkowiu były tylko bielone wapnem ściany, papa na dachu, kawałek płotu i te petunie.

Wokół domu było pełno kopczyków ziemi, wyglądało to tak, jakby krety ruszyły chyłkiem z łąk i chciały się wślizgnąć. Wschodniej strony domu, na którą nie wychodziło żadne okno, jeszcze nie znaleźliśmy.

— Kurnik — powiedział chłopak.

Uchylone drzwi kurnika po raz kolejny przypominały nam, że wioska jest opuszczona. Na dachu leżał niebieski poplamiony koc i wypłowiwała poduszka.

— Mówię ci, jak dla mnie to idealne miejsce — powtórzył chłopak.

Zbliżał się wieczór, wyszliśmy na pobliskie wzniesienie, by popatrzeć na morze. Wysoko położona łąka kończyła się nagle urwiskiem, a poniżej zaczynało się morze, fale

wcinały się głęboko w piaszczysty, postrzępiony brzeg. Tam, w dole było już prawie ciemno.

Jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, na prawo, stała zawałona ciemna, betonowa budowla, mały nadbrzeżny bunkier. Wieżyczka strażnicza sterczała pochylona na bok, wisząc na nagim zbrojeniu, wyglądała tak, jakby kiedyś uderzył w nią pocisk. Było też widać wąską, długą szczelinę strzelniczą, a za nią kołowrotek, na którym kiedyś kręciło się

130

działo. Nad kołowrotkiem dawniej siedział podporucznik i wpatrywał się w dal. Przynajmniej do czasu, aż ich trafił ten pocisk.

— Tu będzie można dać czadu z muzyką — powiedział chłopak.

— Czy mogłabym posłuchać wiadomości? — spytała kobieta, kiedy wróciliśmy.

— Nie da rady. Dzisiaj środa — odpowiedział chłopak.

— A tak. To może jutro?

— No nie wiem — powiedział chłopak i odwrócił się w moją stronę. — Ale ze mnie gapa. — Podszedł do kobiety i nachylił się jej prosto do ucha. — To radio nie nadaje wiadomości. Nigdy.

Trochę mnie to zdenerwowało, mimo to zacząłem się śmiać. Kobieta też się zaśmiała. A chłopak wyłączył radio i złapał je za rączkę.

— Idę na dwór.

— Słusznie — powiedziałem.

Zaczął wiać wiatr, omiatał dach, co chwila postukując płatami papy. Przynosił strzępki Żółtej łodzi podwodnej. Gdy wiatr na chwilę przycichał, rozchodził się zapach cheralawych petunii.

— Zabrał je?

— Tak — przytaknąłem.

— Pogniewał się?

— Nie, to tylko żarty. Zgrywus z niego.

— I nic dziś nie mówili?

— Jutro będzie padać.

— Naprawdę?

131

— Niestety tak.

Kobieta poruszała się w taki sposób, że ledwie było słychać, jak nadchodzi. Czasem znikwała za domem, to znów pojawiała się od strony łąki. Teraz stanęła przede mną z lampą naftową w dłoni.

— Jak ma na imię pana brat?

— Mój brat? Tódor — odpowiedziałem.

— Ładne imię.

Zrobiło się całkiem ciemno. Pomyślałem sobie, że można by ze skarpy poświecić dla statków. Poszedłem na łąkę poszukać czegoś na ognisko. Czasem potykałem

się o jakieś śmieci, ale nie zbierałem ich. W końcu przypomniałem sobie o drzwiach od kurnika i wróciłem za dom. Prawie musnął mnie po twarzy skraj niebieskiego, poplamionego koca. Podniosłem wzrok.

— Przydałyby mi się te stare drzwi.

— A odda je pan?

— Nie. Nigdy.

— To szkoda.

Z drzwiami kurnika poszedłem na przełaj, przez łąkę, w stronę skarpy. Miałem do przejścia trzydzieści czy pięćdziesiąt metrów, ciągle wpadałem w kretowiska, myślałem sobie, że zanim tam dotrę, zaliczę chyba je wszystkie. Zebrałem parę zeschniętych na kamień kawałków tektury i suchych traw na rozpałkę.

— Hej, hej! — krzyknąłem do chłopaka.

— Co tam? — spytał.

— Nic. — rzuciłem przed siebie drzwi od kurnika i płytę. Wiatr porywał żdźbła trawy. Na północy jaśniały już światła kurortu.

132

— Hej, hej — krzyknąłem.

— No co tam?

— Pytała, jak się nazywasz. Powiedziałem, że Tódor.

— W porządku.

Coraz głośniejsza muzyka świadczyła o tym, że się zbliżał.

— Myśli, że jesteś moim bratem. A swoją drogą, jak się nazywasz?

— Teraz już Tódor — powiedział chłopak.

— Jasna sprawa.

— Nie ma wyjścia. Od dziś jestem Tódor.

— Fakt, klamka zapadła.

Chłopak podszedł, postawił magnetofon przed sobą na trawie.

— Myślałem sobie o tych działach — powiedział.

— I?

— Że tak po prostu wałą.

— No nie, najpierw muszą dokładnie wymierzyć — powiedziałem z miną znawcy.

Tódor nagle złapał się za brzuch, zgiął się wpół, wlepił we mnie wytrzeszczone oczy.

— Tak to wygląda? Jak trafia?

— Chyba jakoś tak.

— Posiedzę tu parę tygodni — powiedział Tódor.

— Słusznie. To dobre miejsce. — Pokazałem mu drzwi od kurnika. — Przyniosłem je, bo pomyślałem sobie, że można by rozpalić pod nimi ogień i poświecić statkom.

— I dzielnym strzelcom — powiedział Tódor.

— Ale dzisiaj chyba nic z tego. Za duży wiatr.

133

Tódor wyłączył magnetofon, przez jakiś czas siedzieli-

śmy w ciemności na skarpie. Patrzyliśmy, jak na szarej ścianie domu pojawia się duży cień, potem dołącza do niego mniejszy, chwilę kiwają się razem, po czym odrywają się od jedynej jaśniejszej płaszczyzny i pogrążają w absolutnej ciemności łąki. Później zaczyna pobrzękiwać szkło rozbitych butelek, chrzęszczą kamyki i puszki po konserwach. Całkiem blisko nas odzywają się czyjeś powolne kroki i bardzo niski głos oraz drugi, znajomy już nam głos, a potem znikają wśród pagórków wypalanej łąki.

— Chodź, popatrzymy na morze — powiedział Tódor — w końcu taki widok nie co dzień się zdarza.

— Racja — odpowiedziałem.

Słony zapach morza wzbijał się nad skarpią po każdym uderzeniu fali. Daleko na północy płonęły światła kurortu, na południu świeciła pośród chmur latarnia morska.

— Statek — powiedziałem po jakimś czasie.

— Chodź teraz popatrzymy w drugą stronę — powiedział chłopak. — Widzisz coś?

— Nic.

— I tak popatrzmy. Tam jest gazownia.

— Albo będzie.

— Jest.

Długo gapiliśmy się w ciemność po stronie gazowni. Mogła gdzieś tam być, choć wcale nie było jej widać. Nic nie było widać.

Przełożyła Małgorzata Komorowska-Fotek  
MIEJSCE, GDZIE WYPLATAJĄ KOSZYKI

— Jest takie jedno miejsce — usłyszał Bernat w urzędzie — miejsce, gdzie wypłatają koszyki. Nic lepszego nie znajdę.

— Niech będzie — odpowiedział Bernat i poczekał, aż wypełni papier, z którym miał się zgłosić do pracy.

— Może pan tam jechać choćby dziś — powiedzieli mu i na odwrocie kartki narysowali, jak dojść od pętli autobusu do miejsca, gdzie wypłatają koszyki.

Gdy dotarł piechotą do pętli, przy której — według rysunku — zaczynała się droga wiodąca do wikliniarni, dochodziło południe. Ścieżka była zarośnięta zielskiem, biegła wzdłuż rzeki i widać było, że prowadzi do ostatnich zabudowań. Po prawej stronie minął boisko do piłki nożnej, pewnie jakiś zakładowy stadion, szare deski płotu były upstrzone porzrzuconymi wielkimi, czarnymi literami, zupełnie jakby ogrodzenie było zbite ze starych wozów cyrkowych.

Kiedy był już w połowie drogi, w miejscu gdzie alejka odchodziła od rzeki i cięła zakosami piaszczystą, wyboistą łąkę, zatrzymał się, zdjął buty i spacerował po brzegu w samych skarpetkach. Nazrywał pierwiosnków i zimowitów.

135

Potem zapalił papierosa i opalał się w wiosennym słońcu.

Nie śpieszył się.

Łąka rozpościerała się między rzeką i niewielkim wznie-

sieniem, na którym stał osiemsetletni kościół, wokół którego nigdy nie powstało miasteczko. Gdzieś przy końcu łąki ciągnął się szpaler młodziutkich jodeł, a nieco bliżej stał samotny, wysoki budynek kryty dachówką ze sterzącym wysoko w niebo, pochyłym ceglany kominem. Trawa zaczynała się już zielenić, Bernat czuł jej zapach, co chwila schylał się, by zerwać parę źdźbeł, potem rozcierał je w palcach i wąchał. Zobaczył kwitnącą jabłonkę, obok której leżały trzy damskie buty i sterta dziurawych gumowców. Z budynku z wielkim kominem wyszedł pies, a kiedy był już blisko Bernata, zawrócił i towarzyszył mu krok w krok. Dojście od pętli autobusowej aż tutaj zajęło mu trzy kwadranse.

Od strony, skąd przyszedł Bernat, nie było w budynku żadnego okna. Spod warstw żółtego i szarego tynku przeświecały wielkie, czerwone plamy rozlatującej się cegły. W rogu budynku wisiała czarna tablica z napisem: „Zakaz palenia”, tuż obok sterczała rura od piecyka, osadzona w dziurze wybitej pośród cegieł, ściana wokół niej była aż szara od sadzy.

Bernat spostrzegł przed domem wiązkę wikliny, usiadł na niej i zapalił papierosa. Przyglądał się drzwiom z ogromną kłódką, zawieszoną tam, gdzie dawniej była kołatka. Z drzwiami bez klamki i z kłódką pośrodku dom wyglądał jak wielka skarbonka.

Na wysokości piętra ciemniało wejście bez drzwi, wchodziło się tam po przystawionej do muru długiej drabinie.

136

Na wysokości najwyższego stopnia ciągnął się rząd małych, kwadratowych okienek, zupełnie jak w dawnych spichlerzach. Przy budynku stała jeszcze drewniana przybudówka z wąskimi, otwartymi drzwiami, a przed nią leżała sterta naciętej wikliny. Tuż obok dobudówki, prawie ocierając się o jej ścianę, wąską, młyńską groblą wartko płynęła woda. Nad nią wisiał wąski mostek prowadzący na łąkę i do starego kościoła.

Obok składu wikliny stał i sikał do wody kędzierzawy mężczyzna. Przyglądał się Bernatowi. Gdy skończył, podszedł do niego.

— To pan? — zapytał.

— Ja — powiedział Bernat.

— Pan pokaże papier.

— Proszę — powiedział Bernat i podał mu kartkę z przydziałem.

Było ich w środku sześcioro, wyplatali kosze, stoły i krzesła z wikliny. Dwóch łysych, jeden z brodą i dwie kobiety.

— Umie pan wyplatać kosze? — spytał kędzierzawy.

— Nie umiem — odpowiedział Bernat.

— A co innego?

— Też nie.

— A w ogóle coś pan umie?

— Nic nie umiem — powiedział Bernat. — Nie znam się na tych rzeczach.

— Czyli przyszedł pan tu ot, tak.

— Tak.

— Zgłosił się pan, bo chce pan tu popracować.

— No tak — potwierdził Bernat.

137

Przyglądał się chwilę, jak wyplatają koszyki, kosze dla niemowląt i krzesła. Obserwował, jak pracuje brodac i obie kobiety, ubrane w szare kombinezony. Potem wyszedł przed budynek, usiadł na pieńku i zapalił papierosa. Chwilę później wyszły także kobiety, usiadły nieco dalej na trawie i też zapaliły. Były opalone, widać było, że często wyskakują na papierosa i wiosenne słońce. Jedna z nich wstała i podeszła do Bernata.

— Siedziałeś, bracie? — spytała.

— Nie — odpowiedział Bernat.

— To daj dychę.

— Nie mam.

— To piątala.

— Też nie mam.

— A na jutro przyniesiesz?

— Nie przyniosę — powiedział Bernat.

— Równy z ciebie gość.

Powoli podeszła druga kobieta i stanęła obok Bernata.

— Posuń się trochę.

Bernat odsunął się nieco, żeby kobieta też mogła usiąść na pieńku.

— A więc mówisz, że nie siedziałeś?

— Nie.

— A ile masz lat?

— Dwadzieścia osiem.

— I co do tej pory robiłeś?

— Nic — powiedział Bernat.

— A teraz chcesz kosze wyplatać?

— Tak.

138

Wyszedł kędzierzawy mężczyzna i poprosił Bernata o ogień.

— Chcesz tu zostać?

— Chcę — powiedział Bernat.

— Szefa dziś nie będzie. Pije z wierchuszką. Ale przyjdzie jutro. To nie takie złe miejsce. Robimy na eksport.

— Dobra — powiedział Bernat. — W takim razie jutro.

Zanim Bernat zdążył wypalić następnego papierosa, wszyscy chodzili po dworze, także dwaj łysi i brodac.

Wyglądało, że to już fajrant.

— Ja idę do miasta — odezwał się jeden łysy. — Idziesz, Guszti?

— Dziś Wielki Piątek — odpowiedział brodac o imie-

niu Guszti. — Dzisiaj nie piję.  
Był dopiero Wielki Piątek, a gorąco było jak w lecie.  
Guszti rozebrał się, przyniósł wiadro i polał się wodą z grobli.  
Bernat siedział na pieńku i palił. Podeszła do niego jedna z kobiet i postawiła nogę na brzegu pieńka.  
— Dasz jednego?  
— Proszę — powiedział Bernat i podał kobiecie papierosa.  
— Nie jesteś głodny?  
— Nie.  
— Jak chce ci się pić, to powiedz Joli — dodała kobieta. — Wpadłeś Joli w oko.  
— Dobrze — powiedział Bernat. Dopalił papierosa, podszedł do wielkiej wiązki wikliny i położył się na niej. Przeleżał tak do wieczora.

139

— Nie przejechałby się pan? — zagadnął go brodacz.  
— Chętnie — powiedział Bernat.  
— Jestem Guszti.  
— Bernat — powiedział Bernat.  
Poszli za budynek. Tam, za stosem odpadków, jakby chciano go zamaskować, stał traktor.  
— Stańmy tutaj z tyłu — powiedział brodacz.  
Kobieta o imieniu Joli odpaliła silnik i pojechali na łąkę. Dojechała do kwitnącej jabłonki, okrążyła ją, a potem wróciła i zatrzymała traktor. Joli zamieniła się miejscami z brodaczem Guszti.  
— Potem twoja kolej — powiedziała do Bernata.  
— Dobrze — powiedział Bernat.  
— Gdzie do tej pory pracowałeś? — spytała.  
— Nigdzie — powiedział Bernat.  
— Ja mam pięć lat farmacji — powiedziała.  
— I dwa lata neurologii — dodał brodacz.  
— Musiałam zrobić sobie przerwę — powiedziała kobieta. — A potem trafiłam tutaj.  
— Teraz pana kolej — powiedział brodacz i zrobił miejsce Bernatowi. — Wie pan, co robić?  
— Tak — powiedział Bernat i usiadł za kierownicą.  
Traktor szarpnął. Bernat szybko zdjął nogę z gazu i wolno dotoczyli się do jabłonki. Tam zatrzymali się.

— No i jak? Podobało się?

— Pewnie — powiedział Bernat.

Zanim skończyli, zapadł zmierzch. Joli i druga kobieta wspięły się po drabinie na piętro. Chwilę później pojawiły się w normalnych, miejskich ubraniach. Druga kobieta miała torebkę przewieszoną przez ramię. Poczekała, aż

140

jeden z łysych pozamyka zakład, i poszli razem, przez most, w stronę kościoła. Wyglądali jak zakochana para.  
Bernat siedział na pieńku i palił papierosa, podszedł do niego kędzierzawy. On też się przebrał, w dłoni trzymał

pleciony koszyk.

— Jak będzie pan głodny, niech pan powie Joli — powiedział i ruszył przez łąki w stronę miasta.

Chwilę później wyszedł do niego brodacz.

— Niech pan pójdzie za mną — powiedział.

Brodacz ruszył przodem, wszedł na drabinę. Znaleźli się w ciemnym, wąskim korytarzu, po obu stronach były ciężkie, drewniane drzwi. Brodacz otworzył jedno z nich. Pod ścianą stały plecione leżanki z wikliny i łyka, dwie były zaścielone czystą pościelą, zupełnie jak w domu. Po między dwoma zaścielonymi łózkami stał mały dziecięcy stolczyk, a na nim obrus i lampa naftowa.

— Widzi pan — powiedział brodacz. — Po co dyrdać codziennie w dwie strony? Jest tu dość miejsca do spania.

— Dobrze.

— Przydałby się też panu samochód.

— Nie — powiedział Bernat. — Nie jest mi potrzebny.

— Nie musi pan mówić. Mnie, na przykład, by się przydał. Ale muszę czekać jeszcze pół roku.

— Nieżle tu — powiedział Bernat. — Zostaję.

— To niech pan przyniesie swoje rzeczy.

— Nie mam żadnych rzeczy.

Potem Bernat zszedł po drabinie, usiadł na pieńku przed domem i palił papierosy, aż się całkiem nie ściemniło.

— Nie boisz się, że spadnę? — spytała z drabiny Joli, z wiadrem w dłoni.

141

— Nie — powiedział Bernat.

— Ale gdybym spadła, tobyś mnie podniósł, co?

— Możliwe — powiedział Bernat.

Brodacz wystawił lampę naftową za okno.

— Nie wejdzie pan?! — krzyknął.

— Mogę wejść — odpowiedział Bernat.

Bernat otworzył drzwi pomieszczenia, które służyło za skład i sypialnię. Brodacz leżał już w łóżku. Wskazał mu trzecie, które posłał dla niego świeżą pościelą.

— Jeśli woli pan być sam, może się pan przenieść do innego pokoju, do koszy albo do wózków dziecięcych, gdzie się panu podoba.

— Dobrze — powiedział Bernat, który już usiadł na skraju łóżka, i zaczął się rozbierać do snu.

Brodacz podkręcił płomień lampy.

— A więc mówi pan, że pan nie siedział.

— Nie — powiedział Bernat.

— Ale nie gniewa się pan, że spytałem, prawda?

— Nie — powiedział Bernat.

— Chce pan poczytać?

— Nie bardzo.

Brodacz zaczął czytać, a Bernat gapił się w pokryty sadzą, obłazący sufit. Nagle ktoś zapukał do drzwi.

— Nie wyszedłbyś na chwilę?

Bernat spojrział na brodacza.

— Niech pan idzie — powiedział brodacz. — Jak proszą, trzeba iść.

Bernat wciągnął spodnie i wszedł w ciemny korytarz. Na jego końcu szarżała niewielka szparka w uchylonych drzwiach wejściowych.

142

— Nie przyszedłbyś chwilę ze mną porozmawiać?

— Dokąd?

Joli złapała go pod ramię i poprowadziła do następnych drzwi.

— Już późno. Nie powinienem do ciebie wchodzić — powiedział Bernat.

— Czeka na ciebie kobieta?

— Nie mam kobiety — powiedział Bernat.

Kobieta o imieniu Joli przylgnęła do Bernata, jakby spotkali się po długiej rozłące.

— No widzisz, chciałbyś wejść, prawda?

— Nie — powiedział Bernat.

— Ale później będziesz chciał? Później sam do mnie przyjdiesz?

— Może — powiedział Bernat. — Możliwe. Pewnie później przyjdę.

— Tylko się nie kryguj jak jakiś teolog czy prawiczek.

— Nie będę się krygował. Po prostu przyjdę. Ale teraz już pójdę. Przynajmniej na trochę.

Bernat po omacku wrócił do siebie, wymacał puste łóżko i położył się w ubraniu. Brodacz tymczasem zgasił lampę. Oddychali równo, jak przez sen, i już prawie zasnęli, kiedy brodacz spytał:

— A niech pan powie, gdyby pan jednak siedział, to powiedziałaby pan?

— Nie wiem — odpowiedział Bernat. — To trudne pytanie.

Przełożyła Małgorzata Komorowska-Fotek

PLUS MINUS JEDEN DZIEŃ

Patrząc od strony szosy, z płaskowyżu łąki, niczym cud natury w postaci graniastej, białej skały wyłaniał się blok więzienia. Niebiesko-biały znak drogowy wskazywał, że prowadząca od szosy do głównej bramy krótka bocznicą jest ślepą uliczką. Naprzeciw więziennej bramy znajdował się budynek koszar wzniesiony z czerwonej cegły. A pod pokrytymi kurzem kasztanami stała jeszcze sklecona z desek buda, w której urządzono sklep spożywczy. Gdzieś w dali, nad rzędem akacji, drgała w powietrzu sylwetka kościelnej wieży.

Z platformy ciężarówki, która zatrzymała się przed budą, zeskoczyło dwóch żołnierzy, zaczęli podawać sobie bańki i ustawiali je po obu stronach wejścia do sklepu. Z szoferki wysiadł oficer i zmierzając w stronę głównej bramy, szedł wzdłuż ustawionych pod murami ławek, na których zwykli przesiadywać pełniący straż wartownicy. Na jednej z ławek siedział krótko ostrzyżony mężczyzna w znoszonym

ubraniu. Z reguły o tej porze, około południa, zwalniano więźniów.

— To chyba Sturm — powiedział oficer do stojącego przy bramie sierżanta.

145

Sierżant zerknął w dyżurny dziennik.

— Tak, to on — odpowiedział. — Elemer Sturm, wyszedł dziś w południe.

Sturm włożył sobie w usta papierosa, a potem wyjął z kieszeni okrągłe, blaszane pudełko. Było to pudełko po paście do butów, a w nim zwęglony, czarny kawałek szmaty. Dolną część pudła z czarną szmatą umieścił między kolanami, a nad nią ustawił pionowo pokrywkę. Z drugiej kieszeni wyłowił biały, porcelanowy guzik, przez którego dziurki przewleczony był sznurek w taki sposób, aby przez miarowe naprężenia, niczym zabawkę, wprawiać go w ruch. Szybko wirującym guzikiem dotknął blaszanej pokrywki i od spadających w dół i rozdmuchiwanymi iskierkami szmata zaczęła się tlić. Na tyle, że Sturm mógł zapalić papierosa. Sturm zaciągał się i patrzył na ustawiających bańki żołnierzy. Później podszedł do budy i z przylepionym do szyby nosem patrzył, co znajduje się w sklepie.

Kiedy żołnierze zakończyli ustawianie baniek i kanistrów, od strony koszar nadeszli plutonowy z jednym żołnierzem, obaj pod bronią. Poprosili kierowcę, aby ich podwiózł do szosy. Było to jakieś trzysta metrów. Przy tablicy drogowej, gdzie zaczynała się ślepa bocznicą, po lewej stronie, znajdowała się mała wartownia. W jej cieniu, w trawie, czuwało dwóch żołnierzy, których miał zmienić na warcie plutonowy z szeregowym. W środku wartowni dwóch więźniów bielilo ściany. To ich pilnowano.

Więźniowie od stóp do głów ubrudzeni byli farbą i wyglądali jak prawdziwi malarze. Zresztą tak też się zachowywali i jakby z łaski, niespiesznie malowali ściany. Wartownicy nie zwracali na nich większej uwagi i tylko wtedy patrzyli

146

na otwarte do wartowni drzwi, kiedy szosą, od czasu do czasu, wolno przejeżdżała jakaś ciężarówka.

Popołudniowy autobus zatrzymywał się tu tylko na moment, żeby sprawdzić, czy ktoś nie zamierza jechać do miasta. Nikt tu bowiem na ogół nie wysiadał. W chwilę po tym, jak po krótkim trąbieniu autobus ruszył w drogę, w pobliżu miejsca, gdzie plutonowy z żołnierzem na skraju kukurydzianego pola siedzieli sobie w trawie, pojawił się krótko ostrzyżony mężczyzna w znoszonym ubraniu z zawiniętym w gazetę pakunkiem pod pachą, a ponieważ przy drodze jedynie to miejsce było zacienione, usadowił się w pobliżu wartowników.

Wartownicy obserwowali Sturma, gapili się na jego wypłowiałą, zielonkawą, wojskową kurtkę, do której nosił takie same spodnie i poprute buty z cholewami. U skraju kurtki białą nicią miał wyhaftowane „Sturm” i więzienny

numer rejestracyjny. Wprawdzie na suknie od dawna już nie było żadnych naszywek, ale było widać, że kiedyś był to oficerski mundur. Sturm miał poszarzałą, ponuro przepięczną twarz, niczym posługacz w prosektorium.

Plutonowy i żołnierz palili, więc gdy Sturm poczuł zapach tytoniu, wyciągnął z kieszeni papierosa oraz pudełko po paście do butów.

— No to przesłałeś sprawę — powiedział plutonowy do żołnierza. Jednocześnie obaj obserwowali Sturma.

— Jakoś mi się nie chciało — odpowiedział żołnierz.

— Nie ma czegoś takiego, że ci się nie chciało, kiedy chodzi o kobietę. Jak nie chcesz, to znaczy, że jesteś chory.

A może była twoją krewną?

— Skądże.

147

— I co się z nią stało?

— Poszła z jednym takim, belfrem od matematyki.

— Na lekcję matmy!

Rozmawiali, przyglądając się jednocześnie, jak Sturm swoim urządzeniem zapala papierosa. Sturm, kiedy już udało mu się zapalić, również spojrzał na nich i tak przez pewien czas mierzyli się wzrokiem.

— Co to za mundur? — zapytał Sturm plutonowy.

— Zwykły — odpowiedział Sturm.

— Ale guziki, jak widzę, już nie te dawne.

— Guziki faktycznie nie te. W swoim czasie je odcięli — powiedział Sturm, patrząc przed siebie, w trawę. Papierosowy dym srebrną smugą owijał mu się wokół karku.

— Musicie pójść do dobrego krawca — powiedział plutonowy.

— Trochę już ten mundur za ciasny — dodał żołnierz.

— Bezwarunkowo — dopowiedział plutonowy.

Sturm spojrzał po sobie, ale nie wyglądało na to, żeby miał zamiar wybrać się do krawca. Przyglądał się dość obojętnie.

Plutonowy jeszcze z boku popatrzył na Sturma.

— Okropna starość — powiedział. — Wyglądacie w tym jak jakiś lodziarz. Albo jak taki facet, który krąży wokół szkoły.

Sturm leniwie wyciągnął przed siebie ramię. Rękaw kurtki ledwo sięgał mu przegubu.

— Chyba to nie była moja kurtka — powiedział. —

A może urosła mi ręka?

— Jak dobrze was karmili, to nawet możliwe.

— Albo moje plecy stały się szersze.

148

— Mogły się nieco zmienić — dodał plutonowy.

— A kiedy to przeprowadziliście się do nas?

— W czterdziestym szóstym — powiedział Sturm i wypluł przed siebie niedopałek.

— Jeśli krawiec, który szył ten mundur, był stary, to chyba już wykorkował. A wy ile macie teraz lat?

— Pięćdziesiąt pięć na karku — odparł Sturm. — Obliczyli mi to dziś w kancelarii.

— To pan, panie Sturm, nie wiedział, ile ma lat? — spytał żołnierz.

Sturm spojrział na niego, ale się nie odezwał. Naciągał rękaw kurtki.

— Dobrze wiedział — odezwał się plutonowy do żołnierza. — Jakżeby inaczej.

— A jednak dziwne bywa to ludzkie ciało — powiedział do siebie Sturm. — Rzeczywiście, ręka mi się wydłużyła.

— A nie miałem racji?

— Bo się rośnie i rośnie — powiedział żołnierz.

— Co niby tak rośnie? — zapytał plutonowy.

— Człowiek, jego ciało — odpowiedział żołnierz.

Sturm w końcu rozpiął kurtkę. Plutonowy trącił żołnierza, aby się przestał wtrącać, i sam zwrócił się do Sturma.

— Popołudniowy autobus już odjechał. Możemy zatrzymać dla was jakiś pojazd, żeby podrzucił was na stację.

— Jeszcze zobaczymy — odparł Sturm i spojrział w kierunku głównej bramy, skąd wytoczyła się fura z umieszczoną na niej ogromną beczką na pitną wodę. Ciągnęło ją z przodu i pchało z tyłu po dwóch więźniów. A eskortowało dwóch plutonowych.

149

— Czy to wy, Sturm? — zapytał jeden z plutonowych.

— Wszystkiego dobrego, to ja — odpowiedział Sturm.

— Jak ten czas leci.

Przetoczyli beczkowóz przez szosę, na łąkę, w kierunku studni. Plutonowy pilnujący malarzy podniósł się i wszedł do wartowni, aby sprawdzić, jak postępuje praca. Żołnierz poczęstował Sturma papierosem, a ten wyciągnął z kieszeni swoje pudełko po paście do butów. Zaciekawiony działaniem tego urządzenia żołnierz pochylił się i z uwagą obserwował, jak od iskier zaczyna się tlić szmatka.

— Dam za to urządzenie pudełko zapalek.

— Nie da rady — przecząco pokręcił głową Sturm. — Jest mi potrzebne.

— Zmyślny instrument.

— A zmyślny — powiedział Sturm i schował pudełko do kieszeni. — Czy umiecie grać w młynka? — zapytał.

— Umiem.

— No to zagrajmy! — Sturm wyciągnął z kieszeni porysowaną w pola do gry chusteczkę i dziewięć czarnych kamyczków. — Czy macie kamyki? — zapytał.

— Nie mam.

— To ułamcie główki dziewięciu zapalkom.

Kamyki i główki zapalek ustawili na chusteczce.

— Sami możecie sobie takie urządzenie zмайstrować — powiedział Sturm w trakcie gry. — Zapamiętajcie, bierze się kawałek szmaty i najnormalniej zapala. Kiedy

ogień zaczyna płonąć, najlepiej go zdusić czapką. Wtedy ostrożnie, aby się szmata nie rozleciała, wkłada się ją do pudełeczka po paście do butów lub innego, blaszanego

150

pudełka. Następnie należy zdobyć porcelanowy guzik, taki, jakie przy koszuli mają wiejskie dzieciaki. Po dwa przy kołnierzu.

— Hej! — krzyknął plutonowy. — Ciężarówka nadjeżdża.

Sturm nie zważał na sygnał. Pochylił się nad chusteczką.

— Zwróćcie uwagę na sytuację — powiedział do żołnierza. — Przyznajecie, że beznadziejna?

Żołnierz patrzył jednak już na plutonowego, który stał na szosie i zatrzymywał nadjeżdżającą ciężarówkę.

— Chodźcie, Sturm! — zawołał plutonowy. — Chodźcie, zawiozą was do miasta.

Sturm podniósł się, przez chwilę patrzył na ciężarówkę i plutonowego, a następnie z powrotem usiadł na ziemi.

— Grajmy dalej — powiedział do żołnierza. — Niech jadą beze mnie — zawołał do plutonowego. — Jeszcze zostanę.

Ciężarówka odjechała i plutonowy wrócił.

— Zaraz zrobi się ciemno — powiedział. — Mogła was zawieźć na stację.

— Nie ma się co śpieszyć — powiedział Sturm.

Plutonowy usiadł przy nich na trawie i patrzył, jak grają w młynka, aż wiatr podwiał róg chusteczki, strącając główki zapalek. Sturm rozejrzał się.

— Ale wieje — powiedział.

— Nieźle wieje — dodał plutonowy.

— Czy moglibyśmy tam wejść? — zapytał Sturm, wskazując na wartownię.

151

— Nie wolno mi się na to zgodzić — powiedział w miarę łagodnie plutonowy.

Sturm podniósł się, wolnym krokiem podszedł do skraju szosy, pochylił się nad nią jak nad rzeką, a potem spokojnie wrócił.

— A potraficie grać w myślach, z głowy? — zapytał żołnierza.

— Jeszcze nie próbowałem.

— Wystarczy sobie wyobrazić chusteczkę i osiemnaście kamieni. Po dziewięć swoich i moich. I nie wolno oszukiwać.

— Nie wiem, czy dałbym radę — odrzekł żołnierz.

— No to trudno — powiedział Sturm.

Słońce przestało już mocno grzać, więc przeszli na drugą stronę szosy, naprzeciw wartowni, w której pracowali malarze.

— Będzie i ósma, nim skończą — powiedział pluto-

nowy. — Do wieczora muszą być gotowi.

— A co mamy jutro? — zapytał żołnierz.

— Dzień dziecka — zakpił plutonowy.

Od strony łąki zbliżyli się więźniowie z beczkowitzem.

Jeden z pilnujących ich plutonowych zatrzymał się na chwilę przy szosie, by porozmawiać z plutonowym od wartowni. A Sturm, korzystając z tego, że przechodzili przez szosę, przyłączył się do grupy i razem z więźniami zaczął pchać beczkowitz.

— Dokąd to, Sturm, idziecie? — zawołał żołnierz, kiedy już dość daleko się oddalili.

Plutonowy spojrzał na pozostawione przez Sturma rzeczy. Leżały na swoim miejscu.

152

— Spokojnie, sam wróci. Nie jego pilnujemy.

— Teraz może już robić, co chce, dowoli się wałęsać, no nie?

— Teraz już tak — potwierdził plutonowy. — Dość długo na to czekał. Mógł dostać dziesięć lat, ale miał gdzieś regulaminy egzekucji. Rozbierał do naga skazańców, kazał im trząść się, jęczeć i błagać o litość i dopiero wtedy wolno było do nich strzelać. No i wpakowali go na dwadzieścia pięć! Trochę fantazji i kłopot gotowy.

— Ewentualnie może lody sprzedawać — powiedział żołnierz.

— A niech idzie w czorty — skwitował plutonowy.

Tymczasem Sturm z beczkowitzem dotarł do więziennej bramy i wraz z pozostałymi wszedł do środka. Kiedy zamknięto bramę, policzono więźniów.

— Co do cholery — zaklął sierżant pilnujący wejścia. — Czegoś takiego dawno nie widziałem.

I znów zaczął liczyć, chociaż na oko było widać, że jest o jednego więźnia za dużo.

Sturm w tym czasie skromnie stanął przy wartowni.

Plutonowy, który pilnował więźniów przy beczkowitzie, zorientował się, o co chodzi i zaczął tłumaczyć, że to przecież Sturm, ten, którego przed południem wypuścili, a on znowu się do nich przyłączył. Sierżant zajrzał do księgi wyjść i teraz również i on wiedział, że przed południem wypuszczono Sturma z więzienia.

— Po jakiego diabła to zrobiliście, Sturm — wrzasnęła sierżant. — Kto wam każe znów wracać do pierdła?

Po cholere się tu pchacie?

Sturm rozejrzał się dość bezradnie i wzruszył ramionami.

153

— Prawdę mówiąc, nie wiem — powiedział.

— Muszę wam uwierzyć, że to było przypadkiem — złościł się sierżant. — W każdym razie muszę wierzyć, że wróciliście tu zupełnie przypadkowo. I spływajcie stąd natychmiast, nim wszyscy będziemy mieli sakramencki kłopot.

Sturm usiadł na ławce przed bramą, wyciągnął papierosa

oraz swoje pudełeczko. Kiedy już wypalił, przespacerował się do sklepowej budki i tam przez chwilę się pokręcił. Plutonowy z żołnierzem ciągle jeszcze leżeli w trawie przy szosie. Palili papierosy, kiedy znów pojawił się przy nich Sturm z kanisterkiem w ręku.

— A co to takiego? — zapytał plutonowy.

— Kupilem — odpowiedział Sturm i postawił kanister przy swoich pakunkach. Pogrzebał w nich i wyjął małe zawiniątko. — Nie jesteście głodni? — zapytał — i rozwinął owinięty w gazetę prowiant. — Mam tu wędzoną słoninę, cebulę i trochę marmolady. Dali mi na drogę.

— Głodny jesteś? — zapytał żołnierza plutonowy.

— Mogę coś przekąsić — odpowiedział żołnierz. —

Zjadłbym kawałek przypieczonej słoninki.

— No to zjedzmy coś — zdecydował plutonowy. Podniósł się i zza wartowni przyniósł kilka połamanych listewek oraz łopatę węgla.

Rozpalili ogień i czekali, aż węgiel zacznie się zarzyć.

Z krzywych gałęzi przydrożnej jabłoni wystrugali trzy różny. Pokroili słoninę na grube plastry, nadziali na różny i zaczęli przypiekać. Zmierzchało, kiedy słonina się przyrumieniła. Biały blok więzienia niczym skała czekał na wtopienie się w ciemność.

154

— A wy nie jecie? — zapytał plutonowy, widząc, że Sturm nie sięga po jadło.

— Nie — odpowiedział Sturm. — Nie jem.

— Jedliście obiad?

— Nie jadłem — odparł Sturm — ale nie jestem głodny.

Gdy plutonowy i żołnierz zjedli już swoje porcje, Sturm wskazał na nietkniętą swoją.

— Podzielcie się — powiedział. — A lubicie marmoladę?

— Trochę poproszę — powiedział żołnierz.

— Na pewno zjecie na stacji jakąś niezłą kolację — powiedział plutonowy. — No, nie?

— Możliwe — odparł Sturm.

— Zatrzymam pierwszy z brzegu samochód i pojedziecie sobie — powiedział plutonowy. — Ale, jak widzicie, nie ma większego ruchu.

— Nie śpieszy mi się.

Koło ósmej malarze zakończyli wreszcie robotę. Plutonowy dał im po papierosie i kiedy skończyli palić, ustawił jednego za drugim. Nie znali Sturma, ale słyszeli, co plutonowy o nim mówił, i ze wstrętem patrzyli na wypuszczonego z więzienia mężczyznę w kurtce, który znęcał się nad prowadzonymi na śmierć skazańcami.

— Nie zaszkodzi, jak się pośpieszycie — pożegnał Sturma plutonowy.

— Jeszcze tu trochę posiedzę — odrzekł Sturm.

— Może w tej kukurydzy czeka jakaś kobieta — powiedział żołnierz, po czym ruszyli z dwójką więźniów bocz-

nicą prowadzącą do bramy.

— Podły łajdak — powiedział jeden z malarzy.

155

— I teraz puszczają takich na wolność, aby sobie pobiegali — dodał drugi.

— Nie rźnijcie no głupich — zareagował plutonowy. — Coście nagle zrobili się tacy delikatni? Tacy troskliwi?

— A was na ile tu posadzili? — zapytał żołnierz.

— Na dwa miesiące — odpowiedział malarz.

— I jeszcze dostajecie dniówki.

I tak zbliżali się do więzienia.

— A pan, panie plutonowy, wypuściłby ich na wolność? — zapytał cicho żołnierz.

— Odpowiem ci, synu, szczerze — powiedział plutonowy — całe szczęście, że to nie moja sprawa. W więzieniu wszyscy są jak baranki. Włącznie z tym Sturmem. Ale jak wychodzą na wolność, to znów może im odbić. Zresztą już powiedziałem, nie nasza sprawa.

Sturm podniósł się, kiedy więźniowie z eskortą zniknęli mu z pola widzenia. Patrzył na szosę i przejeżdżające samochody. Potem sięgnął po kanister i wszedł w kukurydziane pole. Zatrzymał się gdzieś pośrodku kukurydziaka, postawił kanister i wyrwał kilka pędów kukurydzy. Nogami wykopał sobie w miękkiej ziemi dziurę tak, aby w niej usiąść. Chwytał kanister, odkręcił zakrętkę, uniósł nad głowę i tak długo trzymał, aż wylał na siebie całą benzynę. Ręce pozostały suche. Sięgnął do kieszeni po swoje pudełko. Dolną część z nadpaloną szmatką odrzucił, pokrywę wziął między kolana. Potem wziął do rąk porcelanowy guzik i pociągając za sznurek wprowadził go w ruch. Kiedy guzik zaczął szybko wirować, dotknął nim blachy.

Na ścianie korytarza w koszarach rozbłysło żółte światło i wartownicy wywołali z sypialni żołnierza, który pilnował

156

malarzy, wołając, że coś się na polu pali. Patrzyli na wysoki, a potem przygasający płomień, który w końcu przysłoniła kukurydza i tylko w unoszącym się nad nią dymie, od czasu do czasu, błysnęło jeszcze odbicie ognia.

— Nie udało mu się chyba zabrać samochodem i prześpi się w kukurydzy — powiedział żołnierz.

— O kim mówisz? — zapytał wartownik.

— O takim jednym staruchu.

— Na pewno zmarł, bo już noce zimne.

— A może chciał sobie tylko poświecić.

— Ciemności się boi.

— No to teraz może się czuć jak na biwaku — powiedział żołnierz. — Był jakimś satyrem, nim tu trafił.

— Jakim satyrem?

— Sadystą, chciałem powiedzieć lub kimś w tym rodzaju. Odsiedział twardo dwadzieścia pięć lat!

— Dwadzieścia pięć to sporo. Ile to może być dni?

— Co najmniej z tysiąc.

— Mniej więcej dziesięć tysięcy.  
— Coś ty, dziesięć tysięcy?  
— Jak policzysz przestępne lata, to nawet więcej.  
— A kto ci każe liczyć przestępne lata?  
— Z przestępnymi latami włącznie dziewięć tysięcy trzydzieści jeden — powiedział żołnierz. — Ewentualnie plus minus jeden dzień.

Przełożył Tadeusz Olszański

## WĘDROWCY

Mały Peter Bocz siedział na wysokim krześle za kontuarem i coś rysował na rozdartym papierze pakowym. Nagle spostrzegł, że gorącą, piaszczystą drogą nadchodzi dwóch mężczyzn. Chłopiec często tu przesiadywał, bo w upalne, nudne letnie popołudnia nikt nie zaglądał do piwiarni, a jego stary ojciec zwykle drzemał za ladą. Gdy zobaczył, że dwaj przybysze kierują się w stronę drzwi, szturchnął ojca.

Żeby wejść do piwiarni trzeba było pokonać cztery stopnie. Mężczyźni najpierw zajrzeli do środka, całkiem przesłaniając drzwi swoimi sylwetkami, a potem podeszli do lady. Byli dość postawni, obaj mogli mieć koło pięćdziesiątki.

— Jestem Geza Bahleda — powiedział jeden z nich.

Patrząc od tyłu, wydawali się do siebie podobni, tyle że ten, który się przedstawił, miał pod czapką krótko przystryżone włosy, a temu drugiemu wystawały kręcone, siwe kosmyki.

Bufetowy skłonił się. Nie przywykł, by obcy, wchodząc do piwiarni, przedstawiali się.

Drugi nazywał się Szymon Obrad. Jemu bufetowy też się skłonił.

159

— Nie zna pan tego nazwiska? — spytał ten, który przedstawił się jako Geza Bahleda.

Drugi milczał i słuchał, co bufetowy odpowie. Miał dużą, szeroką twarz i wyglądał na twardego człowieka. Bufetowy przecząco pokręcił głową.

— I nigdy mnie pan nie widział? — spytał jeszcze raz.

— Nie — odpowiedział bufetowy, gdy już mu się uważnie przyjrzał. Patrzył na gościa zaskoczony, z senności lekko kiwała mu się głowa.

Mały Peter Bocz, który dotychczas zerkał na gości oparty o blaszany bufet, teraz zeskoczył z krzesła i poszedł przyrzec się gościom od tyłu. Mieli wymięte spodnie i buty pokryte grubą warstwą kurzu.

— No dobrze — powiedział Geza Bahleda. — To teraz będzie mógł pan sobie patrzeć na nas aż do wieczora. Zostajemy tu.

Rozejrzeli się po wnętrzu gospody, a potem podeszli do stolika pod oknem. Stał samotnie, niedaleko drzwi oparty o ścianę. Obok stały trzy krzesła. Zdjęli torby z ramion i zasiedli do stolika.

Bufetowy podeszedł do nich i czekał, aż złożą zamó-

wienie. Szymon Obrad uśmiechnął się do niego. Geza Bahleda rozpiął płaszcz, rozchylił koszulę i spojrzał na barmana.

— Możemy zaczynać — powiedział Szymon Obrad. — Na początek niech pan nam przyniesie po setce wódki.

— Wódki nie podajemy — powiedział bufetowy. — Teraz wódkę można dostać tylko w mieście.

— Trudno. W takim razie niech pan przyniesie po setce rumu. Przyda się, jeśli mamy tu siedzieć do wieczora.

160

Bufetowy był niskim, szczupłym mężczyzną. Wyglądał na zmęczonego. Wolno wrócił za ladę, nalał rumu w dwie szklanki, postawił je na tacy i podszedł do gości.

— A wie pan, komu pan przyniósł ten rum? — spytał Geza Bahleda, kiedy przed jego nosem zjawił się bufetowy z tacą.

— Nie bardzo — powiedział bufetowy. Ciągle jeszcze wyglądał na zaspanego.

— Gezie Bahledzie. I jego najlepszemu kumplowi, Szymonowi Obradowi.

— Proszę bardzo — powiedział bufetowy, stawiając tacę z dwiema szklankami.

— Pan na to: proszę bardzo! Tylko tyle?

— Słucham — powiedział bufetowy nieco zbity z tropu.

W tym czasie do gospody weszły dwie kobiety i od razu usiadły przy bufecie. Mogły być krewnymi barmana.

— Która godzina? — spytał Szymon Obrad.

— Piętnaście po piątej — odpowiedział bufetowy.

— Wcześniej przyszliśmy — powiedział Szymon Obrad. — O której schodzą się klienci?

— Koło ósmej. O dziewiątej zamykamy. — Charakterystyczne na jego twarzy były ciężko okrywające oczy powieki. Kiedy mówił, ledwo poruszał wargami i wyglądało to tak, jakby jego głos wydobywał się właśnie z półprzykniętych oczu.

Geza Bahleda zakasłał.

— Mam do pana prośbę — powiedział do bufetowego — niech pan pójdzie do baru i sobie też naleje kolejkę. Napije się pan z nami?

161

— Napiję — powiedział bufetowy i ruszył w stronę baru.

Geza Bahleda patrzył za nim.

— Niech mi pan coś powie — zagadnął go. — Gdzie pan był w czasie wojny?

— Tutaj byłem — powiedział bufetowy, nalewając sobie rumu. Ciągle stał za barem, jakby na coś czekał. — Handlowałem winem.

— Już kiedyś piłem to pańskie wino — wycedził Geza Bahleda. — Tyle że to nie było pana wino, tylko moje. Kim one są? — spytał, gdy spostrzegł dwie kobiety przy barze.

Bufetowy patrzył przez chwilę ponuro. Ścisnął w dłoni szklaneczkę rumu. Ciągłe nie miał okazji jej wypić. — To moja żona i synowa — odpowiedział, wskazując kobiety niedbałym gestem.

Szymon Obrad spojrział na nie i skinął głową. Geza Bahleda znów zwrócił się do bufetowego.

— A one wiedzą, kim jestem?

— Nie sądzę — powiedział bufetowy. — To pan Geza Bahleda i jego przyjaciel — przedstawił gości.

Geza Bahleda skłonił się lekko. Kobiety odpowiedziały uśmiechem.

— Nigdy mnie panie nie widziały? — spytał uprzejmie.

Szymon Obrad odwrócił się w ich stronę, żeby mogły i na niego popatrzeć. Kobiety uśmiechnęły się i przecząco pokiwwały głowami. Młodsza bardziej się uśmiechnęła.

— No to będziecie mogły sobie teraz na nas popatrzeć. — powiedział Szymon Obrad. — Zostajemy tu do wieczora.

— A wieczorem dokąd pójdziecie? — spytała synowa bufetowego.

162

— Pójdziemy dalej.

— Dokładnie wieczorem?

— Jak tylko się ściemni.

Szymon Obrad przekomarzał się z nią, jak z dzieckiem, a jego szerokie, figlarne rysy twarzy sprawiały, że przypominał sobie z okresu dzieciństwa. Na taką twarz zawsze miło popatrzeć. Kobiety też patrzyły raczej na niego niż na jego kompana.

Geza Bahleda miał kamienną twarz.

— A nie przyjdzie się pan z nami stuknąć? — zapytał bufetowego.

Bufetowy podszedł, wyciągnął dłoń i stuknęli się szklanekami, ale nie przysiadł się do stolika. Wypił połowę rumu, wrócił za kontuar i nalał sobie wody sodowej do szklanki. Szymon Obrad wyjrzał przez okno. Właśnie zaczęło się ściemniać.

— Przyszliśmy trochę za wcześnie — powiedział. — O tej porze zazwyczaj śpimy.

— Ludzie zwykle schodzą się tu pod wieczór — powiedział bufetowy i odstawił butelkę z wodą sodową do cebra. —

— Pan też często śpi o tej porze, widzieliśmy. Mamy takie same zwyczaje.

Bufetowy wytarł ręce, podszedł do drzwi i zatrzymał się przy nich.

— Jak pan się nazywa? — spytał Geza Bahleda.

— Ja? — bufetowy odwrócił się i spojrział w stronę kobiet. — Nazywam się Bocz. — powiedział bez pośpiechu.

— Ilu ludzi o takim nazwisku mieszka w tej wiosce?

— Sporo.

163

— I pewno niejednemu w czasie wojny dom się spalił.

Prawda?

— Niejednemu.

— Byłoby dobrze, gdyby kobiety zawołały tu wszystkich, którym pod koniec wojny spalił się dom. Niech im powiedzą, że przyszedł Geza Bahleda. Wystarczy, jeśli pójdą do krewnych o nazwisku Bocz.

— Kobiety mają co robić — powiedział cicho bufetowy. — Czego chcecie od moich krewnych?

Szymon Obrad dopił swoją szklaneczkę.

— Panu przecież będzie na rękę, jeśli przyjdą — powiedział. — A może krewni piją tu za darmo?

— Tu każdy za siebie płaci — uciął bufetowy.

— W takim razie, nalej pan — Szymon Obrad wstał i przeszedł się po gospodzie. Pomieszczenie było długie, wąskie, z oknami na trzy strony. Na ścianach wisiały stare plakaty z miejscową drużyną kręglarzy. — A ty to kto? — spytał małego Petera Bócza, który ciągle siedział za barem, ale coraz bliżej ich stolika.

— Mówią na mnie mały Peter Bocz — powiedział chłopiec.

— I kochasz swojego dziadka?

— Nie kocha — przerwał lekko już zdenerwowany bufetowy — bo jego dziadek nie żyje. Jestem jego ojcem.

Geza Bahleda spojrział na niego.

— I pan mi jeszcze mówi, że pan nie wie, kim jestem.

— Nie wiem — odpowiedział bufetowy.

— Pan się na nas gniewa — powiedział Szymon Obrad z udawanym smutkiem w głosie, co zabrzmiało niemal

164  
komicznie. — A przecież powinien nas pan kochać. Sam się pan przekona, jak już przyjdą pańscy krewni. Bufetowy odwrócił się, kazał dzieciakowi wracać za bar. Chłopiec usiadł na wysokim krześle i wziął ołówek do ręki.

— Czemu mielibyśmy go skrzywdzić? — powiedział Szymon Obrad, który obszedł bar i stanął obok chłopca. — Co tam rysujesz, synku?

— To dwa domy, ulica, a to wy dwaj, jak tu idziecie.

— Prawdziwy z ciebie artysta — powiedział Szymon Obrad i położył dłoń na głowie chłopca. Miał tak dużą dłoń, że prawie go zakryła. W drugą rękę wziął rysunek i pokazał Gezie Bahledzie. — Patrz. To my, jak tu idziemy. Geza Bahleda nawet nie spojrział.

— Choć tu, daj buziaka wujkowi Gezie — powiedział. Bufetowy szepnął coś do kobiet i złapał chłopca za rękę.

— A ty, króliczku, jak się nazywasz? — spytał Geza Bahleda z tym samym martwym wyrazem twarzy i skinął na młodszą kobietę.

— To nie żaden króliczek, tylko moja synowa — powiedział z naciskiem w głosie bufetowy.

— Ilona — powiedziała synowa bufetowego.  
— Ilona wcale się na nas nie gniewa — powiedział przy-  
milnie Szymon Obrad. — Ilona chętnie by sobie jeszcze  
na nas popatrzyła, prawda? Ale musi iść zwołać krewnych.  
Synowa bufetowego uśmiechnęła się. Szymon Obrad też  
odpowiedział uśmiechem.

— Niech pani idzie, Ilono. Ściemnia się.

— No to co?

165

— Zostajemy tylko do wieczora.

— A wieczorem gdzie pójdziecie?

— Wieczorem odejdziemy — powiedział Szymon  
Obrad. — W dzień śpimy i jemy, a w nocy wędrujemy.  
Podoba się pani?

Geza Bahleda zdjął czapkę i zawiesił ją na otwartym  
oknie. Miał siwe, krótkie włosy, wyglądał jakby niedawno  
był ścięty na zero.

— A teraz — powiedział do bufetowego — niech nam  
pan zrobi coś do jedzenia. A przedtem niech nam pan jesz-  
cze przyniesie dwa litry dobrego wina. Pamiętam, że miał  
pan niezłe wino, sprzedawał je pan na straganie. Pewnie  
ten stragan też spłonął.

Bufetowy miał mroczne spojrzenie, patrząc mu w oczy,  
człowiek miał wrażenie, jakby zaglądał do ciemnej rury.  
Bufetowy ruszył w kierunku Gezy Bahledy, ale potem skrę-  
cił w stronę półki.

— Co do tego podać? — spytał sucho, sięgając po dwie  
litrowe butle.

— Co się panu podoba — rzucił Szymon Obrad. —  
Spory kawał mięsa. Pan Bahleda ma chęć na duży kawał  
mięsa. — Następnie zwrócił się do Petera Bócza — Ładną  
masz żonę — wskazał na synową bufetowego.

Synowa bufetowego uśmiechnęła się. Bufetowy, który  
był już w kuchni, odwrócił się bez słowa i skinął na żonę,  
żeby przyszła mu pomóc.

— Narysuj coś jeszcze — powiedział przyjaźnie Szymon  
Obrad do małego Petera Bócza.

— Was się łatwo rysuje — powiedział chłopiec i usiadł  
na krześle pod ścianą.

166

— Mądry chłopiec — powiedział Geza Bahleda. Przy-  
bysze stuknęli się szklankami i dopili resztkę rumu.

— Mogę zanieść wino? — zapytał chłopiec ojca.

— Możesz — krzyknął z kuchni bufetowy.

Mały Peter Bocz wziął z lady dwie szklanki i wino i za-  
niósł je do stolika gości. Odkorkował jedną butelkę i nalał  
wina w szklanki. Szymon Obrad schwycił chłopca i przy-  
ciągnął go do siebie.

— Powiedz, mały, masz rodzeństwo? — spytał.

— Mam starszego brata. Miałem jeszcze jednego, ale  
umarł, jak się wieś paliła.

Geza Bahleda uśmiechnął się krzywo.

— Chodź, daj buziaka wujkowi Gezie — powiedział.  
— Muszę się zapytać — powiedział chłopiec i pobiegł do kuchni.

Odchyłili się na krzesłach. Geza Bahleda obserwował drzwi do kuchni, a Szymon Obrad wejście do lokalu.

— Bardzo mi teraz dobrze — powiedział Szymon Obrad, gdy wypili po szklaneczce.

— Tobie jest zawsze bardzo dobrze. Zawsze robiłeś to, o co cię prosili, a potem dostawałeś za swoje.

— Chyba zawsze byłem szczęśliwy. Nie wiem, co mogłoby mnie zasmucić. No, chyba jakby mnie nikt nie kochał. Ale człowiek zawsze ma kogoś, kto go kocha.

— Ty się urodziłeś, żeby być czyimś przyjacielem — powiedział ciepło Geza Bahleda. — Bardzo cię pokochałem. Za tę twoją niezwykłą wierność.

— Trzeba kogoś kochać i komuś ufać, a ja tak sobie myślę, że święty z ciebie człowiek — powiedział Szymon Obrad i twarz mu złagodniała. — Możliwe, że jeszcze dziś

167  
wieczorem przyjdą spotkać się z tobą. I sami się przekonają, że jesteś święty.

Geza Bahleda spuścił głowę.

— Sam dobrze nie wiem, kim jestem. Pytałem, jak dawali mi papiery i mówili, że mogę iść, powiedzieli, że teraz jestem weteranem czy kimś takim. I żebym poszedł do tych, co mnie pokochają, że oni mi powiedzą.

— Jesteś weteranem z krwi i kości.

Szymon Obrad nalał wina. Na ulicy ciągle panował spokój, w karczmie słychać było tylko brzęk kuchennych naczyń. Żona bufetowego obserwowała ich przez wycięte w drzwiach do kuchni okienko do podawania posiłków.

Szymon Obrad skłonił się jej uprzejmie, po czym opadł na stół i zaczął wolno, z godnością podśpiewywać: „I złamał se chu..., i złamał se chu..., i złamał se chude ramię, bo spadł na du..., bo spadł na du..., bo spadł na duży głaz”.

A Geza Bahleda przytupywał do taktu.

Bufetowy wyjrzał przez okienko w drzwiach, a potem odsunął się, by przepuścić synową. Ta prowadziła za rękę małego Petera Bócza, ruszyli prosto w stronę wejściowych drzwi.

— Dajcie buziaka wujkowi Gezie — powiedział Geza Bahleda.

— Życzą sobie panowie jeszcze czegoś? — spytał bufetowy, który właśnie wyszedł z kuchni i usiadł za barem.

— To się zobaczy — powiedział Szymon Obrad. — Pan Bahleda nie wie dokładnie, ile da radę zjeść. Szczególnie jeśli chodzi o mięso.

— Dziwne — powiedział bufetowy. — A tak, swoją drogą, skąd jesteście?

168

— Ze świata — powiedział Szymon Obrad. — Jesteśmy synami tej ziemi.

— Czyimi?  
— Tej ziemi. I nieba. Jesteśmy synami ziemi i nieba.  
— Niech wam będzie. Nie bardzo rozumiem — powiedział bufetowy, wzruszając ramionami.  
— Kiedyś pan zrozumie i wtedy nas pan pokocha — powiedział Szymon Obrad. — Przyszliśmy, żeby nas pokochano.  
— Nie wiem, po co przyszliście — powiedział z niedowierzaniem bufetowy. — Tego właśnie nie wiem.  
Szymon Obrad nagle wstał, poszedł w stronę drzwi, gdzie było trochę wolnego miejsca, zebrał kilka krzeseł i ustawił je w dwóch rzędach, od pieca wzdłuż ściany.  
— Co pan wyrabia? — spytał zaskoczony bufetowy.  
— Usiądą tu. Ustawiłem tak, żeby dobrze widzieli — rzucił od niechcienia Szymon Obrad.  
— Po cholere? Krzesła mają stać jak stały. Po jaką cholere je przestawiać? — Bufetowy podszedł do krzeseł. — A co niby mają widzieć?  
— Mnie — dobiegł go zza pleców niepewny głos Gezy Bahledy. Było znać, że jest już nieco podcięty.  
— Zastanówcie się — powiedział bufetowy i zerknął w stronę wejścia. Do środka wszedł jakiś mężczyzna i poprosił o papierosy. Bufetowy poszedł za kontuar, wyciągnął z szuflady paczkę papierosów i wskazał oczami na nieznanym. Kiedy mężczyzna odwrócił się, żeby na nich spojrzeć, Geza Bahleda zagadnął go.  
— Jestem Geza Bahleda. Zna mnie pan?  
Mężczyzna odwrócił głowę i wlepił tępy wzrok w bufetowego.

169

— Idź stąd — szepnął mu bufetowy.  
— Niech pan nigdzie nie idzie — powiedział Szymon Obrad. — Albo może niech pan idzie z tym, czego się pan dowiedział, a potem niech pan tu wróci. Tak będzie nawet lepiej. Więc jak, wróci pan?  
Mężczyzna nie odpowiedział, ruszył wolno ku drzwiom, a po drodze uważnie przyjrzał się Gezie Bahledzie.  
— Niech nas pan nie zasmuca — powiedział gorzko Szymon Obrad do bufetowego.  
Bufetowy cofnął się za kontuar, usiadł i obserwował drzwi wejściowe.  
Geza Bahleda napełnił szklanki. Szymon Obrad usiadł z powrotem pod oknem i poklepał przyjaciela po twarzy. Napili się wina. Chwilę później obaj popatrzyli na bufetowego.  
— Chrzci pan wino — powiedział spokojnie Szymon Obrad.  
Bufetowy podniósł wzrok.  
— Czy wy w ogóle wiecie, jak smakuje chrzczone wino?  
— Tak. Pan pewnie nigdy nie chrzczył?  
— Nigdy. Zawsze sprzedawałem porządne — odpowiedział bufetowy. Widać było, że nie bardzo wie, co po-

wiedzieć.

— W takim razie nic pan nie wie — powiedział Szymon Obrad.

— Co mi pan tu wygaduje?

— To znaczy, że pan nawet nie wie, jak to jest, kiedy patrzę na pana i myślę, że przestał pan chrzcić wino.

— Powiedziałem już, nigdy nie chrzcilem wina.

170

— I w tym problem — westchnął Szymon Obrad. — Pan nas nigdy nie pokocha. Czyści ludzie nie znają miłości.

— Coś nie tak ze mną lub z moim winem?

Szymon Obrad zaczął się śmiać.

— A niech pan mi powie, cieszy się pan, że pan go nie chrzci?

Bufetowy wzruszył ramionami.

— Nie wiem, czy się cieszę. Z czego miałbym się cieszyć?

— Czyli to nikogo nie cieszy. W takim razie pewnie by się pan cieszył, gdyby pan je chrzciał. A niech mi pan pokaże, dokąd prowadzą te drzwi.

Bufetowy otworzył drzwi na podwórko. Szymon Obrad zszedł parę schodków w dół, przeszedł się po obejściu.

Bufetowy zamknął za nim.

— Wie pan, kim on jest? — spytał sennym głosem bufetowego Geza Bahleda.

Bufetowy nie odpowiedział, był już bardzo zmęczony.

— To święty Szymon — powiedział Geza Bahleda.

Bufetowy nie spuszczał gościa z oczu, jednocześnie zerkał ku drzwiom. Widać było, że nie chce, by ktokolwiek wszedł do środka.

— Święty Szymon — powtórzył bufetowy. — Niech wam będzie.

— To był bardzo dobry chłopak. Przez pewien czas aresztował Żydów, ale jednego nie chciał aresztować. Tak trafił do Jugosławii, do kamieniołomów. Spotkaliśmy się jakiś czas później, w miejscu, w którym znalazł się przez tych Żydów. To mój przyjaciel. Co pan na to?

171

— Proszę, nie rozmawiajmy o tym — powiedział bufetowy. — Pan Obrad pewnie ma powody, by pana lubić, ale nie mówmy o tym.

Tymczasem otworzyły się drzwi na podwórze. Wrócił Szymon Obrad, przespacerował się jeszcze po sali, a potem usiadł za stołem. Bufetowy poszedł do kuchni i po chwili wrócił z tacą w ręku. Postawił ją na kontuarze, coś poprawił i przyniósł gościom do stolika. Były na niej po dwie kielbasy z musztardą.

— Widzę, że hoduje pan świnię — powiedział Geza Bahleda.

— A widziałeś kiedyś karczmarza, co nie hoduje świń? — zaśmiał się Szymon Obrad.

— Nie hoduję świń — powiedział wolno i dobitnie bufetowy.

— E, Szymon — szepnął Geza Bahleda, kiedy bufetowy odszedł od ich stolika. — Boję się.

Szymon Obrad poklepał przyjaciela po twarzy. W czasie jedzenia kilka razy zerkał na bufetowego i po przyjacielsku się do niego uśmiechał, ale twarz bufetowego była nieporuszona.

— No — powiedział Szymon Obrad. — A co pan na to: pan Geza Bahleda podjadł już sobie i popił, a teraz by się do kogoś poprzytulał. Kiedy kładą się u was dziewice?

— Dziewice — powtórzył cicho, jakby do siebie bufetowy. Potem pokręcił głową. — Tego wam nie mogę zapewnić.

— No, no — wyszeptał Szymon Obrad z dziecięcą szczerą i pełnym wyrzutem spojrzeniem. — A może jednak coś by się znalazło. Może chociaż dajmy na to: prawiczek.

172

Bufetowy ledwo zapanował nad sobą:

— Że niby jak?

— No, mały aniołek — powiedział Szymon Obrad.

Bufetowy pokiwał głową.

— Ej, Szymon — powiedział Geza Bahleda. — Popatrz na mnie.

— Lepiej idź się przewietrzyć — powiedział Szymon Obrad, nie przerywając jedzenia.

Geza Bahleda wstał i chwiejnym krokiem podszedł do drzwi, którymi wcześniej wychodził jego przyjaciel. Zostawił za sobą otwarte, więc było widać, jak schodzi po schodach i idzie w stronę furtki skleconej z desek.

Gdy Szymon Obrad skończył jeść, oparł się o stół i zaczął nucić. Od czasu do czasu wesoło kiwał głową do bufetowego. Ten jednak najwyraźniej nie chciał na niego patrzeć, stał w drzwiach wychodzących na ulicę. Szymon Obrad nie spuszczał z niego wzroku.

— Zawsze u pana taki tłum?

— Nie. Bywa większy — powiedział bufetowy, nie odwracając się.

Zjawiła się żona bufetowego, weszła na krzesło, zapaliła lampę naftową i już miała wrócić do kuchni, gdy zagadnął ją Szymon Obrad.

— Proszę tu na chwilę podejść — powiedział do niej cicho.

Kobieta zatrzymała się. Szymon Obrad wskazał na bufetowego.

— Co on najbardziej lubi?

— Co? — bufetowy spojrzał w ich stronę. — O czym rozmawiacie?

173

— Lubi się pan uśmiechać?

— Pewnie.

— A uśmiechnął się pan już dziś?

— Czego pan ode mnie chce?

— Niczego. Czemu się pan nie uśmiecha? W końcu przyszedliśmy do pana w gości.

— A ja was obsłużyłem. Choć sam już nie wiem, czy dobrze zrobiłem.

— A niech mi pan powie, co pan o nas myśli, skoro się pan wcale nie uśmiecha?

— Nic nie myślę. Da pan wiarę? Nic a nic — powiedział bufetowy.

Na dworze zmierzchało. Szymon Obrad podszedł do drzwi, stanął obok bufetowego i wyrzwał na zewnątrz. Paru ludzi stało pod ścianą i na ulicy.

— Zaraz tu wejdą. Wreszcie dowiedzą się, kim jesteśmy.

— Wątpię — powiedział cicho bufetowy.

Geza Bahleda musiał przez ten czas obejść dom, bo pojawił się nagle na końcu ulicy i zbliżał się chwiejnym krokiem.

Jego ubranie tonęło w mroku i zdawało się, jakby zbliżała się tylko jego wielka, ogolona na łyso głowa. Bufetowy cofnął się spod drzwi. Powietrze chyba nie najlepiej na niego podziałało, bo podpierając się, z trudem podszedł do stolika. Szymon Obrad pomógł mu usiąść na krześle. Bufetowy spojrzął na niego bez słowa, z lekkim obrzydzeniem.

— Niech pan przyniesie butelkę — powiedział Szymon Obrad.

— O dziewiątej zamykam — powiedział bufetowy.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

174

— Nic takiego. Tyle że pora kończyć.

— Czekamy na przyjaciół. Mają tu przyjść.

— Nie przyjdą — powiedział bufetowy.

Szymon Obrad podszedł do drzwi, by się jeszcze raz rozejrzeć.

— Z kim rozmawiasz? — spytał Geza Bahleda.

— Z naszym przyjacielem — uspokoił go Szymon Obrad.

— Panie Obrad — zwrócił się do niego bufetowy. — Niech pan przyjdzie na chwilę.

Szymon Obrad wstał i wolno, z pytającym wyrazem twarzy, ruszył w stronę bufetu.

— Nie przyjdą — powiedział mu bufetowy.

— Dlaczego?

— Bo tak.

— Niech pan poda to wino, o które prosiłem.

Bufetowy sięgnął po butelkę i zaniósł do stolika. Geza Bahleda nawet na nią nie spojrzął. W ogóle nigdzie nie patrzył.

— Pan Bahleda nie powinien już więcej pić — powiedział cicho bufetowy.

— O, pan go jeszcze nie zna — powiedział Szymon Obrad. — Ale pewnie się pan już domyślił, że chodzi tu o spotkanie. Jedynym pragnieniem pana Bahledy jest spot-

kanie z ludźmi, którzy z pewnością też chcą się z nim zobaczyć. Łączy ich wiele wspólnych wspomnień. Co pan na to?

— To, że ci ludzie chcą, żeby zostawiono ich w spokoju. Nie cierpią, gdy ktoś ot tak zjawia się i babra się we wspomnieniach. Zbyt wiele przeszli.

175

Bufetowy mówił cichym, zmęczonym głosem, niczym stary, nieugięty ksiądz. Stał za barem, wyciągnął kartkę i zaczął podliczać.

— Ale ludzie czasem myślą, że ktoś do nich całkowicie należy i że mogą z nim robić, co im się żywnie podoba. Tak właśnie było tym razem — powiedział Szymon Obrad. Nalał sobie wina do szklanki, przeszedł się po karczmie, a potem usiadł na jednym z krzeseł, które sam wcześniej ustawił pod ścianą.

Geza Bahleda nadal nigdzie nie patrzył. Nie zauważył nawet pełnej butelki, która przed nim stała. Po chwili wolno oparł głowę na dłoni.

Bufetowy nieco uniósł głowę, ale nie spojrzał w jego stronę. Kiedy już podliczył cały rachunek gości, podszedł do Szymona Obrada, wręczył mu papier i czekał. Szymon Obrad długo wpatrywał się w kartkę, potem spojrzał na niego z uśmiechem.

— Co to? — spytał nieco zadziwiony.

— Rachunek — powiedział bufetowy.

— Rachunek. Poważnie, rachunek? — powtórzył Szymon Obrad i popatrzył na cyfry. — Pan naprawdę nie wie, kim jesteśmy?

— Jestem Geza Bahleda — dał się słyszeć za plecami zapijaczony głos Gezy Bahledy.

Słyszając to, Szymon Obrad zerwał się z miejsca i obiema dłońmi wskazał przyjaciela.

— To pan Bahleda — powiedział przymilnie. — Ten sam Geza Bahleda, który puścił z dymem waszą dostatnią i kwitnącą wieś — mówiąc to, wyciągnął do bufetowego kartkę. Bufetowy cofnął się o krok, ale nie wziął kartki.

176

— Niech pan na niego spojrzysz — zachęcał Szymon Obrad.

— Nie — odpowiedział bufetowy. — Nie trzeba.

— Niech pan spojrzysz i pokocha.

— Nie. Nie chcę.

— No, niechże pan wspomni — nalegał Szymon Obrad.

— Niech pan wspomni! — rozkazał Geza Bahleda.

— Nie pamiętam. I nie chcę wspominać.

— To ja panu pomogę! — powiedział Szymon Obrad i postąpił ku niemu. — Skoro tak, to panu pomogę.

Bufetowy cofnął się z wolna, zakrywając własny cień na ścianie.

— Niech pan sobie przypomni trzeszczące, walące się dachy. Skrzynie ze ślubną wyprawą palące się w chałupach.

Niech pan sobie też przypomni odór palonych zwierząt.

Bufetowy milczał.

— Uwaga — szepnął Szymon Obrad — przypomnę panu tamten dźwięk...!

Bufetowy, wolno cofając się, dotarł pod ścianę, odwrócił się tyłem do sali i zamarł. Wbił zmęczony wzrok w pełne smutku spojrzenia osób stojących pod ścianą.

— Niech pan pomyśli o spalonych niemowlętach. I niech pan pokocha.

Głos Szymona Obrada długo unosił się w powietrzu, a kiedy już wybrzmiał, bufetowy wolno odwrócił się. Z jego twarzy zniknął cały opór i zmęczenie, i tylko ciemniały jego oczy, były czarne jak wnętrze jakiejś rury. Szukał wzrokiem Gezy Bahledy. Bez uległości, przytomnie popatrzył na gościa, który całkiem już zmożony alkoholem leżał na stole, gapiąc się w ciemną salę.

177

Szymon Obrad podszedł całkiem blisko.

— Pan Geza Bahleda spędził za to równe dwadzieścia lat w więzieniu, dokładnie tyle, ile przedtem na wolności. I panu Gezie Bahledzie nie zostało nic. Nic, o czym mógłby pomyśleć, tylko wy. Przez cały ten czas myślał tylko o was. O tym, że kiedyś tu wróci i go pokochacie. Wiele razy pytał sam siebie: dokąd miałby pójść i gdzie indziej mogliby go pokochać, jeśli nie tu, gdzie go pamiętają?

Szymon Obrad podetknął bufetowemu rachunek pod sam nos.

— Niech pan to sobie zatrzyma. Pan Geza Bahleda był dziś u pana na kolacji. O tym, co pan Geza Bahleda zrobił dla waszej wsi, potrafią zapomnieć tylko umarli, a pamiętać będą tylko żywi. To święty.

Szymon Obrad podszedł do przyjaciela i pomógł mu wstać.

— Mam wrażenie — powiedział — że pan Bocz nas zrozumiał, pan Bocz wszystko wspomniał. Możemy na niego liczyć.

Gezie Bahledzie głowa opadła na stół i strużka śliny pociekła na obrus. Wolno kiwnął ręką w kierunku drzwi do kuchni.

— Niech go pan podtrzyma — powiedział Szymon Obrad, zwracając się w stronę, gdzie przedtem stał bufetowy. Zerknął też w stronę drzwi do kuchni. Kotarka poruszyła się.

— Słyszysz pan?! — krzyczał — niech go pan podtrzyma, bo się przewróci.

Odwrócił się i zobaczył, że bufetowy zniknął. Gwałtownie rozejrzał się wokoło, ale w sali świeciła tylko

178

lampa naftowa, której nieporadne światełko rozplywało się w ciemności.

— Ten cały Bocz zniknął! — krzyknął Szymon Obrad.

— Ten cały Bocz zniknął — bełkotał Geza Bahleda

i spłoszony rozglądał się wkoło.

Nagle otwarły się drzwi do kuchni i do sali wbiegła żona bufetowego. Trzymała w dłoni dwie gotowane kolby kukurydzy i parę kiści winogron.

— Śpieszcie się — powiedziała.

— Gdzie się podział ten Bocz? — Szymon Obrad pozapinał Gezie Bahledzie kurtkę i wcisnął teczkę do ręki.

— Pośpieszcie się. Uciekajcie.

Szymon Obrad wziął gotowaną kukurydżę i winogrona, a drugą ręką podtrzymywał Gezę Bahledę. Żona bufetowego skierowała ich ku drzwiom.

— Idziemy — powiedział Geza Bahleda. — Wychodzimy. Trzeba się trochę przejść.

Szymon Obrad objął przyjaciela ramieniem i doprowadził do drzwi.

— Przejdziemy się, a potem wrócimy. Potem, jutro, pojutrze...

— Pośpieszcie się — nalegała żona bufetowego.

Geza Bahleda podtrzymywany przez Szymona Obrada spojrzął na kobietę i spytał:

— A dostanę buziaka?

I wtedy mrok panujący w gospodzie przecięło światło latarki. Ktoś był na zewnątrz. Światelko zatańczyło po ścianach i między stołami, aż wreszcie odnalazło twarz Gezy Bahledy i zatrzymało się. Zgasło dopiero, gdy obcy wyszli na zewnątrz.

179

Na dworze było już całkiem ciemno, odrobina światła sącząca się przez okno gospody oświetlała jedynie zakurzone kamienie.

Była dziewiąta. Żona bufetowego zamknęła drzwi.

Zdjęła lampę naftową ze ściany nad barem i usiadła na krześle koło drzwi do kuchni.

Chwilę później w drzwiach od podwórza zjawiała się synowa bufetowego, prowadząc za rękę małego Petera Bócza. Chłopiec pozbierał porozrzucane kawałki papieru, na którym ojciec spisał rachunek gości.

— Kto to był? — spytał.

— Wędrowcy — odpowiedziała matka.

Chłopiec usiadł na wysokim stołku przy barze i zaczął rysować na podartej kartce. Żona bufetowego siedziała przy drzwiach do kuchni, gapiąc się przed siebie. Na drugim krześle usiadła synowa bufetowego. I też patrzyła przed siebie. Czekwały, aż wróci bufetowy.

Było już dość późno, a one nadal siedziały w milczeniu.

Co jakiś czas spoglądały na siebie, a potem na drzwi. Bufetowy ciągle nie wracał.

Jakiś czas później mały Peter Bocz usnął za barem. Kobiety ciągle siedziały w milczeniu. W przerwach między falami snu otwierały oczy i spoglądały na drzwi. Aż wreszcie, gdy było już bardzo późno, zobaczyły tego, na którego czekały. Jego smukła sylwetka zamajaczyła w drzwiach. I jego

mroczone oczy, czarne jak wnętrze ciemnej rury. Kobiety nie odezwały się ani słowem, tylko patrzyły. Nie podeszli do siebie. Mały Peter Bocz spał za barem, zostali w karczmie jeszcze bardzo długo.

Przełożyła Małgorzata Komorowska-Fotek  
EUFRAT POD BABILONEM

Tego dnia, kiedy widziałem ojca po raz ostatni, bo trzech mężczyzn wsadziło go do samochodu i dokądś zabrało, tego dnia dotknąłem piersi Andrei Nopritz. Najpierw tylko przez bluzkę, dopiero potem sięgnąłem dalej i tak długo je obmacywałem, że powiedziała: dość.

Tego dnia w południe wróciłem do domu trochę później, gdyż w drodze ze szkoły zamieniłem temperówkę na kolorowy obrazek. Była to ilustracja wycięta z jakiejś encyklopedii, naklejona na sztywny kartonik i przykryta przezroczystą bibułą. Przedstawiała rzekę, która mieniła się czerwonym, oślepiającym blaskiem. W nadbrzeżnych szuwarach, obok dziwnego okrągłego statku, młody brodaty mężczyzna czyścił osiołka. Drugi, wygolony na zero, przyglądał mu się spod palmy. Na obrazku nie było ani jednego cienia, nie rzucały cienia ani postacie, ani osiołek, ani wieże widoczne na horyzoncie, ani ponure miejskie mury. Wszystko lśniło tylko w czerwonej poświacie pustynnego świtu. Pod obrazkiem widniał napis: „Eufrat pod Babilonem”.

Świńskie Ucho sprzedawał obrazek podczas przerwy, ale wtedy tylko zachwalał i nie chciał zdradzić ceny. Gdy wyszliśmy ze szkoły, wyjął go z teczki i jeszcze raz pokazał.

181

— Bierzesz czy nie?

— Ile za niego chcesz?

Świńskie Ucho wskazał na kolejowy nasyp, tam, gdzie kończyło się szkolne ogrodzenie. Stała przy nim Andrea Nopritz, córka Mariusa Nopritza, pułkownika, miała na sobie rozpięty płaszcz. Ostatniej zimy nagle bardzo urosła, a piersi zrobiły się jej takie wielkie, że nie mogła się dopiąć. Świńskie Ucho wskazał na nią i powiedział:

— Jak pójdziesz do niej i złapiesz ją za cycek, obrazek jest twój.

Andrea Nopritz sennym wzrokiem spoglądała na szkolną bramę. Kiedy podeszedłem bliżej, zauważyłem, że już wy-  
skubuje sobie brwi. Była ode mnie prawie o pół głowy wyższa. Stałem przed nią.

— Cześć — rzuciłem.

Nigdy się ze mną nie witała, więc i teraz nie odpowiedziała, obserwowała tylko moją dłoń, jak zbliża się do poły deszczowego płaszcza, wsuwa pomiędzy guziki i przesuwa dalej.

— Ty chcesz mnie złapać za pierś.

— Tylko dotknę — powiedziałem. — Żeby z daleka tak wyglądało.

— Zostaw mnie. Idź do cholery.

Przeszedłem na drugą stronę ulicy i wróciłem do Świńskiego Ucha. Wzruszyłem ramionami.

— Nie złapałeś — odparł. — Nawet jej nie dotknąłeś, więc obrazek się nie należy.

— Rzeczywiście. Ale prawie złapałem.

— No dobrze — skwitował Świńskie Ucho. — Ale daj mi temperówkę.

182

Temperówka już dawno się Świńskiemu Uchu podobała.

Był to szary kotek odlany z żelaza, ołówek wsuwało się pod ogon, a z pyska wylatywały strużynki. Wyjąłem temperówkę z piórnika i dałem Świńskiemu Uchu. A on dał mi obrazek.

W tej samej chwili do Andrei Nopritz podeszli Peter Bocz i Łysy. Stali we troje przy nasypie, pod jednym parasolem i przyjacielsko się poszturchiwali.

— Dzięki — powiedziałem do Świńskiego Ucha. —

W porządku jesteś.

Babcia powiedziała o tej wiosnie, wiosnie pięćdziesiątego drugiego roku, że ciężkie brunatne chmury zwiastują coś złego. I rzeczywiście, bez przerwy lało, a od czasu do czasu robił się nieznośny upał, niebo płowiało, to znów ciemniało i nad miastem zawisała ciemna burza. W dusznym upale przebijały się młode pędy, wyzierały spod pękających tynków, rozsadały chodniki i ściany. Wiezorami, kiedy wiatr ustawał, na ulicach panowało przenikliwe zimno.

Ale tego dnia nawet nie grzmiało, tylko niepostrzeżenie się zachmurzyło i w ciszy lunął deszcz. Na kolejowym wiadukcie sapała lokomotywa, biała para opadała na ulice, na podwórko pana Tiszlera, przed nasz dom, tam, gdzie stała czarna tatra z silnikiem pod tylną maską. Siedziało w niej czterech mężczyzn. Pan Tiszler stał przed drzwiami, trzymał nad głową parasol i czekał, co się wydarzy.

Z obrazkiem ukrytym pod płaszczem wlokłem się do domu, przed piekarnią dogonili mnie Peter Bocz, Łysy i Andrea Nopritz. Wszyscy palili papierosy. Peter Bocz po przyjacielsku szturchnął mnie w bok.

— Cześć, Uszaty. Obiecałeś, że w Zielone Świątki pocałujesz mnie w dupę — powiedział i odwrócił się do

183

Andrei Nopritz: — Widziałaś rzekę? Koryto jest pełne wody, brudnej jak ścieki. Spływają nią potężne korzenie, na których siedzą całe rodziny.

— Ej, daj spokój — odparła Andrea Nopritz — chodźmy lepiej do kina.

— Znaczy, nie chcesz oglądać ze mną wodnych ludzi?

Nawet psy i gołębie zabrali ze sobą.

— Daj spokój. Znaczy, nie idziecie do kina?

Przebiegłem przez ulicę obok czarnej tatry i wszedłem do bramy. W kuchni postawiłem obrazek na kredensie i oparłem o moździerz, żeby wszyscy mogli go oglądać. Wyjaśniłem, że widać na nim Eufrat, a rzeka tak wolno płynie, że lina, którą umocowany jest do brzegu statek,

wcale się napina, pokazałem, co znajduje się na statku: pasy, haki, wiosła, a pomiędzy dziurawymi bukłakami na wino drewniane pudełko, pudełko na skorpiony, z pięcioma wywietrznikami, pięcioma wystającymi sznurkami, do których przywiązano pięć skorpionów zamkniętych w pudełku. W tamtych czasach, kiedy ktoś miał choćby jednego skorpiona, mógł się samotnie udać w drogę.

— Hm — mruknął ojciec, usiadł przy stole i zaczął jeść zupę.

Na obiad była fasolowa, na drugie danie naleśniki z jabłkami. Ale tamtego dnia nie zjedliśmy drugiego dania, bo ojciec nagle odłożył łyżkę, wstał od stołu i odsunął lekko zasłonę w oknie. Pod płótem stało czterech potężnych mężczyzn, dwóch z nich miało na sobie skórzane płaszcze. Trzech ruszyło w stronę ogrodu, jednym z nich był pułkownik Nopritz. Czwarty został na zewnątrz i spacerował wzdłuż ogrodzenia.

184

Twarz matki zrobiła się biała i wilgotna niczym świeżo obrany kartofel. Raptownie zabrała ze stołu mój talerz, zniosła go do pokoju i postawiła na biurku, na otwartych zeszytach. Ręce jej tak drżały, że rozlała prawie połowę zupy.

Niewiele zjadłem, właściwie tylko pogmerałem łyżką w fasoli i wybiegłem do kuchni zabrać swój obrazek, który zostawiłem na kredensie oparty o moździerz.

W kuchni czuć było swąd palonych liści, ojciec stał w kącie odwrócony tyłem, ledwie się mieścił obok kosza na śmieci. Trzech potężnych mężczyzn kręciło się po kuchni.

Wyciągali szuflady, grzebali pomiędzy brzęczącymi pokrywkami, chochlami, na czworakach zaglądali pod meble, otwierali nawet pojemniki z przyprawami, wysypywali je na rozpaloną płytę, a sól i cukier do wody w zlewie.

Kiedy wróciłem do pokoju, nie miałem już chęci na zupę.

Pod pachami czułem zimny pot, w brzuchu bulgoczące gorąco. Zostawiłem talerz pełen zupy i wybiegłem do ubikacji.

Ubikacja była u nas nie w łazience, ale w małym pomieszczeniu na końcu korytarza, za drzwiami pomalowanymi szarą farbą. Zamknąłem za sobą drzwi, opuściłem spodnie do kolan i usiadłem. Obrazek położyłem na ziemi.

Opuściłem głowę aż do kolan i przyglądałem się obrazkowi: wtedy zauważyłem, że nie tylko mężczyzna siedzący pod palmą jest zupełnie łysy, że osioł również wcale nie ma sierści. Mężczyzna miał ohydny jajowatą głowę, za uszami też był dokładnie wygolony, a osiołek zamiast grzywy miał na szyi krótką ostrą szczecinę. Byli to prawdopodobnie ormiańscy handlarze wina i ktoś ostrzygł ich osła. Oni wozili na statkach palmowe wino, a kiedy

185

sprzedali wino, sprzedawali także statki, za miedziane gwoździe i haki, resztę rzeczy ładowali na osła i ruszali w powrotną drogę.

Długo siedziałem tak bez ruchu, i dopiero wtedy zacząłem nadstawiać ucha, kiedy usłyszałem piskliwy odgłos szyn na wiadukcie. Nadjeżdżała drezyna, wdrapałem się na deskę i wyjrzałem przez okno. Był to szaroniebieski kadett. Patrzyłem za nim, aż dźwięk silnika umilkł pomiędzy domami. Przed piekarnią stała już grupka ludzi, czekali na popołudniowy chleb, wśród nich byli Peter Bocz i Andrea Nopritz. Peter Bocz przyjaźnił się wtedy z Łysym, a przez kilka dni również z Jóską Rabuzinem. Założyli się z Łysym, że któryś z nich rozbierze Andree Nopritz, zabierze jej ubranie i zostawi nagą. Z Rabuzinem wtedy już nie można się było przyjaźnić.

Rabuzin był skryty i nadęty, ale to jednak on zagadnął Petera Bócza, kiedy ten nad brzegiem leniwie płynącego strumienia łowił sobie ryby. Kilka drobnych rybek już leżało na brzegu, nanizanych na sznurek przeciągnięty przez pyski i skrzela, kiedy Jóska Rabuzin stanął obok Petera.

— Mam transformator — odezwał się. — Taki malutki. Jak przyjdiesz, to ci pokażę.

Peter Bocz wzruszył ramionami, obojętnie zarzucił wędkę w miejsce, gdzie przypominająca prześcieradło, ciemna i lśniąca woda zaczynała lekko wirować — tam spodziewał się coś złowić. Kiedy miał już cały sznureczek ryb, bez najmniejszego entuzjazmu ruszył za Rabuzinem, chyba dlatego, że ten mieszkał w pobliżu.

Na stole leżał transformator, wyglądał jak parowa maszyna, tylko całkiem malutka.

186

— Włącz — powiedział Peter Bocz.

— Nie da rady — odparł Jóska Rabuzin. — Przepaliły się zwoje. Chętnie bym ci włączył, ale nie działa.

— No to czego chcesz?

— Niczego — odpowiedział Jóska Rabuzin. — Chciałem ci coś pokazać. — I spod podłogi wyciągnął zwój map. — No a na to, co powiesz?

Były to naklejone na płótno wojskowe mapy sprzed pierwszej wojny światowej.

— A więc dlatego mnie tu przyprowadziłeś.

— Widziałeś. Ale teraz morda na kłódkę.

Innego dnia Rabuzin tkwił na rogu przed „Tik-Takiem”. Stał odwrócony tyłem do karczmianego smrodu, jak gdyby czekał właśnie na Petera Bócza, który wyłonił się z ulicy Olejowej. Ale to wszystko był chyba tylko przypadek.

— Idę do dentysty — odezwał się Rabuzin. — Jak mnie odprowadzisz, zabiorę cię potem na Młyńską Górę i coś ci pokażę.

Peter Bocz tym razem nie miał nic przeciwko, ale zapytał:

— Co?

— Jak zobaczysz, to się zesrasz.

Poczekał na niego pod płotem, aż tamten wyszedł z przychodni, stanął przed nim i otworzył usta. Pokazał próbną

plombę w zębie, w przednim siekaczu. Potem ruszyli za miasto wznoszącymi się pod górę uliczkami. Kiedy dotarli na Młyńską Górę, lunął deszcz.

— Wszystko do niczego — skwitował Jóska Rabuzin. — Bardzo mi przykro, ale nie znoszę, kiedy pada. Pokażę ci kiedy indziej.

187

Gdy wrócili do miasta, Rabuzin rzucił na pożegnanie:

— Wiem o czymś, ale pamiętaj, morda na kłódkę.

— No, mów.

— Wiesz, kto zastrzelił konia Jeno Korbulyego? Nie wiesz? Pułkownik Nopritz. Zadzwoił do Korbulyego i powiedział: „Szukam konia”. Potem wszedł do stajni, wyciągnął pistolet i wystrzelał cały magazynek prosto w pierś zwierzęcia.

Z końca korytarza dochodził głos pułkownika Nopritza.

— Czy wy macie robaki, czy co? Kręcicie się jak gówno w przereźbli.

Musiał mówić do mojej babki, bo po chwili usłyszałem jej wysoki piskliwy głos:

— To ja jestem tutaj u siebie, nie ty, synku.

W pomalowanych na szaro drzwiach ubikacji, na wysokości moich oczu poruszyła się mosiężna klamka. Lekko opadła i tak już pozostała.

— Jesteś tam? — zapytała babcia.

— Tak — odpowiedziałem. — Sram.

— To najlepsze, co możesz zrobić. Bardzo dobrze, że tam jesteś — powiedziała babka i obróciła klucz w zamku. — Siedź sobie, niedługo po ciebie przyjdę.

Wracając do pokoju, chyba nie zamknęła za sobą drzwi — dochodziły stamtąd dalekie odgłosy, trzask zamykanych i otwieranych szaf, stukanie guzików toczących się po podłodze, rumor spadającego z półki rzędu książek.

— Mają jedenaście prześcieradeł, towarzyszu pułkowniku — wrzeszczał ktoś. — Jedenaście. A inni nie mają ani jednego.

188

Ale pułkownika Nopritza najwyraźniej to nie zainteresowało. Zapytał tylko:

— Czy to biskup pisał do pana te listy?

Nie słyszałem, czy ojciec odpowiedział. Ostatni raz usłyszałem jego głos, kiedy coś tępo uderzyło o dywan i rozbiło się w drobny mak.

— Czy to pan zrzucił? Kto to zrzucił? Co to było?

Ojciec odpowiedział:

— Porcelanowa małpka.

W tamtych czasach ojciec rzadko ze mną rozmawiał.

Raz jednak wezwał mnie do swojego biura. — Wiesz — rzekł — pan Bocz rozpowiada, że my jemy tłuszcz z mamutów. Żeby musieli w tundrze wykopywać mamuty spod lodu.

— A nie jest tak?

— Ty w to wierzysz? Jaki z ciebie komunista?

— Pan Bocz też był komunistą.

— Skoro go zabrali, to znaczy, że nie był.

Było wpół do piątej, a z pokoju ciągle jeszcze dochodziły rozmaite hałasy. Osobowy z Óradna zbliżał się do kolejowego wiaduktu. Przyglądałem się krótkiemu składowi złożonemu z małych, starych wagoników, jak przetacza się przez wiadukt i opuszcza miasto. Kiedy Peter Bocz wrócił do domu, tylko kot czekał na niego w progu drzwi. Wtedy z sąsiedniej bramy wyszedł Rekk Bundas z wiadrem brudnej wody i wylał ją do ulicznego ścieku. Rekk Bundas miał na sobie białą nocną koszulę do kostek, na bosych stopach znoszone półbuty. Śmierdział potem, jego smród długo jeszcze wisiał w nieruchomym powietrzu. Peter Bocz też

189  
go pewnie poczuł, stojąc przed drzwiami swojego domu, dokąd zapędził go deszcz.

Od kiedy Peter Bocz został w domu sam, Rekk Bundas ciągle przychodził do niego. Jak jakiś głupek kręcił się przed domem, miał do niego swoje klucze. Początkowo obserwował, kiedy Bocz wychodzi z domu, i dopiero wtedy wchodził do środka sprawdzić, czy wszystkie przedmioty są na swoim miejscu, czy czegoś w ciągu dnia nikt nie przestawił. Ostatnio jednak przychodzi nawet wtedy, gdy Peter Bocz jest w domu. Staje za nim, kiedy przepisuje nuty, i przygląda się wyłaniającym się spod pióra znakom.

— Pan w domu? — pyta wówczas zdziwiony. — Zobaczyłem, że pali się światło, pomyślałem, że zajrzę. Proszę mi powiedzieć, co to jest?

— Jak to co? Pięciolinia, a na niej nuty.

— Nuty — szepcze. — Aha. Nuty: tajemne znaki.

Kot ciągle jeszcze czeka w progu na Petera Bócza, choć Bocz chce go sprzedać do fabryki leków.

— Zobacz — powiedział kiedyś do Łysego. — Zobacz, jaki wielki. Dostanę za niego na dwa albo trzy bilety do kina.

— Z kim ty pójdziesz do kina? — zapytał Łysy ponurym głosem.

— Na przykład z tobą — odparł Peter Bocz. — Jak akurat tak wyjdzie albo z Jóską Rabuzinem.

— W to akurat nie wierzę. Z nim na pewno nie.

— Jak go zaproszę, na pewno pójdzie.

— Nie pójdzie. Rabuzin nie chodzi do kina. Rabuzina w nocy zabrali.

— Co takiego? Dokąd go zabrali?

190

— Zabrali. Wplątał się w coś. Znaleźli u niego pod podłogą jakieś mapy.

U mnie pod podłogą niczego nie ma. Posadzka jest lekko wilgotna, leży na niej obrazek, który kupiłem od Świńskiego Ucha. Na obrazku nic nie rzuca cienia, a uszy ogolonego

na zero mężczyzny, mimo że siedzi pod palmą, prześwie-  
la słońce. Nie odbija się też w wodzie sylwetka młodego  
brodatego mężczyzny, który szczotką uplecioną z trzciny  
czyści swojego osiołka. Dlaczego czyści osiołka, właściwie  
nie wiadomo, może zbłąkani Grecy pobrudzili go odcho-  
dami. W tamtych czasach pełno było tam wędrujących  
Greków. Chodzili z nożycami w dłoniach i szukali zwie-  
rząt do strzyżenia, i kiedy człowiek znalazł się sam poza  
miejskimi murami, mogli go nawet zabić.

Na dworze właśnie przestało padać, po odgłosach dud-  
nienia poznałem, że pociąg minął już zakręty i wjeżdża  
pomiędzy zabudowania. Stałem na desce i wyjrzałem  
przez okno. Kot Petera Bócza siedział na progu, a przed  
piekarnią spora grupka czekała jeszcze na popołudniowy  
chleb. Z przeciwległego końca ulicy nadchodził Jenó Kor-  
bulu i ciągnął za sobą dwukołowy wózek. Szofer w czar-  
nej tatrze palił papierosa, tylko raz zmierzył wzrokiem  
nasz dom. Zatrzymał spojrzenie na wąskim okienku, przez  
które właśnie wyglądałem. Był niskim blondynem o twa-  
rzy zeszpeconej ospą.

Wygląda na to, że Jenó Korbuly zaczął chodzić na pie-  
chotę. Ostatni widział jego konia Peter Bocz, wtedy właśnie,  
gdy poszedł za miasto, wzdłuż Tuzokmal na Młyńską Górę,  
zobaczyć, co ma do pokazania Jóška Rabuzin. Z Tuzokmal  
niskie pagórki prowadziły na łagodne zbocza Młyńskiej  
191

Góry. Nikt tamtędy nie chodził, tylko muchy krążyły nad  
krecimi kopczykami.

Z Młyńskiej Góry nie widać było nic specjalnego, tylko  
gwarne miasto rozciągające się w dole. Wzgórze z jednej  
strony miało zbocze, z drugiej przechodziło w równinne  
moczary, poprzecinane długimi, wąskimi pasmami karło-  
watyh wierzb. Peter Bocz przeszedł spacerem ku osłonie-  
tej od wiatru polance w pobliskim zagajniku, zdjął mary-  
narę, potem koszulę, by wystawić ciało na słońce. Usiadł  
na trawie, przymknął oczy i rozkoszował się ciepłem. Po  
jakimś czasie odwrócił się, by wygrzać sobie również ple-  
cy. Teraz już nie zamykał oczu, widział przez gałęzie rów-  
ninne moczary.

Pośrodku, pomiędzy wpatrzonymi w niebo błyszczą-  
cymi oczkami moczarów, rósł czarny krzew, który bez-  
ustannie się poruszał, bo jego listowie tworzyły czarne  
kruki, które siedziały ciasno, jeden przy drugim. Kiedy  
Peter Bocz wstał, żeby przyjrzeć mu się z bliska, czarne li-  
ście nagle się rozpierchły. Na ziemi zostały tylko zwłoki  
sporego ptaka, z rdzawobrazowymi, nagimi żebrami ster-  
czącymi do góry. Kruki wzniosły się ku niebu, leciały wy-  
żej i wyżej, zostawiwszy wreszcie za sobą strzelające strąże,  
odleciały w kierunku miasta. W zaroślach został tylko  
koń Jenó Korbulyego, ten sam, którego zatrzymał i zaraz  
potem zastrzelił pułkownik Nopritz. Leżał oparty grzbie-  
tem o zarośla, ogryziony z mięsa, z żebrami sterczącymi

na wszystkie strony.

Znowu otwały się drzwi do pokoju, usłyszałem odgłos kroków na kamiennej posadzce, ktoś widocznie wyszedł na korytarz. Ktoś też otworzył drzwi do szarej szafy, na

192  
ziemię spadły związane w paczki, pożółkłe gazety, worki z orzechami, powykrzywiane ołowiane rury, twarde lisie skóry i nienapompowane dętki.

Nadeszła kolej na pomalowane na szaro drzwi, za którymi właśnie siedziałem.

Mosiężna klamka poruszyła się na wysokości moich oczu, opadła w dół i tak już została.

— A tutaj co jest? — ktoś zapytał.

— Klozet — odpowiedziała mama, jako że na drzwiach nie było żadnego napisu.

— Chcemy zajrzeć do środka.

— Proszę — odparła mama. Ktoś przekręcił w zamku klucz. W tym samym momencie przyłożyłem dłoń do zasuwki, powoli pociągnąłem i otworzyłem drzwi od środka. Drzwi otwały się, spojrzałem w żółte oczy rosłego mężczyzny. Czuć było od niego lekarstwami, miał na sobie szary zimowy płaszcz i czarne śniegowce. Jego twarz przypominała łokieć. Nie można było z niej wyczytać, czy się cieszy, że mnie tam zobaczył, czy może jest zaskoczony. Ta twarz nie zdradzała niczego, chociaż przyglądaliśmy się sobie nieruchomo przez kilka długich minut, on stojąc na korytarzu, ja siedząc z opuszczonymi spodniami na sedesie, a pomiędzy nami leżał na ziemi „Eufrat pod Babilonem”.

— He — rzekł w końcu pachnący lekarstwem mężczyzna i w swoich śniegowcach ruszył bezgłośnie po korytarzu.

Pułkownik Nopritz pod szarymi wełnianymi spodniami też miał czarne śniegowce, wszedł w nich na obrazek, obrócił butem do siebie i obejrzał. Pochylił się i przeczytał tytuł.

193

— Gówniarz — rzucił w moją stronę i poszedł dalej.

— Siedź tu — szepnęła mama. — To dobre miejsce. Niedługo po ciebie przyjdziemy.

Zamknąłem za sobą drzwi i podniosłem obrazek z ziemi. Wytarłem go z kurzu, ale ślad gumowych podeszew pułkownika Nopritza pozostał. Położyłem obrazek przed sobą na podłodze. Czarne ślady znaczyły teraz bukłaki na wino, poprzekłuwane lancami przez wędrownych Greków, kark osiołka i nadbrzeżne szuwary.

W sąsiednim domu, u Tiszlerów grała na fortepianie Gizella Weisz. Uczyła się w Moskwie i tylko latem przyjeżdżała do domu na parę tygodni. Była taka świadoma, że rozmawiała tylko z moim ojcem, i to rzadko, mówili wtedy o wewnętrznym wrogu. Stałem na desce, patrzyłem przez zasłonę na jej rude włosy, szczupłe plecy i sukienkę w pepitkę.

Peter Bocz wychodził właśnie z domu z Łysym, zrobili kilka kroków za bramę i zapalili. Z pewnością dostrzegli czarną tatrę stojącą przed naszym ogrodzeniem, ale mówili o czymś innym.

— Mówią, że dosypują bromu — powiedział Peter Bocz.

— Niby do czego?

— Do papierosów.

— A po co?

— Żebyśmy nie byli nerwowi.

— A o mamucim tłuszczu słyszałeś?

— Tak, mówią, że dostajemy z Syberii mamuci tłuszcz.

194

— Co z ciebie za komunista?

— Jestem komunistą. Ale tak mówią.

Ledwie zniknęli za narożną piekarnią, w bramie pojawił się Rekk Bundas z wiadrem brudnej wody i wylał ją do ścieku. Miał na sobie czarny dres, w miejscu kołnierzyka zwisał mu na karku kaptur. Otworzył bramę Petera Bócza, jak gdyby wracał do siebie do domu, i wszedł.

Rekk Bundas ciągle jeszcze żył, choć bracia Brezló już dawno chcieli go załatwić. Tego samego dnia, którego zabrali Jóskę Rabuzina, pojawili się wieczorem u Petera Bócza. Do pasa mieli przytwierdzone rowerowe łańcuchy, na nogach pomalowane na czarno trampki, na głowach czarne kominiarki.

— Chcemy zabić Rekka Bundasa — oświadczyli. — My go zabijemy, a ty ukryj nas na strychu. Od tygodni mieszkamy pod Młyńską Górą po kostki w wodzie.

— Jeśli o mnie chodzi, możecie go zabić — odpowiedział Peter Bocz. — Ale spać wam tutaj nie pozwolę.

— Pozabijamy wszystkich donosicieli, tylko pozwól nam się wyspać — powiedzieli bracia Brezló. — Albo zacniemy wypytywać, kto wiedział o mapach Rabuzina.

Ale potem bracia Brezló zniknęli, a Rekk Bundas był teraz w mieszkaniu Petera Bócza.

Ormiańscy handlarze win zatrzymali się kiedyś pod uschniętym, przeredzonym lasem. Zabrali nad brzeg osła, żeby sobie pojadł suchego ostu, trochę chrustu i się wysikał. Nagle brodaty zapytał: „Czy ty też widzisz to samo co ja?”. Nieopodal stało dwóch Greków, twarze mieli nieruchome, pomarszczone i bezbarwne jak łokieć. Zęby niczym skruszałe kamienie. „Ej, wy tam, strojnisie — wrzeszczeli. — Co

195

za osła tu macie? Nie wydaje się wam, że ma trochę za dużo sierści? Chyba trzeba go ostrzyc. Nie mówcie nam tylko, że nie. Dostaliśmy rozkaz, żeby strzyc wszystkie osły”.

Przed moimi oczami poruszyła się klamka. To była mama. Ale drzwi były zamknięte od wewnątrz.

— Wyjdź na chwilę — poprosiła.

— Nie wyjdę — odparłem. — Sram.

— Wyjdź na chwilę, zobaczyć się z ojcem.

— Nie wyjdę — odpowiedziałem. — Przecież mówię, że sram.

— Później go nie zobaczysz — powiedziała matka. — Wyjeżdża.

Niedawno, było chyba wtedy świętego Serwaca, na miasto spadł grad, a po nim rozpętała się na zboczach Młyńskiej Góry lodowata wichura i na kilka godzin zamieniła kałuże w lód. Niskie chmury zakrywały wzgórze, a kiedy gdzieś trochę się podniosły, można było dostrzec, że wróciła zima: szczyty lśniły śniegiem pod szarymi kłębamii chmur. Śnieg przykrył również zwłoki konia Jeny Korbulyego, nie zostało na nich ani kawałka mięsa, nawet kruki omijały je z daleka.

Pod zdziczałymi zaroślami rosnącymi pomiędzy murami opuszczonej gorzelni pękały kamienne płyty. Stał tam mała tramwaj, chyba pierwszy, jaki jeździł po mieście. Boki miał brunatne od rdzy, która je zżerała. Peter Boczek siedział w kucki na środku wagonika i palił przesączone olejem kartony. Naprzeciw niego na rozpadającym się siedzeniu siedziała Andrea Nopritz.

196

— Jak nie jest ci bardzo zimno, chodź ze mną — powiedział Peter Boczek. — Coś ci pokażę.

— E tam. Co takiego?

— Jak zobaczysz, to się zesrasz. Kryjówkę Jóska Rabuzina.

— Co takiego? Nie wiem, o czym mówisz — powiedziała Andrea Nopritz. — Spójrz lepiej na moje stopy. Spójrz. Podobają ci się moje stopy?

— Ma teraz w zębie próbną plombę — powiedział Peter Boczek. — To u niego znaleźli te mapy.

— Co takiego? Nie wiem, o czym mówisz. Jak tu posiedzimy, pokażę ci udo.

Spotkaliśmy się pod kolejowym wiaduktem, kiedy wracali z fabrycznego podwórza. Stałem naprzeciw nich. Powiedziałem Peterowi, że jak pójdziemy do nas, dostanie od mojej babci kawałek chleba z masłem i jeszcze słoik kompotu.

— Kto to jest? — zapytała Andrea Nopritz, wskazując na mnie palcem.

— A kto ma być? Nie znasz go?

— Skąd mam go znać?

Pogoda była taka, że świat przypominał białoczarne fotografie. Znowu padało, filary wiaduktu mieniły się czarnym i szarym blaskiem, po szybie czarnej tnatry spływały strugi wody. Właśnie ktoś włączył wycieraczkę. Szofer siedział już w środku, dwóch mężczyzn wpełzło ojca na tylne siedzenie, po czym usiedli po jego obu stronach. Trzeci z nich, który trzymał ręce w kieszeniach, usiadł obok szofera. Kiedy zapalili silnik, pan Tiszler stanął przed domem, otworzył parasol i ukradkiem obserwował odjeżdżający

197

samochód. Za jego plecami, w głębi mieszkania, grała na

fortepianie Gizella Weisz.

Po drugiej stronie ulicy, przed piekarnią, stała pod parasolem Andrea Nopritz i ziewała. Obok niej stał Łysy, پوستurchiwali się żartobliwie.

— Jak myślisz, na jak długo starcza próbna plomba? — zapytał nagle Łysy.

— Czy ja wiem? Dopóki nie wypadnie.

— Ma w zębie próbna plombę.

— Kto taki?

— Wiesz przecież. Jóska Rabuzin.

— Nie znam go. Nie wiem, o kim mówisz. Zaczekasz na mnie?

— Mogę zaczekać — odparł Łysy.

Andrea Nopritz weszła do piekarni, Łysy gapił się w niebo. Nadciągały brunatne burzowe chmury, powoli zapadał zmierzch. Andrea Nopritz wyszła z piekarni i wcisnęła Łysemu w rękę drugie ucho siatki. Ruszyli przed siebie, pomiędzy nimi kołysał się gorący chleb.

— Znam jedno miejsce — odezwała się Andrea Nopritz. — Posikasz się, jak zobaczysz.

Łysy zatrzymał się, mierzył wzrokiem obcisłą bluzkę Andrei Nopritz.

— Odniosę chleb i możemy iść — powiedziała Andrea Nopritz. — Niedaleko jest stary tramwaj, można w nim rozpalić ognisko. Jak pójdziesz ze mną, to ci pokażę stopy.

— Poważnie? No to idę.

Kiedy dotarli do rogu ulicy, Łysy nagle stanął jak wryty. Stał na skraju chodnika, a Andrea Nopritz szarpała ucho

198  
siatki, żeby szedł dalej. Ale Łysy zapał się i ani drgnął z miejsca, tylko powolutku wypuścił z dłoni ucho. Nie odwracał wzroku od Rekk Bundasa.

W tym momencie bowiem Rekk Bundas wyszedł z bramy Petera Bócza z wiadrem brudnej wody. Jak poprzednio miał na sobie czarny kaftan z kapturem i zniszczone półbuty na bosych nogach. Wiadro kołysało się w rytm jego kroków, a w wiadrze owoc miesiąca pracy Petera Bócza, zapisany nutami papier. Rekk Bundas szedł dokąds z wiadrem.

Łysy rzucił się w pościg za nim, już go prawie dogonił, kiedy nagle się odwrócił, skręcił w ulicę Olejową i pobiegł dalej. Nie rozumiałem, o co mu chodzi.

Mosiężna klamka znów opadła w dół, drzwi były jednak zamknięte od środka, matka zaczęła się dobijać.

— Naprawdę możesz już wyjść—powiedziała. —Wszyscy już sobie poszli, jesteśmy sami. No wyjdźże już stamtąd.

Inni też potrzebują.

— Dobrze. Już wychodzę.

Poczekalem, aż matka przejdzie przez korytarz, a woda przestanie szumieć, napełniając rezerwuar. Podciągnąłem spodnie, podniosłem z ziemi obrazek. Próbowałem zdrapać ślady butów pułkownika Nopritza, ale odciski czarnej gumy przywarły do purpurowego blasku pustynnego po-

ranka niczym pieczęcie.

W drodze do kuchni słyszałem słowa babci:

— Jeszcze dziś rano nie byłoby za późno. Gdyby poszedł do ogrodu, do kurnika, trzeba by mu tylko zanościć jedzenie.

— Okaże się, że to pomyłka — powiedziała matka trochę za głośno. — Jutro pójdę do partii.

199

— Nigdzie nie pójdziesz — odpowiedziała babcia. — To nie pomyłka, dobrze wiesz. Nigdzie nie pójdziesz.

Kiedy wszedłem do kuchni, twarz matki jakby pojaśniała.

— Zobacz mamó, jak ten dzieciak urósł. — I położyła mi rękę na ramieniu. — Prawda, że urósł? Mój Boże, jak ty urosłeś.

— Gdzie tam urósł — powiedziała babcia.

Obrazek postawiłem na kredensie. Pełno tam było rozsypanej soli, cukru, pieprzu, rumianku, bazylii. Wszędzie wałały się ogryzki ołówków.

— Spójrz, mamó, jak on urósł. Chyba nie w klozecie.

Co się mogło z nim stać?

— Uspokój się wreszcie — strofowała ją babcia.

Wziąłem do ręki ogryzek ołówka i obrysowałem czarny ślad buta, od oślego przyrodzenia do samej ziemi, po czym zacieniowałem rysunek tak, żeby przypominał rurę. Po między nogami osła namalowałem dwa jaja i też je zacieniowałem. Rura sięgała do samej ziemi, ale nie kończyła się tam. Poprowadziłem ją pomiędzy szuwarami aż do Eufratu, tam zostawiłem pod wodą i wyprowadziłem dopiero na przeciwległym brzegu, prosto w powietrze, w stronę purpurowego słońca, i wreszcie obrysowałem żołądz. Nie trzeba było już nawet malować farbą.

— Rysujesz? — zapytała matka. — Co ładnego rysujesz? Może jesteś głodny? Zjedz coś.

— Dlaczego miałby być głodny — zdziwiła się babcia.

Babcia zatoczyła się nagle niczym spadający liść i oparła o kredens. Wtedy wyszedłem z kuchni i przeszedłem przez podwórze. Na wilgotnym ogrodzeniu dostrzegłem żółtawy

200

blask, wiedziałem, że w kuchni ktoś zapalił światło. Odwróciłem się i zobaczyłem, jak tamte w kuchni, niczym wyczerpani zapaśnicy, padają sobie w ramiona i tak stoją chwiejnie.

Po drugiej stronie ulicy stała Andrea Nopritz. Zagniewana patrzyła w stronę ulicy Olejowej, którą tak nagle czmychnął Łysy. Zauważyła mnie, jej senne spojrzenie, jakby zroszone deszczem, było mętne i zamglone. Szybko mrugała oczyma, nie mogła się zdecydować, czy mnie poznaje.

— Cześć — rzuciłem, kiedy dotarłem na środek jezdni.

Stała z rozchyłonymi ustami i obserwowała mnie spod lekko opuszczonych powiek.

— Wyobraź sobie — powiedziałem. — Mój ojciec... —

Ale nie dokończyłem. Stałem przed nią na skraju chodnika.

— To ty? Czego tam stoisz? Podejdź bliżej.

— Mam podejść?

— Chodź, chodź.

— Chciałbym ci coś dać — odezwałem się.

— Chodź tutaj — powiedziała. — Jeśli chcesz, możesz teraz dotknąć mojej piersi.

Przełożyła Elżbieta Sobolewska

ZJAWY

Niespodziewany gość

Od kiedy mama odeszła, samotnie mieszkam w starym domu z tarasem na skraju wsi, w pobliżu ujścia Izy. Ostały się tylko wyblakłe stare mury w kolorze spłowiałego nieba, z których niczym kora ze spróchniałego pnia całymi płatami sypie się pokryty kurzem tynk. Pobędę tu, póki i mnie coś się nie przydarzy.

Od bramy do wejścia na taras prowadzi wysypana piaskiem ścieżka. Po niedawnej ulewie wyraźnie widać, że ktoś na wysokich obcasach przeszedł przez podwórze i przed wejściem na taras wytarł nogi. Żadnych prowadzących z powrotem śladów nie widać.

Za domem na wąskim kawałku ogrodu, w sięgającej prawie pasa trawie, rosną moje śliwy. O takiej porze, po deszczu, zapach wilgotnej trawy i chwastów omija mury domu, przedostaje się na podwórze i kiedy otwieram drzwi, nagłym powiewem wdziera się do wnętrza. Teraz jednak w drzwiach czeka na mnie coś zupełnie innego, zapach nieoczekiwanego gościa. W pokoju siedzi wyperfumowana kobieta, co wyraźnie wyczuwam, gdyż od czubków jej uszu oraz spod pach promieniają obce dla mnie zapachy.

203

— A to ciekawe — mówię. — Czyżby drzwi były otwarte?

— Nie — odpowiada kobieta. — Nie sędzę, żeby były otwarte.

Kobieta siedzi na jednym z niskich foteli, trzyma nogę na nodze, lekka sukienka uwydatnia figurę. Podmalowane oczy, pełne kształty, gładka skóra i nie w takim wieku, aby mogła być moją matką. Na ramionach pokrytych delikatnym puszkim ślady szczepienia po ospie. Jeżeli dotknę skóry, zapewne wyczuję ciepło.

— Pan mnie nie zna — odzywa się spokojnie, dość cichym głosem, chociaż poza mną nie ma nikogo w pobliżu. — Nazywam się Ojnicza, tylko tyle mogę powiedzieć.

Skłaniam głowę i siadam na takim samym niskim fotelu co mój gość. Czekam, aż poda mi rękę, a wtedy i ja się przedstawię. Nie podaje mi jednak dłoni, tylko mówi:

— Pański ojciec jest zdrow.

— Skąd pani to wie?

— To już moja sprawa. Dość, że ja to wiem.

Językiem lekko dotyka kącika ust i patrzy, tylko pa-

trzy.

Podnoszę się nagle z fotela i otwieram okno. Po ciepłym deszczu ogród aż paruje, na zielonych jeszcze śliwkach lśnią grube krople.

— Jeśli to prawda, co pani mówi — odpowiadam — dziękuję.

— Śledztwo zostało już zakończone — mówi cicho Ojnicza. — Ojciec czuje się dobrze. Może dostać trzy lata. Stoję i patrzę na kobietę, która przyniosła mi takie dobre wieści. Patrzę na pulchną dłoń i na punkt, w którym

204  
między piersiami schodzą się ramiona sukienki. Najchętniej tam właśnie bym jej dotknął, tam, gdzie najpełniej można zanurzyć się w emanującym od niej zapachu.

— Tylko tyle? — pytam.

Ojnicza lekko pochyla głowę i mówi:

— Może dostać i pięć.

Wychodzę do kuchni, otwieram drzwi spiżarki i zaglądam do środka. Wiszą w niej cienkie półce wędzonej słoniny, na półkach stoją słoiki z konfiturami, w pajęczynie na oknie brzęczy mucha. Zdejmuję z półki słoik z konfiturami ze śliwek i stawiam przed panią Ojniczą. Piękne, ciemne śliwy w gęstym syropie wyglądają kusząco.

— Proszę to ode mnie przyjąć.

— Nie mogę — odpowiada Ojnicza. — To nie byłoby dobrze. Co bym odpowiedziała, gdyby mnie zapytano, od kogo dostałam?

— Przecież to tylko słoik konfitur — odpowiadam.

— Ale ja mam męża — mówi Ojnicza.

— Rozumiem — potwierdzam ruchem głowy. — Może przynajmniej na miejscu skosztujemy.

Przynoszę z kuchni talerzyk, łyżeczkę i szklanę wody.

— Proszę.

Ojnicza podnosi szklanę do ust, wypija do połowy.

Wstaje i rusza w stronę drzwi, ja zaś idę za nią.

— A o co go oskarżają? — pytam.

— Jak będę miała jeszcze jakieś dobre wieści — mówi Ojnicza — to znów przyjadę. — I już kładzie rękę na klamce.

— Dziękuję — mówię i również kładę rękę na klamce, ale Ojnicza cofa swoją dłoń, grzebie w torebce i wyjmuje

205  
klucz. Widzę, że pasuje do zamka moich drzwi, a po plecionym, skórzanym rzemyku, na którym ten klucz wisi, poznaję, że należał do mego ojca, póki tu mieszkał. Kobieta bawi się tym kluczem prosto przed moim nosem.

— Czy dzięki temu kluczykowi mogę tu jeszcze przyjść?

— Ależ tak — odpowiadam. — Kiedykolwiek tylko pani zechce, proszę bardzo.

Ojnicza rusza do bramy, przechodzi pod orzechowym drzewem, z którego spadają jeszcze krople po deszczu, ob-

casy szpilek wbijają się w mokry piasek ścieżki i pozostaje tylko smuga obcego zapachu.

Kobieta okrężnymi drózkami, przez zaułki, jakby chyłkiem kieruje się w stronę stacji kolejowej i nawet błądzi w dwóch miejscach, nim trafi do celu. Ukryty za towarowymi wagonami obserwuję ją, jak czeka na peronie na podstawienie składu. Widzę, jak zajmuje miejsce w przedziale pierwszej klasy i czekam aż do momentu, kiedy zawiadowca daje sygnał do odjazdu pociągu.

Nie jest miejscową kobietą, myślę. Rzeczywiście, mogłem się tego domyśleć.

Oczekiwanie

Od rana czekam na Ojniczę. Jeśli przyjedzie, przywiezie wieści, dobre lub złe, ale czegoś się dowiem. Dla mnie jednak ta kobieta to coś więcej niż prywatny listonosz czy życzliwy przyjaciel z dobrymi wieściami: kiedy przyjeżdża

206

zostaje u mnie na całe popołudnie, a potem i na noc. Choć przecież powiedziała, że ma męża.

Otwieram okna wychodzące na wąski pas mego ogrodu i patrzę na sąsiedni sad obu chłopców Mihalków. Tam już trawa urosła tak wysoko, że w przyszłym tygodniu na pewno ją skoszą, a wtedy przyjedzie po nią swoim jednokonnym zaprzęgiem Jenó Eugen Korbuly. Zbierze leżącą pod śliwami, orzechami i krzakami agrestu skoszoną trawę i zawiezie dla królików porucznika Nopritza.

Kręcę się w pobliżu otwartych okien, wsłuchując się w dochodzące od stacji kolejowej odgłosy, i czekam na zmęczony łoskot nadjeżdżającego pociągu. Tory wspinają się pod górę aż do zwrotnicy, gdzie maszyniści raptownie wypuszczają parę i pociąg poczciwie stacza się na końcową stację. Ślęcę w oknie oparty na łokciach i gdy już moje oczy przywykły do ciemnej zieleni agrestu i orzechów — a to już jest około południa — w sięgającej kolan trawie ogrodu Mihalków dostrzegam kurzą klatkę. Od niedawna chyba tam stoi, skoro pierwszy raz ją widzę. Na pewno nowa klatka. Za szczebelkami coś w klatce się rusza. Nie wiem co, ale na pewno nie kury.

Stawiam sobie na parapecie kubek kwaśnego mleka, pijam i zagryzam zielonymi pędami czosnku oraz skórką bułki. W pokoju cichutko gra radio i zaraz zapowie dokładny czas. Południowy pociąg już dawno wtoczył się na stację, a jednak ciągle nikt nie gmera zawieszonym na rzemyku kluczem w zamku drzwi. Ech, ta Ojnicza, ech, ta Ojniczowa.

Wyłażę przez okno, unoszę kolczasty drut ogrodzenia i przeczołguję się do ogrodu Mihalków. Pełzam w trawie

207

do kurzej klatki. Podnoszę się przed klatką, wpatruję w nią i patrzę, patrzę.

— Czy to wy, towarzyszu Pinczes?

— Cicho! — odpowiada nieogolony człowiek w klatce.

— Broda wam urosła, ale poznaję, że to wy. To i was już też szukają, towarzyszu Pinczes?

— Błagam, zamilczcie.

— Ale przecież to wy.

— Idźcie stąd, błagam, odejdźcie — mówi człowiek w klatce.

— Idę — mówię. — Bo tu śmierdzi.

W ciągu dnia przyjeżdżają do nas dwa pociągi. Pierwszy przed południem, ten już dawno przyjechał, drugi pod wieczór. Dzień płynie powoli, upływa bez żadnych wieści, bez miłego gościa, a już popołudnie. A przecież na dziś nawet coś ugotowałem, kiszoną kapustę na skórkach wędzonej słoniny, sownicie przyprawioną macierzanką. Nawet jej nie odgrzewam, łyżką kosztuję prosto z garnka, bez chleba, małe grudki tłuszczu przywierają mi do podniebienia. Potem znów wyglądam przez okno i patrzę, co się dzieje w ogrodzie Mihalków. A tam w kurzej klatce siedzi partyjny towarzysz Pinczes. Siedzi we własnych brudach i czeka. Czeka, żeby go nakarmiono.

Znów czołgam się pod ogrodzeniem, pełzam w trawie aż do kurzej klatki i tam się podnoszę. W kącie klatki siedzi w kucki człowiek i patrzy na mnie przerażonym wzrokiem. We włosach pierze, w zaroście pierze, kawałeczki brudnej słomy na twarzy. Czasem drgnie tylko, jakby mu w żyłach płynęły łzy. Obok brązowa kupa własnego kału.

208

— A co będzie, towarzyszu Pinczes, jak spadnie śnieg? — szeptem pytam, aby nie urazić go głośnym słowem. — Bo i zima na tym świecie bywa.

— Błagam — szlocha człowiek w kurniku. — Błagam, odejdźcie stąd.

Więc odchodzę, na czworaka brnę przez trawę do domu, tą samą drogą, którą się przyczółgałem. Potem siedzę, opierając się na parapecie okna, aż mi poczerwienieją łokcie.

Wieczorny pociąg już dawno dotarł do celu, a ja nic, tylko Ojnicza mi w głowie, która dziś nie przyjechała. I chwilami myślę, co to będzie, kiedy spadnie śnieg.

Czułe pożegnanie

Dziś wyjeżdża Ojniczowa. Kilka dni temu przyjechała z dobrymi wieściami: mojego ojca właściwie uniewinniono i całe szczęście, że dostał tylko pięć i pół roku. Na kilka dni zamknęliśmy się w mrocznych pokojach, na bosaka, aby chodzeniem po domu nie powodować zbędnego hałasu.

Wprawdzie nawet z oddali Ojnicza nie jest eteryczną, lekką niewiastą, wręcz przeciwnie, rozlewną w kształtach i ciepłą, ale u mnie potrafi być niczym powiew między otwartymi w amfiladzie pokojami. Łagodzi nieznośne dni.

Posępnie szykuje się do wyjazdu, zaciera po sobie wszelkie ślady przed moimi ewentualnymi gośćmi. A to linka suszarki zafurkocze w kuchni, a to małe nożyczki, a to szczypczyki zabrzęczą na półce pod lustrem w łazience i bezszelstnie powiewają jedwabne pończochy.

Ponuro siedzę w oknie, tyłem do tych niecznych przygotowań, niech wyjazd mojego gościa pozostanie wyłącznie jego sprawą z wszelkim z tym związanym grzechem. A przecież siedzę w oknie z zaczerwienionymi od czekania łokciami w identyczny sposób jak wtedy, gdy oczekuję sapania starej lokomotywy, która wspinając się pod górę do zwrotnicy, stoczy się potem na stację. I z tego właśnie pociągu wysiadzie oczekiwana przeze mnie kobieta. Siedzę dokładnie tak, jakbym jej właśnie oczekiwał, a ona przecież wyjeżdża.

Stacja nie jest daleko. Oznaczające koniec linii zawinięte w górę szyny z zardzewiałymi zderzakami oraz zarośnięte chwastami sterty żużlu ciągną się aż do ogrodów.

— Weź mnie pod rękę, tu i tak nas nie widzą — szepcze Ojnicza, kiedy zaułkami zmierzamy w kierunku stacji. — Chwyć mnie mocno, po raz ostatni, chłopczyku.

— Nie — bronię się. — Jakoś nie mam na to ochoty.

I tak przecież wyjeżdżasz.

— Dotknij mnie w jakiś sposób — szepcze Ojniczowa. — Choćby palcem naciśnij.

— Nie — odpowiadam. — Tak mi się zdaje, że chyba pani nie lubię.

Już jesteśmy przy stacji, wśród rudych kopczyków żużlu. W pobliżu na jednej z bocznic stoi wagon towarowy, do którego powoli zbliża się leciwy parowóz i ostrożnie się doczepia. A jednak nawet lekkie trącenie wagonu wywołuje wewnątrz ryk jakiegoś zwierzęcia.

I to nie jednego, a co najmniej dwóch, trzech. Co najmniej trzy lwy są w tym wagonie, tak ryczą. Wydają taki

210  
głos jak wypływająca nagle z olbrzymiego zbiornika woda. Ojnicza kurczowo chwyta mnie za ramię.

— Czy to prawda, co mi teraz mówisz? — pyta.

— Prawda — odpowiadam. — Nie kocham pani.

— To dlaczego chodzimy u ciebie w domu bez butów, skradamy się jak jakieś kociaki.

— Bo mi to sprawia przyjemność — mówię. — Pani sobie gdzieś leży, a ja zbliżam się niezauważalnie i w każdej chwili mogę dotknąć. Coś takiego właśnie bardzo lubię.

Ojniczowa zatrzymuje się przed wagonem pierwszej klasy.

— Jeśli znów przyjadę — mówi — zostawię po sobie drobne, grzeszne ślady. I nikt ich nie znajdzie, jedynie ktoś taki, kto ma taki sam węch jak ja.

— Dobrze będzie, kiedy pani znów przyjedzie.

Wagon ze zwierzakami zostaje doczepiony nie na koniec składu, a zaraz za lokomotywą przed pierwszą klasą. Moje lwy nie znoszą podróży, więc wściekle szamocą się w ciemnościach. Od dawna już są zamknięte w wagonie, bo na peron kapią smrodliwe krople.

— To ja już idę — mówi Ojnicza.  
— Będę czekał na panią — mówię.  
— Wyczekuj mnie po swojemu, w oknie — mówi Ojniczowa. — Jak zwykle, żeby aż łokcie czerwieniały.  
Stoi w oknie wagonu i milczy. Wielkie koty w towarowym wagonie też umilkły. Na pewno ulokowały się zgodnie z kierunkiem jazdy. Mogę więc iść do domu; towarzysza Pinczes czeka w klatce na kolację.

211

Dyskretna wpadka

Siedzę na stacji na pustym elektrycznym wózku i czekam, kiedy na peron wtoczy się dalekobieżny osobowy pociąg. W południe dostałem telegram od Ojniczy: ma bardzo dobre wieści i przyjedzie wieczorem. Wygląda na to, że zamkniemy się na kilka dni w wychodzącym na ogród pokoju.

Z wagonu drugiej klasy wysiadają kobiety w szerokich, marszczonych spódnicach i półkożuszkach, z kobiałkami pełnymi malin, plecionymi koszykami, za nimi żołnierze, drwale i kolejowi drogowcy w żółtych kamizelkach. Ale ja patrzę tylko na wagon pierwszej klasy.

Tego popołudnia z dalekobieżnego pociągu nie wysiada jednak moja pani. Wysiada natomiast z pierwszej klasy kawal chłopca o białej twarzy, blondyn. Coś mi mówi, że to pułkownik Ojnicza. Już jest na peronie. Wysoki, dziarski, jasnowłosy, niczym niedźwiedź. Wielki, jasny niedźwiedź. Patrzy nad głowami idących przed nim podróżnych, nie zwraca najmniejszej uwagi na kręcących się wokół stacji, przecina tory i jakby doskonale znał drogę, rusza wzdłuż ogrodów w kierunku ulicy Szamoca. Tam, gdzie mieszkam.

Wstaję z wózka i szybkim krokiem idę do domu. Bo tam moje miejsce. Ojnicza kroczy przede mną, zagląda do niektórych ogrodów, lustruje przemoknięte do czerni ławki i krzywe blaty stołów, patrzy na tych, którzy akurat wyglądają przez okna. Trafia do mego ogrodu, tyle tylko że spojrzeniem sprawdza numer domu i nie zważając na psa, spokojnie wchodzi na taras. Dwukrotnie naciska

212

dzwonek. Ale mnie nie ma w domu, więc nie ma mu kto otworzyć. Ojnicza powoli wychodzi na ulicę, nie zwraca na mnie uwagi i spokojnie siada sobie na kamiennym ogrodzeniu.

Gdy już jestem na tarasie, przed drzwiami, i wkładam klucz do zamka, czuję na swoim karku spojrzenie tego potężnego mężczyzny oraz zaprzęte ciepło jego potu. Szybko zamykam za sobą drzwi, choć zdaję sobie sprawę, że za chwilę dwukrotnie naciśnie na dzwonek. Gdyby powiedział „rozerwę was na strzępy”, odpowiedziałbym „o, nie, tego nie wolno wam, towarzyszu, zrobić”.

Dzwoni dwukrotnie. Ojnicza stoi przede mną z uciążliwym ciepłem swego bladego ciała, sięgam mu za ledwie

do pach.

— Czy mogę wejść? — pyta.

— Proszę — odpowiadam.

— Czy mam się przedstawiać?

— Nie — mówię.

Ojnicza już jest w pokoju, który i tym razem przeniknięty jest zielenią popołudniowej poświaty. Podchodzi do okna i zamyka.

— Bo przeciąg — powiada, abym nie miał wątpliwości, co czyni.

Dostrzegam żółciejącą w jego uchu watę. Widzę też, że krzesło, na którym usiadł, jest dla niego za małe, ale przecież nie powiem, żeby sobie wziął jeszcze jedno. Siedzi więc półdupkiem, rozgląda się. Może tylko nieco się dziwi wąskości mego łóżka.

— Czym się zajmujecie? — mruczy.

— Jestem kopistą — odpowiadam.

213

— A co to takiego?

— Siedzę sobie i kopiuję nuty — tłumaczę.

Ojnicza milknie i tylko wpatruje się w moje oblicze. Powinienem chyba powtórzyć, albo może wyjaśnić, co to są nuty, ale milczę.

Ojnicza macha ręką. Wierzch dłoni ma biały, z czerwono-brunatnymi piegami, porośnięty szczeciniastym włosem.

— A ja jestem pułkownikiem — mówi.

— Znaczą majorem — mówię usłużnie i potakuję głową.

— Nie — wyjaśnia pułkownik Ojnicza. — Nie majorem, lecz pułkownikiem. — Spogląda na mnie, po czym macha ręką.

— Może herbaty — pytam. Podnoszę się sprężysto i pędzę do kuchni. Nastawiam wodę, śledzę niebieski płomień gazu pod pogiętym dnem garnuszka, czekam, aż zacznie bulgotać. Ojnicza w pokoju ani drgnie, półdupkiem siedzi na małym krześle. Kiedy woda zaczyna wrzeć, wkładam wypełnioną herbatą dziurkowaną łyżeczkę z takąż pokrywą i czekam, aż woda zbrązowieje. Przelewam herbatę do filiżanki, stawiam na tacy i zanoszę na stół przed Ojniczą. Podsuwam cukiernicę i czekam. Ojnicza przypatruje mi się z odchyloną głową. Nagle wstaje.

— No, wszystko jedno — mówi, prawie wzdychając, i znów macha ręką. Wychodzi do przedpokoju i czeka, żebym otworzył mu drzwi.

— Czyli nie muszę się przedstawiać. Prawda?

— Nie.

214

— To dobrze — i wychodzi. Kroczy wysypaną zwirem ścieżką przez podwórze, otwiera furtkę i rusza najkrótszą drogą, skrótami, w kierunku stacji.

Wyciągam porwaną siatkę na zakupy, wkładam dwie koszule, po dwie pary gacek i skarpetek oraz kominiarękę. Tyle na pewno będę mógł zabrać ze sobą.

Potem przelamuję w pół kostkę cukru i wkładam do nietkniętej przez Ojniczę herbaty. Wyjmuję z szuflady kredensu buteleczkę samogonu, degustuję bukiet, po czym dolewam aż do brzegu filiżanki. Zaraz wypiję.

Przełożył Tadeusz Olszański

#### SEKRET KUCHNI

— A więc to jest kuchnia — wymamrotał mężczyzna o imieniu Max, wchodząc do kuchni i zamykając za sobą drzwi.

W drzwiach był otwór do wydawania posiłków, Max zasunął w nim drzwiczki, zamykając widok na jadalnię. Była to niewielka jadalnia, w sumie na osiem stolików. Jadali tu stali klienci, którzy przychodzili zwykle o tej samej porze i czekali na swój ulubiony stół. Kuchnia także była dość mała. Max rozejrzał się.

— Całkiem przyjemna, mała kuchnia — wymamrotał, po czym uniósł tęczkę nad pniak do rąbania mięsa, ale zawahał się i nie postawił jej, tylko poszedł dalej i powiesił ją na klamce od okna.

— Kuchnia, kuchnia — powtórzyła ze złością kucharka. — Pewnie, że kuchnia. Niech pan wraca na salę. Max nie zwracał na nią uwagi, wciąż rozglądał się dookoła, oglądał dokładnie sufit, przypatrywał się szarym plamom w miejscach, gdzie tynk pociemniał od pary. Przy stoliku do podawania posiłków stały dwie kelnerki i bezrozumnie wpatrywały się w zamknięte drzwiczki do wydawania dań. Max poczekał, aż wrócą z pełnymi tacami

217

na salę, i sięgnął po kartę dań. Strząsnął z niej ziarenka ryżu i uważnie przeczytał.

— Proszę wracać na salę — powiedziała kucharka. — Tu nie wolno przebywać. Proszę natychmiast opuścić to pomieszczenie. Niech pan idzie na salę i złoży zamówienie.

— Nigdzie nie pójdę — powiedział Max, nie patrząc nawet na kucharkę. Odłożył kartę. Podeszedł do kuchenki i zaczął po kolei podnosić pokrywki garnków. Odchylił lekko głowę, żeby para nie buchnęła mu w oczy. Zaglądał do kociołków, garnków i do patelni. Na koniec zajrzał do stojącej na najwyższej półce brytfanki.

— A to co? — spytał cicho.

— Sernik na ciepło — odpowiedziała kucharka.

— Hm. Rodzynki z niego wylazły. A może to nie rodzynki?

Kucharka podeszła zaciekawiona. Zajrzała do brytfanki.

— Wylazły? Rzeczywiście. To dziwne. Powpycham je z powrotem.

Kucharka prawie wetknęła nos w brytfankę, przyglądając się ciastu. Max odłożył pokrywkę na miejsce. Pod-

szedł do okna, zdjął teczkę z klamki i wyciągnął z niej papier i kalkę.

— Kontrola — szepnęła kucharka, gdy z sali wróciła jedna z kelnerek. Była wysoka, nieco męska, w kieszeni fartucha trzymała łyżki. Max podszedł do niej, wyjął łyżki z kieszeni i dotknął nimi twarzy.

— Ciepłe — zauważył.

— Tak. Jak je trzymam w kieszeni, to goście dostają ciepłe — powiedziała kelnerka. — To dobre do zupy —

218

w kącikach jej ust pojawiły się białe plamy, czoło poczerwieniało.

— A widelcy nie? — spytał cicho Max.

— Widelce kłują — wyjawiała kelnerka.

Max pokiwał głową ze zrozumieniem.

— A ilu teraz jest gości?

— Chyba sześciu — odpowiedziała kelnerka. — O ile teraz nie przyszli następni.

Max włożył kalkę pomiędzy dwie kartki, położył je na blaszanym, poplamionym jedzeniem blacie kuchennego stołu i napisał: zamknięte.

— Proszę to przyczepić na drzwiach — powiedział do kelnerki, która właśnie weszła do kuchni. — Jedną od środka, drugą na zewnątrz.

— Ale dlaczego? — kelnerki w odrętwieniu przyglądały się napisowi.

— Dlatego, żeby ci, co przyjdą, nie weszli do środka, a ci, co już weszli, więcej nie wrócili — odpowiedział Max.

— Ale dlaczego?

— Proszę za ostatnim gościem zamknąć drzwi na klucz — powiedział Max i odwrócił się. Podszedł do kucharki, na jej twarzy nie malowało się wcale zdziwienie czy zaskoczenie, a jedynie to, że owszem, przeczytała kartkę i w pełni rozumiała jej treść. Już wie, że to koniec. Mimo to spytała dziecinnie:

— Koniec i już?

Max tylko skinął głową, podniósł pokrywkę nad brytfanką i zajrzał do środka.

— Niech mi pani ukroi tego sernika na ciepło, jak to pani nazywa. Nigdy czegoś takiego nie jadłem.

219

Kucharka odkroiła nożem z szerokim ostrzem spory kawałek, nałożyła na talerz, powpychała rodzynki w ciepłe ciasto i posypała wszystko cukrem pudrem. Wyjęła nóż, widelec, serwetkę i postawiła przed Maxem na stoliku pokrytym kiwającą się blachą.

— A jaki jest powód zamknięcia? Jakiś poważny? — spytała grzecznie.

Max zeszkrobał cukier puder z sernika, zdmuchnął odrobinę z dłoni, uniósł na widelcu okazały kawałek ciasta i zjadł. Miał jeszcze kawałek ciasta w ustach, ale odwrócił się, odłożył nóż i widelec obok talerza i bezradnie rozło-

żył ręce.

— Nie wiem — powiedział. — Ja tylko przyszedłem powiadomić.

Przełożyła Małgorzata Komorowska-Fotek

ZNOWU W DOMU

Budynek dworca kolejowego był ostatnią okazalszą budowlą w mieście. Miasteczko nie ciągnęło się dalej wzdłuż szyn wąskotorówki, piętrzyły się tam bowiem masywne bloki skalne, które okalały miasto i zasłaniały widok gór. Uwagę podróżnych przybywających tutaj przykuwały najpierw niezrównane widoki górskich szczytów strzelających z głębokiej doliny, dopiero po dłuższej chwili przybysze dostrzegali żółte i czerwone fasady, tworzące ciche uliczki, skąpane w blasku porannego słońca.

Adorjan wcale się nie zdziwił na widok tych samych co dawniej żółtych dorożek ani małych, wyszczotkowanych do połysku koni, z grubymi, czerwonymi chwostami przy uszach. Miał przy sobie, jak wieczny podróżny, tylko lekką torbę na ramię. Leniwie wsiadł do pierwszej wolnej dorożki, i rozsiadł się na siedzeniu. Woźnica w milczeniu zmierzył go wzrokiem, gdy po jakiejś minucie — ledwie dorożka opuściła plac i wyjechała na brukowaną ulicę — Adorjan kazał mu się zatrzymać przed brązowym, jednopiętrowym budynkiem Hotelu Laurentzi.

Drzwi wejściowe były zamknięte, próg zakurzony, a w rogach okien wisiały pajęczyny, więżąc gromadę martwych

221  
much i innych owadów. Na klamce dyndała odręcznie wypisana tabliczka: „we nieczynne. Wejście od strony gospody”. Adorjan obszedł budynek dookoła, rozejrzał się po dziedzińcu, gdzie pod okopconymi podcieniami pięły się wąskie, strome jak drabina schody na piętro. Dalej były drzwi prowadzące prosto do wąskiego pomieszczenia. Pod oknem, w kwadracie jednostajnego światła sączącego się z chmur, na skraju żelaznego łóżka, na zapadniętej grubej kołdrze, siedziała stara, pulchna kobieta w koszuli nocnej. Dziergała koronkę. Od czasu do czasu podnosiła wzrok nad przyczepioną gwoździami firankę z gazy — nie patrzyła jednak w okna domów naprzeciwko ani na latające wysoko ptaki, lecz na odległy Gerlach. I można było odnieść wrażenie, że spędza tak całe dnie, patrząc to na obracające szydełkiem palce, to na zielonoszare, co i raz tonące we mgle, dalekie szczyty Gerlacha. Patrząc na nie, popadała nieraz w tak wielkie zamyślenie, że wzór koronki odbijał się nagle w oknie i wprawiał niebo w wibrację; innym znów razem góra ruszała z miejsca, by przylgnąć do szyby. Czasem zdarzało się, że góra roztrącała firanki i wpływała do środka, by skąpać się w wiecznym półmroku i słodkawym zapachu pokoju, do którego kobieta całkiem przywykła, a który czasem tak odurzał gości o wrażliwszym powonieniu.

Adorjan był już na szczycie schodów, na piętrze, od pokoju dzielił go tylko jeden krok, wciągnął głęboko powietrze,

od którego zdążył odwyknąć w czasie swej długiej nieobecności. Kobieta usłyszała skrzypnięcia schodów pod czyimiś stopami, czuła też pełną oczekiwania ciszę tam na zewnątrz. Nie podnosząc wzroku znad robótki, krzyknęła twardo:

— Pokoi nie ma.

222

Adorjan powiedział:

— Przyjechałem, mammo.

Stara Adorjanowa rzuciła przelotne spojrzenie w stronę otwartych drzwi, jeszcze krótsze niż to, które zwykła rzucać na tonący we mgle Gerlach, i powtórzyła:

— Pokoi nie ma, synku.

Adorjan poprawił na ramieniu pasek od torby, takim ruchem jakby poprawiał karabin, przygryzł dolną wargę i odwrócił się na pięcie. Przeszedł okopconymi podcieniami i zszedł na podwórze.

Na środku wybetonowanego podwórza siostra Adorjana prała w warczącej frani hotelową pościel, obok, w starych drewnianych baliach, w których niegdyś dawni goście zajązdu, a potem Hotelu Laurentzi, zmywali z siebie nienajlepsze wspomnienia miasteczek takich jak to, czekała już woda do płukania.

— Wróciłem, Vilmo — powiedział Adorjan, stając pośród spienionych od proszku do prania kałuży. Ale siostra ledwie zatrzymała na nim wzrok, zaraz spuściła go na opuchnięte, czerwone palce.

— Nie mamy wolnych pokoi — powiedziała Vilma Adorjan. — A nawet jak mamy, to nie dajemy byle komu.

Adorjan znów poprawił na ramieniu pasek od torby. Pochylił nieco głowę, splunął w spienioną kałużę i ruszył w stronę wyjścia.

Na ulicy czekała już na niego Irina Habinakova. Wiedziała, że wszedł do Hotelu Laurentzi, i wiedziała, że zaraz wyjdzie. Pomachała, by przyszedł do niej.

— Niech pan podejdzie, mój drogi, niech pan przyjdzie do Iren.

223

Adorjan zmierzył ją wzrokiem i podszedł.

— Do jakiej Iren?

— Znów zaczęłam wynajmować przyjezdnym pokoje — powiedziała Irina Habinakova. — Śpią u mnie Polacy, Czesi, Rumuni, Węgrzy. Nawet Niemcy. Ja będę spać w kuchni, a pan w pokoju. Pokój jest czysty i niezagracony, daję też czystą pościel. Pójdę przodem, a pan niech pójdzie za mną.

Chwilę później Adorjan był w małym pokoiku w suterenie, z jego okna widać było tureckie tuberozy i kury grzebiące w ziemi. Powiesił torbę na oparciu krzesła,

— Trochę o panu słyszałam, Adorjan — ciągnęła swój wywód Irina Habinakova — dlatego proszę, niech mi pan odda swój przewodnik i paszport. Będą leżeć u mnie, póki pan tu zostanie. Również dlatego, że nad nami mieszkają strażnicy. Tak, tak, panie Adorjan, słyszałam o panu to

i owo, dlatego coś panu powiem: jak już pan raz pojechał w stronę dał, to nie trzeba było tu wracać.

Adorjan wyciągnął z kieszeni paszport i podał go Irinie Habinakovej. — Proszę. I to, i to, i to. — Wysypał z torby mydélka Rexona i Lux, szampon Zielone Jabłuszko, czekoladę Tobler, pastę do zębów Elmex, zapalniczki Ronson i stertę bananów. Irina Habinakova zgarnęła to wszystko do fartucha.

— Te wszystkie drobiazgi — powiedział — przywiozłem dla pani.

— Wiedziałam, że się panu tu u mnie spodoba — powiedziała w drzwiach Irina Habinakova.

— Jasne. Przecież jestem w domu.

Przełożyła Małgorzata Komorowska-Fotek

I WTEDY ZNÓW SIĘ ZOBACZYMY

Dżoni Kuptor był leśnikiem, obserwował sarny i jeszcze zanim zmienił pracę, postanowił zerwać z Gizellą Weis.

Pewnego wieczoru, gdy kobieta leniwie, po wielu wspólnie spędzonych godzinach, szykowała się do drogi i sennym wzrokiem wypatrywała autobusu, którym miała odjechać do domu, leśnik powiedział: niedługo zmieniam pracę na jeszcze bardziej poufną i nie będziemy się mogli dłużej spotykać.

— Ale jeśli chcesz, będziesz mogła mnie czasem zobaczyć — pocieszał Gizellę Weisz. — Dam ci lornetkę. Jedną z moich czterech lornetek. I stamtąd — tu leśnik wskazał niewielki wzgórek porośnięty krzaczkami jagód — z tamtego pagórka będziesz mogła zobaczyć paśniki dla saren. Ale kto wie, gdzie ja wtedy będę.

Gizella Weis wzięła poczerniałą, wyświeconą lornetkę z porysowanymi soczewkami i próbowała wepchnąć ją do torby, obok kapci i ręcznika. Nie obraziła się wcale, w jej oczach malowało się raczej lekkie rozbawienie, jakby właśnie spotkała ją miła niespodzianka. Być może takie oddalenie okaże się nowym etapem miłości, może rozstanie nie będzie aż tak długie i ostateczne, może ta rzekoma nowa praca Dżoniego Kuptora — o czym on jeszcze nie wie —

225

okaże się tylko krótkim epizodem, po którym skruszony wróci do niej?

Gdy jednak próbowała dowiedzieć się czegoś więcej o jego nowym zajęciu, Dżoni Kuptor przyjął kamienny wyraz twarzy.

— Wiesz, jak jest. Nowa praca i już. Nie mogę powiedzieć jaka.

Autobus zatrafił na zakręcie w głębi doliny, oboje wiedzieli, że za chwilę tu będzie, zawróci i zabierze Gizellę Weis do miasta.

— Ja będę miał, rzecz jasna, trzy pozostałe lornetki — tłumaczył leśnik — i czasem też w którąś spojrzę. Może się zdarzyć, że oboje będziemy patrzeć w nie jednocześnie i wtedy znów się zobaczymy.

Autobus zabrał spod paśników dla saren tylko jednego pasażera; kierowca zobaczył we wstecznym lusterku pogodną twarz odprawionej kobiety. Uśmiechała się, bo co jakiś czas stuknęła o jej nogę torba z twardą lornetką w środku. Myślała też o pagórku, z którego widać paśniki i z którego, o ile czas jej na to pozwoli, nie ruszy się, póki nie zobaczy, jak Dżoni Kuptor znika w gęstwinie lasu, objuczony tobołkiem, pełnym tajemniczych narzędzi potrzebnych w nowej pracy. I jeśli Gizella Weisz zejdzie z pagórka i szybko ruszy za nim, to wyśledzi, dokąd poszedł i gdzie teraz pracuje, a wtedy znajdzie sobie w pobliżu jakiś nowy punkt widokowy i będzie go stamtąd obserwować, aż wreszcie, któregoś dnia będzie leśnik też weźmie lornetkę do ręki i zerknie na okoliczne pagórki, a wtedy przez grube, porysowane soczewki znów popatrzą sobie w oczy. I znów będą szczęśliwi.

Przełożyła Małgorzata Komorowska-Fotek

#### WYDZIAŁ

Tego dnia, kiedy Gizella Weisz ruszyła w drogę, wszyscy ją chwalili. Nawet wielki towarzysz Onaga spojrzął jej głęboko w oczy i rzekł: „To rozumiem. Ma towarzyszkę wspaniałe zamiary i szczytne plany. Jest towarzyszką urodzonym przywódcą”. Wykrzywił w kwaśnym uśmiechu serdelko - wate usta i uniósł lekko kieliszek z szampanem. „Ale teraz proszę się już pośpieszyć. Trzeba jechać. Do zobaczenia”. Zapada wieczór, Gizellę Weisz wiezie do domu służbowy łazik. Kiedy wchodzi do bramy i niknie na klatce schodowej, kierowca cofa się, staje pod łysiejącą akacją i wyłącza silnik.

Gizella Weisz nie zdejmuje nawet szarego płaszcza z lodenu, chodzi po mieszkaniu, szukając czegoś w otwartych szafach, powyciąganych szufladach, przewraca ubrania i bieliznę. Kilka drobiazgów kładzie na komodzie przy telefonie, podnosi słuchawkę, czeka, czeka na sygnał, po chwili ją odkłada.

Do brązowej, zniszczonej sportowej torby pakuje bieliznę, pończochy, tenisówki, kilka książek, kilka renet i swoją torebkę z całą zawartością. Prostuje się, spogląda na zegarek. Zrzuca buty, w samych pończochach idzie do

227

przedpokoju, wkłada szare filcaki z cholewami, na głowie wiąże białą chustkę. Wygląda przez okno i zaciąga zasłony. Oświetlona latarnią ulica jest wilgotna, na plandecę łazika odbija się siateczka nagich gałązek.

Gizella Weisz przegląda się w lustrze, przesuwa dłońmi po policzkach, patrzy sobie w oczy i znów podnosi słuchawkę. Czeka, przyciska widelki, z pamięci wykręca numer i ze złością ciska słuchawkę. Wyciąga z kontaktu sznur nocnej lampki, gasi światło w przedpokoju. Wychodzi z mieszkania i zamyka za sobą drzwi.

Na galerii klatki schodowej puka do jednego z okien.

Szybę kuchennego okna pokrywa skroplona para, gdzieś niedługo ścieka, tworząc cienkie prześwity. Od środka czy-

jaś dłoń przeciera szybę. Gizella Weisz pochyla się i woła: „Wyjeżdżam na kilka dni. Zostawiłam na strychu bieliznę. Jak wrócę, to zdejmę”. Kobieta w środku stuka w okno: „Co jest z tą bielizną?”. Gizella Weisz woła z korytarza: „Nic takiego. Tylko wyjeżdżam na kilka dni”.

„Pomyślałem sobie, że tu poczekam” — odzywa się szofer w bramie. Otwiera przednie drzwi, bierze od Gizelli Weisz brązową sportową torbę i kładzie ją na siedzeniu. Potem otwiera tylne drzwi. „O — dziwi się Gizella Weisz — a to kto?”. Na tylnym siedzeniu już ktoś siedzi. „To ja — mówi mężczyzna w kapeluszu — cześć”. Gizella Weisz lekko się pochyla, zagląda do środka samochodu. „A to ty — odpowiada. — Cześć. Ty też gdzieś jedziesz?”. „Tak — mówi mężczyzna w kapeluszu — jadę z tobą. Razem jedziemy”. Gizella Weisz siada obok niego na tylnym siedzeniu. „To dobrze”. Szofer rusza, wyjeżdża z ulicy, skręca na drogę prowadzącą w kierunku dworca.

228

Na dworcu szofer bierze torbę Gizelli Weisz i rusza przodem. „Ty nie masz żadnego bagażu?” — pyta Gizella Weisz mężczyznę w kapeluszu. „Nie. Nic nie zabrałem”. „Nawet piżamy?”. „Nie. Tam sobie coś kupię”. Gizella Weisz po drodze przygląda się mężczyźnie w kapeluszu: obydwie ręce trzyma w kieszeniach. „Słowem, podróżujesz bez bagażu”. „Tak. Przyjechałem bez niczego”.

Na peronie szofer przekazuje torbę Gizelli Weisz mężczyźnie w kapeluszu. Kiedy idą przez korytarz, tamten również sunie, wzdłuż wagonu, po czym staje, kiedy zajmują miejsca w pustym przedziale. Czeka na peronie, dopóki pociąg nie odjedzie.

„Gdzie chcesz siedzieć?” — pyta mężczyzna w kapeluszu. „Wszystko mi jedno — odpowiada Gizella Weisz — chcę spać”. „Bo ja chciałbym siedzieć w kierunku jazdy”. Gizella Weisz zdejmuje chustkę, kładzie głowę na oparciu siedzenia. „To możemy zgasić światło”. „Lepiej nie — mówi mężczyzna w kapeluszu — nie lubię, jak jest ciemno”. Gizella Weisz podnosi kołnierz płaszcza i znów przygląda się mężczyźnie. „Nie zdejmiesz nawet kapelusza?”. Mężczyzna w kapeluszu kręci głową. „Nie. Mam grzybicę głowy i muszę nosić kapelusz”.

W nocy pociąg zatrzymuje się na bocznicu. W kłębach pary buchającej spod wagonów kręcą się żołnierze i ostukują koła.

„Śpisz, towarzyszeko Weisz?” — pyta mężczyzna w kapeluszu. „Nie” — odpowiada szybko Gizella Weisz. „Patrzę, że tak sobie siedzisz, jak gdybyś spała, i trochę ci zazdroszczę”. Gizella Weisz otwiera oczy, spogląda na mężczyznę, ale

229

pod rondem kapelusza nie widać jego oczu, tylko na szarym koniuszku nosa blade pasmo światła. „Mnie? A niby czego?”. Mężczyzna w kapeluszu pochrząkuje. „Uczyłaś się na Uniwersytecie Łomonosowa. A potem tak szybko tyle

osiągnęłaś". „Owszem — przytakuje Gizella Weisz — to prawda. Wydali na mnie mnóstwo pieniędzy". Mężczyzna w kapeluszu kiwa głową: „I masz tyle świetnych pomysłów. Szef będzie cię popierał". Gizella Weisz wstaje, szuka czegoś w torebce. „Tak — mówi — lubię pracować. Chcesz jabłko?". Mężczyzna w kapeluszu kręci przecząco głową. „Nie, nie. Od jabłek cierpną mi zęby". „Ja zimowe jabłka — mówi Gizella Weisz i gryzie jabłko — zjadam razem z ogryzkiem. Tylko pestki wypluwam". „Musisz mieć dobre pochodzenie" — mówi mężczyzna w kapeluszu. Gizella Weisz dojada jabłko, tylko ogonek zostaje jej w ręku, pestki wrzuca do kosza. „Tak — odpowiada — nie znałam rodziców".

Nad ranem mężczyzna w kapeluszu budzi Gizellę Weisz. Dopiero świta, w porannej szarówce ledwie widać wodę płynącą wzdłuż nasypu. Z jednego z przedziałów wycieka woda, mężczyzna w kapeluszu wychodzi na korytarz, widzi kałużę, wchodzi w nią, uchyla drzwi, zagląda do środka. Za nim stoi Gizella Weisz. W przedziale siedzi dwóch przemoczonych do nitki mężczyzn, objęci trzęsą się z zimna i strachu, włosy i ubranie ociekają im wodą.

Po jakimś czasie szyny zaczynają się oddalać od rzeki i giną w gęstej, miękkiej, kłębiastej mgłę. Nad brzegiem rowu pod warstwą brązowych liści i wronich piór leżą resztki śniegu.

„Woda musi być jeszcze zimna" — mówi Gizella Weisz. Mężczyzna w kapeluszu obojętnym wzrokiem patrzy

230

w okno. „Zaraz wysiadamy" — oświadcza. „Ktoś musiał ich wrzucić do wody, sami by się tak nie zmoczyli". Mężczyzna w kapeluszu staje przy drzwiach, pociąg przetacza się przez zwrotnice i zbliża się do stacji. „Coś ci się śniło, towarzyszeko".

Wysiadają. Świt ledwie przebija się przez gęstą mgłę. W świetle latarń powietrze mży wilgocią. Gizella Weisz kroczy pomiędzy torami w lodenowym płaszczu, białej chustce na głowie i w szarych filcawkach z cholewami. Mężczyzna w kapeluszu niesie jej sportową torbę. W dworcowej budce Gizella Weisz kupuje gazetę, na pierwszej stronie widnieje oświadczenie Malenkowa i Bułganina. Prosi o torbę i wsuwa do niej gazetę.

W wilgotnym mroku, przed dworcem, stoi autobus z włączonym silnikiem, w błotnikach jarzą się reflektory. „To ten — odzywa się szofer. — Inne autobusy teraz stąd nie odjeżdżają".

„No to cześć" — mówi nagle mężczyzna w kapeluszu.

„Aha — rzuca Gizella Weisz — więc nie jedziesz dalej".

„Jadę, ale gdzie indziej".

„A ja myślałam".

„Nie. Tylko dotąd jechaliśmy razem".

„No dobrze. To cześć".

Zbliża się południe, gdy autobus wydostaje się z gęstej mgły i wyjeżdża na zalaną słońcem przełęcz. W chłodnicy

gotuje się woda, szofer biegnie z wiadrem w rękę do zbocza pokrytego śniegiem, nabiera spod topniejącego śniegu wody i wlewa ją do chłodnicy. Po drugiej stronie zbocza, w ruinach kaplicy, beczą owce, w stronę autobusu ruszają ociężałe psy, zbliżają się wachlarzem, szofer odpędza je,  
231

ciskając kamieniami. Czarna droga pełna kałuż i błotnistych kolein prowadzi między niewielkie samotne pagórki przypominające wybrane do połowy stogi siana. Na paru z nich sterczą postrzępione resztki lasu. W dole dymią kominy. To Borgova, Borgova dwa, w skrócie zakład B dwa. „Można wysiadać. Jesteśmy na miejscu” — mówi szofer i zatrzymuje autobus przy drodze prowadzącej do zakładu. Gizella Weisz kroczy naprzód wzdłuż drogi dojazdowej, ścieżką wyłożoną butwiejącymi deskami, kawałkami papy i gnijącego kartonu, idzie, grzęznąc w błocie, ślizgając się i machając przy tym rękoma jak ptaszek skrzydłami. Gwałtownie topniejący śnieg zamienił wszystkie drogi w lśniące błoto, również tę, która pomiędzy parującymi hałdami żużlu prowadzi do dymiących warsztatów i zabłoconych ramp.

„Tak, to tu — mówi do Gizelli Weisz mężczyzna w biurze na pierwszym piętrze. — To jest właśnie zakład B dwa”. Kierownik zakładu siedzi z wyciągniętymi nogami przy pomalowanym na żółto pustym biurku, ma rzadkie brwi, twarz szarą i przezroczystą jak pergamin, pooraną bruzdami, czarnymi od mieszaniny brudu i węglowego pyłu. „Chciałabym umyć sobie buty” — mówi Gizella Weisz, stojąc przed zamkniętymi drzwiami. Buty ma tak zabłocone, że prawie nie widać szarego filcu. Po podłodze walają się wszędzie bryły zaschniętego błota, pod żelaznym piecem piętrzy się sterta żużlu. Na pryczy leżą powiązane w pary gumowce.

„Wydział, który będziecie prowadzić, jest gdzie indziej” — odzywa się kierownik, wyglądając przez okno. W górze  
232

rozwiewały się obłoczki dymu z lokomotywy, przez które przeświecały promienie. „Gdzie indziej — powtarza. — Trochę dalej”. Przygląda się butom Gizelli Weisz. „A o co właściwie chodzi z tymi butami?”.

„Zrobiły się trochę przyciężkie” — mówi Gizella Weisz, a jej wzrok pada na buty kierownika, również pokryte grubą, czarną skorupą, i przesuwa się po spodniach, oblepionych aż po same uda zaschniętymi płatami pękającego błota. „Ale jak wyschną, zrobią się lżejsze” — dodaje szybko.

„Jasne” — odpowiada kierownik. Na dworze słyhać brzęk wybijanej szyby, huk pracujących sprężarek nagle przybiera na sile. Ptaki odfruwają z dachów, przelatują nad podwórzem. Kierownik zakładu wstaje i podchodzi do okna.

„Rano wyjeżdża na wydział drezyna — mówi. — Dowozi

tam gumiaki. Zabierze panią".

I pośpiesznie wychodzi z biura. Gizella Weisz patrzy przez okno, szukając go wzrokiem, ale słyszy tylko chłopot oddalających się kroków. Pomiedzy warsztatami jeżdżą małe lokomotywy, całymi kołami grzęznąć w błocie i pozostawiając za sobą wirujące ślady. Gdzieś pod falującym błotem biegną szyny. Również konie zapadają się po kolana w błocie, z daleka wydaje się, jak gdyby miały bardzo krótkie nogi. Ciągną pusty blaszany wóz wzdłuż szpiczastej góry węgla, na której od północy szarzeje poranny szron.

Gizella Weisz wyjmuję z torebki chusteczkę, przechodzi przez korytarz i otwiera drzwi do łazienki. Umywalka jest zakurzona i pokryta skorupą brudu, krany pokasłują

233  
sucho, w miejscu lustra, dokładnie na wysokości twarzy, widnieje narysowana brudnym od węgla palcem czaszka. Pod nią napis: „Wciąż jestem piękna”.

Kierownik zakładu grzebie w otwartej torbie Gizelli Weisz. Obmacuje palcami majtki, podnosi je wysoko do oczu i przygląda się wszytej od środka małej metce.

„Co tam jest do diabła napisane? — pyta, widząc w drzwiach Gizellę. — Takie drobne są te literki, że nie mogę odczytać”.

„E — mówi Gizella Weisz — tylko jakieś nazwy. — I z trudem sylabizuje: -f- Dior-Paris”.

Kierownik zakładu składa usta w dziubek, jak gdyby miał zamiar cmoknąć najbardziej intymną część majtek, gdzie tkwią najskrytsze tajemnice Gizelli Weisz, składa usta w dziubek i mówi:

„W takim razie wyrwijmy to. O, tak”. I trzymając metkę dwoma palcami, jednym ruchem dłoni, jak wrywa się ząb czy paznokieć, szybko ją wyszarpuje. Uśmiecha się lekko.

„Została przez przypadek — wyjaśnia Gizella Weisz. — Mogłam ją w domu wyciąć, ale zapomniałam”.

„Teraz już nic nie trzeba wycinać” — kiwa głową kierownik. Zgarnia wszystko w jeden koniec stołu i ponownie zanurza rękę w torbie Gizelli Weisz. „Sądzi pani — pyta — że będzie pani miała czas na czytanie?”. Pochrzążając, obraca w ręce książki. „I po co? Mówią, że pani już wszystko wie. Mam tu w szufladzie coś na zaspokojenie głodu: Zagadnienia leninizmu. Niech sobie pani poczyta do poduszki. A reszta zostanie tutaj”.

234

„Niech zostanie — mówi Gizella Weisz. — Właściwie przyjechałam tutaj na krótko”.

„Zawsze jest na krótko — dodaje kierownik zakładu. — W każdej sytuacji”. Kierownik zagląda do pieca, widzi, że jest pusty i zimny, macha ręką i wychodzi z biura. Gizella Weisz aż do późnego popołudnia wypatruje go przez okno, aż wreszcie się pojawia pomiędzy ciągnącymi za sobą kłęby

pary lokomotywami.

„Chodźmy — mówi kierownik. — Pokażę pani kantynę”. Kierownik idzie przodem, Gizella Weisz za nim. Wychodzą na podwórze, opierając się jedną ręką o ścianę, pod okapem obchodzą budynek. Za otwartymi drzwiami nad matowym od brudu stołem wisi goła żarówka, oświetlając półki, ladę i stojącego za nią kantyniarza w żołnierskim mundurze. „Daj mi rumu — mówi kierownik — a dla tej panny likieru pomarańczowego”. Bierze z lady szklanki, jedną z rumem, drugą z likierem, i odwraca się tyłem do lady. „Słyszała pani? Powiedziałem: dla tej panny. Tymczasem nawet wiem, kto był pani mężem. No dobrze. Smakuje pani pomarańczowy czy woli pani kminkowy?”.

„Trudno powiedzieć — mówi Gizella Weisz. — Nie lubię ani jednego, ani drugiego”.

„Mimo to niech pani szybko wybierze. I weźmie sobie teraz butelkę albo dwie — mówi kierownik. — I niech pani weźmie też pęto kiełbasy. I kilo sera, i suchary, a jak pani lubi, to jeszcze marmoladę i herbatniki”.

„Ktoś musi to wszystko zjeść”. Gizella Weisz przygląda się półkom za ladą, brudnym butelkom z poszarpanymi naklejkami, starym nadpleśniałym kiełbasom, zakurzonym herbatnikom w niewyściełanych papierem skrzynkach.

235

„Będzie pani głodna — mówi kierownik osiedla. — Jeszcze zechce pani zjeść to wszystko, co tutaj jest. Całe kosze tego wszystkiego. Ale z koszami nie zmieści się pani na drezynę. Chyba mówiłem, że dreznina dowozi gumiaki na wydział?”. Kierownik odprowadza Gizellę Weisz do biura. Zamyka szufladę biurka, wkłada klucz do kieszeni. Wygląda przez okno. Zmierzcha się, niebo jest zielone, fioletowe hałdy żużlu u podnóża już czarne. „Najlepiej będzie, jak się pani położy. Czy mam zabrać stąd te gumiaki, czy na nich się pani prześpi?”. „Na gumiakach? Nie wiem. Spróbuję”.

Wczesnym rankiem przed biuro zajeżdża dreznina, zdaje się, że pod warstwą błota wszędzie biegną szyny. Dreznina ma ręczny napęd. Widać podwójny drążek korbowy, dwa siedzenia i miejsce na niewielki ładunek, gdzie mieści się pięćdziesiąt par gumiaków. Gizella Weisz siada na stertę gumiaków. Po zanurzonych w błocie przekładniach dwaj mężczyźni w kaskach na głowach wypychają pojazd na tory, po czym siadają do drążka.

Tory lekko wznoszą się, po jakimś czasie pojazd opuszcza pagórki, przypominające kształtem stogi siana, i ze zgrzytem wtacza się między pnące się wysoko zbocza gór. Między łożkami pączkujących wawrzyneków i płowych miłków leży trawa przytulona do ziemi, ulizana lśniąca błoną śniegu na odchodnym. Kiedy dojeżdżają do lasu, którego żywiczny zapach czuli już wiele zakrętów wcześniej, zatrzymują pojazd.

„Zamiana” — mówi jeden z mężczyzn, po czym zeskaakuje z siedzenia i wdrapuje się na gumowce. Gizella Weisz

zdejmuje lodenowy płaszcz, przykrywa nim nogi i siada do  
236

drażka. Dzielnie macha rękami, między łopatkami sweter szybko robi się wilgotny od potu, który zamarza w szkliste, przezroczyste perełki. W górze, z gałęzi świerków zwisają sople lodu. Stopnie i zatoczki zbiegających strumieni pokrywa biała skorupa. Kiedy mijają jeden z takich strumyków pluszczących stłumionym dźwiękiem, szyny zaczynają nagle zgrzytać.

„Stój!” — krzyczy mężczyzna siedzący na stosie gumiaków. Zaciągają drażkę, zabezpieczają go hakiem i zaciągają hamulec, żeby pojazd nie stoczył się w tył. Szyny zgrzytają coraz głośniejsze, z naprzeciwka nadjeżdża druga drezyna, pędzi zakrętami wśród sosen. W drezynie siedzi dwóch mężczyzn, obaj trzymają za hamulec, od czasu do czasu luzując go na chwilę. Pojazdy stają naprzeciwko siebie, tak blisko, że niemal dotykają się zderzakami.

Jeden z mężczyzn ma na głowie kask, drugi siedzi z odkrytą głową. Długie, siwe, brudne włosy opadają mu na ramiona, przerzedzona ruda broda sięga wzdętego brzucha, po obydwu stronach sterczą z niej kosmyki splecione w warkoczyk. Ma na sobie waciak przewiązany w pasie sznurkiem.

„Cześć, Bucko — woła do niego mężczyzna siedzący na stercie gumiaków. — Dokąd jedziesz?”

Rozczochrany, brodaty mężczyzna przygląda się im, mrugając podejrzliwie, wreszcie pokaszując, odpowiada cienkim głosem: „Do domu”. Ziewa przeciągle, ukazując bezzębne usta aż po samo gardło.

„Tego nigdy nie wiadomo” — odpowiada ten drugi, siedzący obok Gizelli Weisz.

Drugi pojazd wiezie drewno, pełen jest szarych, pokrytych śniegiem, powykrzywianych gałęzi; ładunek

237

przypomina stertę zamrożonych słoniowych trąb. Gumiaki trzeba teraz zrzucić na ziemię i zdjąć z szyn drezynę, żeby mogła przejechać ta druga, z cięższym ładunkiem.

Mężczyźni znów wrzucają gumiaki na drezynę i zamieniają się miejscami. Ten, który siedział na gumiakach, siada teraz obok Gizelli Weisz i poszturchuje ją w bok.

„Nie powiedziała pani koledze dzień dobry” — mamerocze z wyrzutem.

„Nie znam go” — odpowiada Gizella Weisz.

„Jak to nie. To Bucko. Poprzedni kierownik wydziału.

Jak to go pani nie zna? Niech pani nie mówi takich rzeczy”.

„Nie znam” — powtarza Gizella Weisz.

Drugi mężczyzna kręci głową i się śmieje. „Ale doktora Potrę pani zna” — mówi, kiedy ruszają.

„Doktora Potrę, owszem” — odpowiada Gizella Weisz.

„No widzi pani, no widzi pani. A więc zna go pani”.

„Ale on wygląda inaczej”.

„Teraz wygląda właśnie tak”.

Po południu przyjeżdżają na wydział. Jedna z szyn biegnie

nie w głąb tunelu, czy też korytarza, druga skręca w stronę kamiennego baraku krytego gontem. Mężczyźni wnoszą gumki do biura i zrzucają je na pustą pryczę. Gizella Weisz wkłada tymczasem tenisówki, podchodzi do baraku i wodą ciekącą z rynny myje filcaki, piaskiem szoruje je z błota, potem wieszka na wieszaku w biurze, żeby wyschły.

Po jakimś czasie do biura wchodzi kierownik. Jego wzrok pada najpierw na schnące na wieszaku filcaki, potem na stertę gumki leżących na pryczy.

238

„Dziś już pani dalej nie pojedzie — odzywa się do Gizelli Weisz. — Tu pani przenocuje, a rano przyjedzie po panią wozem Jani Kuptor, węglarz. Zabierze panią na wydział, który będzie pani prowadzić”.

„Dobrze. A więc jutro” — mówi Gizella Weisz.

„Jaki to rozmiar? — pyta kierownik biura, wskazując na schnące na wieszaku buty. — Bo jeśli przypadkiem trzydziesty szósty, a tak mi się wydaje, to bym je kupił dla żony. Nie za pieniądze, oczywiście, ale za parę dobrych gumowców. Żeby nawet na chwilę nie została pani bez butów”.

„Proszę — mówi Gizella Weisz. — Jak wyschną, proszę je zabrać z wieszaka”. „Bardzo dziękuję — mówi kierownik biura. — Gumki, jak się przedziurawia, można za darmo wymienić. Dobrze pani na tym wyszła. A teraz proszę iść ze mną. Pokażę pani kantynę”.

Na ladzie pali się świeczka, światło rzuca drżący blask na przymknięte powieki kantyniarza. „Jeden rum — budzi go kierownik biura. — I likier pomarańczowy dla panienki”. Stoją tyłem do lady i światła, szklanki stawiają przed sobą na parapecie okna i patrzą na mroźny zmierzch zapadający nad doliną. „Powiedziałem: dla panienki — szepcze kierownik biura — ale oczywiście dobrze wiem, jak jest naprawdę. Ale tak przynajmniej nie będzie pani chciała do nikogo wysłać listów. Smakuje pani pomarańczowy likier czy wolałaby pani kminkowy? Proszę powiedzieć, jeżeli woli pani kminkowy”.

„Trudno mi wybrać między pomarańczowym i kminkowym — mówi Gizella Weisz. — Tak naprawdę żadnego nie lubię. Dlatego jestem taka niezdecydowana”.

„Radziłbym — szepcze kierownik biura i rozgląda się po kantynie — żeby sobie pani kupiła ze dwie butelki, nawet

239  
jeżeli teraz pani nie lubi. I niech pani sobie kupi z dziesięć konserw, rybki w pomidorach i rybki w cebuli. Po dziesięć czy po dwadzieścia sztuk. I niech sobie pani kupi ze trzydzieści paczek papierosów”.

„Nie palę” — odpowiada Gizella Weisz. „Jeszcze pani będzie” — mówi kierownik biura. Bierze ją delikatnie pod ramię i wyprowadza z kantyny.

„Chciałbym też zajrzeć do pani torby” — mówi w biurze. Ostrożnie zanurza prawą rękę w torbie Gizelli Weisz i jedna po drugiej wyjmuje z niej rzeczy, po czym staran-

nie układa je z powrotem. Z wyjątkiem dwóch. „To tylko bielizna na zmianę” — mówi Gizella Weisz. „Widzę — odpowiada kierownik i podnosi ze stołu jedną z rzeczy, zapakowane w celofan mydło toaletowe. Wącha je. „Takie mydło w naszej wodzie nie będzie się pienić — mówi. — A zresztą szybko się skończy i co pani wtedy zrobi. No co? Dam pani za nie półtora kilo mydła do prania. Podobnie zrobimy z tym stanikiem, tak się to nazywa, prawda? Wymienię go na parę rękawiczek na kozuchu. Rano wszystko będzie czekało przygotowane w kantynie na ladzie, w takim parcianym woreczku. Niech pani nie zapomni, że rano przyjeżdża po panią węglarz. Zawiezie panią prawie na sam wydział, tam, gdzie na panią czekają”.

„Dobrze, więc jutro — mówi Gizella Weisz. — A ilu ludzi czeka na mnie na wydziale?”.

Kierownik biura patrzy Gizelli Weisz w oczy, podnosi kciuk i mówi: „Jeden”.

Węglarz Jani Kuptor z samego rana czeka już przed kantyną. Na ladzie leży parciany worek, w nim półtorakilogramowy kawał mydła do prania i rękawiczki na kozuchu.

240

Gizella Weisz kupuje dwie butelki pomarańczowego likieru, dwie butelki kminkowego, po dwadzieścia pudełek rybek, trzydzieści paczek papierosów i dziesięć paczek zapalek. Gdy siada na wóz, węglarz przykrywa kocem jej obute w gumki nogi. Gizella Weisz nagle zrywa koc, chwytając parciany worek i wraca do kantyny. Dotyka dłonią czoła, jak gdyby chciała sobie zakryć oczy.

„Trochę jestem nieprzytomna — mówi. — Nie zapłaciłam. Ale nie mam pieniędzy”.

„Tu nie trzeba płacić. Tu się wszystko odpisuje”.

Gizella Weisz wraca na wóz, węglarz znów przykrywa jej nogi kocem. Droga rozpoczyna się wzniesieniem, po czym szybko przechodzi w wąską podmokłą ścieżkę. Pod kołami chrzęszcząc naniesione przez śnieg kamienie, gałęzie i kawałki lodu. Koń z trudem pnie się pod górę, co jakiś czas podnosi ogon i posapując albo żałośnie rżąc, puszcza wiatry.

„Koń to najczystsze zwierzę na świecie” — powtarza za każdym razem węglarz.

W południe zatrzymują się przed masywną, szarą ścianą śniegu. Musiała zejść z samej góry, z czerwonych skał, bo pełno jest w niej kamieni pokrytych rudymi żyłkami, kępek trawy, połamanych gałązek jałowca i krzaczków jagody. Węglarz wyprzega konia i trzymając w ręku sportową torbę Gizelli Weisz, a na ramieniu parciany worek, rusza przed siebie. Butem wykopuje w śniegu stopnie i tak wspina się pod górę. Na szczycie śniegowej góry czeka na Gizellę Weisz.

„Proszę się nie dziwić, jak znajdzie pani w worku coś, czego pani tam nie wkładała” — mówi.

241

„Nie będę się dziwić — odpowiada Gizella Weisz. — Dziękuję, że mi pan powiedział”.

„Dostała pani ode mnie cztery cebule — mówi węglarz. — Ale żeby sobie pani nic złego nie pomyślała”.

„Dziękuję” — mówi Gizella Weisz.

Posuwają się w górę ośnieżoną skalną stromizną. Gizella Weisz idzie po śladach węglarza. Przez jakiś czas brną po kolana w śniegu, potem już tylko po łydki, wreszcie w pobliżu wietrznego grzbietu już tylko po kostki. Zatrzymują się w miejscu, skąd nie można się już dalej wspinać. Węglarz rzuca na ziemię torbę i worek.

„Widzi pani, dokąd trzeba iść, prawda?”.

Stoją na skraju krateru, skąd wąskie jęzory śniegu sięgają w głąb urwiska, zamarzniętego zielonego jeziora i szarego stosu kamieni przykrytych dachem z gontu.

„Tak, chyba widzę” — odpowiada Gizella Weisz.

Z zamarzniętego na zielono jeziora biegną spiralą do brzegu krateru wbite w ziemię drewniane pale, dalej, w odpowiedniej odległości od skraju krateru, niczym wiry schodzą spiralą ku jezioru. Ponad jeziorem, w wiecznej ciszy głębin, wiszą nieruchome mgły.

„Kiedyś przyjadę tu po panią — mówi węglarz. — I wtedy wróci pani do domu. Pana Bucko też ja odwoziłem wczoraj. Więc jeszcze się spotkamy”.

Drzwi do domu są otwarte, Gizella Weisz puka w surowe deski, a nikt się nie odzywa. Staje przed skleconym z desek stołem. Na stole siedzi jasnoszare zwierzątko i patrzy jej w oczy. To łasica.

242

Łasica nie zna jeszcze Gizelli Weisz, zastyga w bezruchu, jej błyszczące, okrągłe ślepie nieruchomieją, tylko mieni się lekko jej futerko w nikłym podmuchu wywołanym wejściem Gizelli Weisz.

W domu stoją dwie prycze, na jednej walają się kawałeczki czarnego drewna w kształcie walca, desek, zgryzionych trocin, strzępki koca. To łóżko łasic.

Gizella Weisz kładzie na łóżku łasic brązową sportową torbę, parciany worek i zamyka za sobą drzwi. W środku robi się ciemno, maleńkie okienka pokryte szarą warstwą brudu ledwie przepuszczają światło. W jednym z nich zamiast szyby szeleści poszarpana foliowa torba. Za szarym oknem, nad biegnącym kuliście łańcuchem gór, wiszą bure chmury, z których z rzadka sypią się szare płatki śniegu.

„Gdzie jesteś?” — woła Gizella Weisz łasicę, widząc, że stół jest pusty. Po łasicy pozostały tylko świeżo pogryzione, błyszczące kawałeczki drewna i oddalający się chrobot. Gizella Weisz pochyla się, zagląda pod pryczę, ale nic tam nie widzi, niczego nie może wymacać, ani jednej łasicy. Znajduje tylko czarną miednicę pełną pomiotu, wyschniętych much i robaków.

Kiedy ponownie wygląda przez szare z brudu okienko, widzi, jak w padającym śniegu szarzeją kamienie, między

nimi biegną do wejścia ślady karbowanych podeszew. Gizella Weisz otwiera drzwi na oścież, w progu stoi mężczyzna o żółtej skórze i przerzedzonej brodzie.

Stoi z torbą na narzędzia przerzuconą przez ramię, węższy jak zwierzę.

„Wiedziałem — mówi szeptem — że ktoś dziś przyjedzie, ale nie wiedziałem, że kobieta”. Zostawia za sobą otwarte  
243

drzwi, kiedy idzie, śnieg wzbija się i wiruje nad progiem.

„To straszne. Kobieta”.

„Kobieta jak kobieta” — mówi Gizella Weisz.

Mężczyzna wiesza na haku torbę z narzędziami, lekko odwrócony, co chwilę spogląda za siebie i z niechęcią obserwuje Gizellę Weisz. Gizella Weisz zamyka drzwi.

„Potrzebuję trochę ciepłej wody” — mówi.

„Ciepłego czego?”

„Ciepłej wody”.

Mężczyzna z przerzedzoną brodą kręci przecząco głową.

„Tu nie można palić” — mówi, siadając na skraju pryczy, i z mroku swojego legowiska patrzy przed siebie odrętwiałym wzrokiem.

„Więc to dlatego pani zamknęła drzwi — stwierdza. — Żeby woda się zagrzała”.

„Wody też nie mam”. Gizella Weisz dotyka nogą brzegu czarnej miednicy.

„Woda jest na dworze — mówi mężczyzna. — Tam jest jej miejsce”.

„To trzeba jej przynieść i zagrzać”.

Mężczyzna z przerzedzoną brodą kręci przecząco głową.

„Tu nie można palić — wyjaśnia szeptem. — Kiedy jest za gorąco, łasice uciekają. A ten dom należy do nich”.

„Wystarczy, jak będzie taka ciepła, jak moja skóra” — mówi Gizella Weisz.

„Dobrze. Ale nie cieplejsza — mówi gniewnie mężczyzna z przerzedzoną brodą. — Dobrze. Tym razem wyjątkowo napalę. Ale tylko po to, żeby się pani przekonała, że to nie ma sensu. Ten jeden jedyny raz wyjątkowo napalę”.

244

Mężczyzna ze zwierzęcą zręcznością zeskakuje z pryczy, otwiera drzwi i wychodzi, nie zamykając ich za sobą. W górze, na skraju krateru, w dalekim, słabym świetle słońca kołyszają się żółte żagwie wzbijanego wiatrem śniegu. Nad zieloną taflą jeziora leży nieruchomo miękka zasłona mgły.

Gizella Weisz wyjmuje z brązowej sportowej torby gazetę, którą kupiła na stacji, mnie ją w dłoni i wkłada do pieca.

Mężczyzna przynosi ośnieżone korzenie jałowca, przemarznęte gałęzie, wrzuca je do pieca, zapala zapalną i zaraz ją gasi, choć papier jeszcze się nie zajął. Wyszarpuje spod gałęzi gazetę i rozprostowuje ją na kolanie.

„Kto to jest ten Malenkov? Kto to jest Bułganin? Co to

znaczy?"

„Niech pan zgadnie”

„A więc umarł — wzdycha mężczyzna z przerzedzoną brodą. Gniecie gazetę, wpycha ją pod korzenie i gałęzie i rozpala ogień. — Gorąco to nic dobrego — tłumaczy ci-cho. — Gorąco to najgorsza rzecz na świecie. Jak w środku jest gorąco, to na dworze jest zimno. Nie wolno do tego dopuszczać. Przekona się pani jutro, jak będziemy palikować”

„Jeszcze nie wiem, co będziemy robić jutro — mówi Gizella Weisz. — Ale rano panu powiem”

„Będziemy palikować — szepcze mężczyzna o przerzedzonej brodzie. — Tu można tylko palikować. Mam nadzieję, że w cieniu. Mamy mniej więcej kwiecień, prawda?”

„Za kilka dni będzie kwiecień” — mówi Gizella Weisz.

„Tak myślałem. Czyli przez kilka tygodni będziemy mieli cień nawet od południa. Jednak na górze słońce już nieźle przypieka. Ale proszę się nie obawiać, tu na dole nigdy”

245

„Pan na pewno wie lepiej. Musi pan od bardzo dawna mieszkać na tym końcu świata”

„Tu jest centrum świata, Gizello Weisz”

„Pan wie, jak się nazywam”

„A pani powinna się domyślić, jak ja się nazywam. Za jakiś czas na pewno się pani przypomnę”

„A więc my się znamy”. Gizella Weisz ściąga z pryczy łasic pogryziony koc i wytrzepuje go przed drzwiami. Wyjmuje z torby i worka konserwy, papierosy, cztery butelki i stawia wszystko na stole. „Moglibyśmy coś zjeść” — mówi.

„Już dzisiaj jadłem — odpowiada mężczyzna z przerzedzoną brodą. — Ale skoro pali się ogień, ugotuję trochę kaszy kukurydzianej. Wysypię ją przed drzwiami i zobaczy pani, że do rana nie będzie tam nawet ziarnka”

Gizella Weisz wychodzi z pustą miednicą, drzwi zostawia otwarte. Przynosi napełnioną śniegiem i stawia ją na piecu.

„Gdyby miał pan kawałek sznurka, bardzo by mi się przydał — mówi, kładąc na stole półtorakilogramowy kawał mydła. — Trzeba je pociąć na części. Dam panu połowę”

„Na co mi mydło?”

Płyta pieca rozgrzewa się, pod miednicą strzelają krople wody. Gizella Weisz siedzi na pryczy łasic, pociągając z mężczyzną za dwa końce sznurka, na kolana spadają im opiłki mydła. „Czy nie są krzywe?” „Owszem, trochę krzywe”

„Jeszcze nie widziałem krzywego mydła”. „Dobrze, więc zacznijmy od początku”

„Gdzie tu jest ubikacja?” — pyta Gizella Weisz, kiedy całe mydło jest już pocięte na równe kawałki.

246

Mężczyzna pokazuje za okno.

„To wszystko tam to ubikacja. Ale dobrze jest się przyzwyczaić i chodzić w jedno miejsce. Żeby wiedzieć, jak będzie

gdzie indziej napaskudzone, że chodził tu ktoś obcy".

Gizella Weisz zabiera miednicę z płyty i stawia ją na ziemi.

„Niech się pan na chwilę odwróci" — prosi.

„Zamknę oczy" — mamrocze na swojej pryczy mężczyzna.

Gizella Weisz odpina w talii guziki, zdejmując ubranie, sprawdza wodę, przebierając palcami, i siada w misce. Pod wodą gładzi dłońmi skórę spogląda na mężczyznę siedzącego w ciemnościach z zamkniętymi oczyma, wzdryga się bezgłośnie. Woda wokół niej delikatnie faluje.

„Jak pan chce, niech pan patrzy — mówi. — I tak wszystko jedno. Jak pan chce, może pan otworzyć oczy".

Mężczyzna otwiera oczy. Najpierw szuka spojrzenia Gizelli Weisz, potem patrzy na jej nagie kolana i falującą wodę. Przygląda się jej, jak gdyby w miednicy siedziała łasica.

„Robi się ciemno — mówi Gizella Weisz. — Czym tu świecicie?"

„Niczym".

„Przepraszam. Zadaję głupie pytania".

„Tu nie potrzeba światła".

Gizella Weisz siedzi na pryczy łasic, co chwila się wzdrygając.

„Przepraszam. Chciałabym o coś zapytać: czy ma pan może otwieracz do konserw?"

„Mam kilka dobrze naostrzonych noży" — odpowiada mężczyzna. Gizella Weisz na chybił trafił wyjmując jedną

247  
konserwę i przysuwa ją do smug światła skaczących po nodze stołu „To ryba w pomidorach. Lubi pan? Proszę otworzyć. I mam jeszcze likier pomarańczowy i kminkowy. Na który ma pan ochotę? Niech pan któryś otworzy".

„Co to, to nie — szepcze mężczyzna. — Nie będę sobie rujnował zdrowia czymś takim". Odcina nożem wieczko konserwy, stawia ją na stole. Bierze jedną z butelek, wskazującym palcem wciska korek. — „Proszę".

„Proszę się częstować — mówi Gizella Weisz. — Niech pan coś zje, dopóki pali się ogień".

„Mówiłem, że już dzisiaj jadłem. Może mi tylko pani zostawić zalewę, jeżeli pani nie lubi. Potrzebuję soli". Mężczyzna leży skulony w nogach pryczy, chyba trochę przeszkadza mu światło i ciepło. Gizella Weisz w ogóle go nie widzi, tylko przez chwilę w blasku zapalanej zapalki dostrzega przeredzoną brodę, mroczne spojrzenie i potem lekkie błyski fajki.

„Proszę, zalewa". Gizella Weisz podaje mu prawie pustą puszkę. Czekając, aż mężczyzna wypije.

„Ładnie pachnie to, co pan pali. Może by mi pan też naibił fajkę. Chętnie spróbuję".

„Rzeczywiście — mówi mężczyzna. — Sam zbieram opadłe liście. Jak jest dobra pogoda, liście wznoszą się wysoko w słonecznym zmerchu. I wtedy wiem, że są moje, że niedługo

cichutko opadną tu, a wówczas ja je wszystkie pobieram".

„Chętnie spróbuję" — powtarza Gizella Weisz.

„Proszę spróbować, skoro pani tak lubi fajkę. Nie mam więcej fajek, niech pani zapali moją".

Gizella Weisz bierze fajkę, wkłada ją do ust i zaciąga się.

„O Boże — krztusi się — gdzie mogę splunąć?"

248

„Gdziekolwiek. Na ziemię. — Mężczyzna wychyla się na pryczy. — Pani się śmieje?"

„O Boże — mamrocze Gizella Weisz — chyba rzeczywiście się śmieję. No, niech pan tu przyjdzie i się napije, panie Ócsi albo panie Petya. Pan jest jakimś tam Ócsim lub Petyą. Teraz już prawie wiem, kim pan jest".

„Widzę, że się pani przypomniałem — szepcze mężczyzna. — Jestem jednym z nich. Ale ja nie piję. Nie rujnuję sobie zdrowia. Chcę przeżyć tych wszystkich, których tu przysłali. Ale dosyć gadania. Lepiej, jak będziemy milczeć".

Gizella Weisz pociąga z butelki kilka łyków i znowu się odzywa: „Doktor Potra, czy jak go tu nazywano, ten Bucko, ile czasu tutaj spędził?"

„Proszę milczeć — szepcze rozdrażniony mężczyzna o imieniu Ócsi lub Petya. — Panią po to tutaj przysłali, żeby się pani zastanowiła, dlaczego pani tutaj jest. I proszę, niech pani więcej nie rozpala ognia. Uciekną łasice i zostanę sam".

Gizella Weisz wyciąga rękę ku blednącemu światłu, patrzy, która godzina. Zdejmuje zegarek, nakręca go i kładzie na stole. „Dochodzi siódma — mówi. — Jest wieczór. Zaraz wstanę i usiądę obok pana. I porozmawiamy sobie. Nikt a nikt nas nie usłyszy".

„Tego zegarka lepiej już nie nakręcać — radzi szeptem mężczyzna o imieniu Ócsi czy Petya. — Niech go pani gdzieś schowa, żebym nie słyszał. Niech go pani zakopie".

„Potem gdzieś schowam — mówi Gizella Weisz. — Schowam go pod zielonym lodem i będzie cisza. Zaraz i o tym pomówimy. Mówił pan, że ugotuje pan jakiejś kaszy i wysypie ją za próg, żebym zobaczyła, że do rana nie będzie ani odrobiny".

249

„Nie pamiętam. Nic takiego nie mówiłem. Nigdy nie chciałem niczego gotować".

Żar dogasa, ledwie się tli pod szarym popiołem. W ciszy stygnącego ciepła słychać szelest foliowej torby w oknie, czasami trzask gasnącego żaru w piecu. I trzaskają guziki w sukience Gizelli Weisz, gdy próbuje się rozebrać.

„Pani się rozbiera — dziwi się, jak zwykle szeptem, mężczyzna o imieniu Ócsi lub Petya. — Tu nie trzeba się na noc rozbierać".

„Ja się rozbieram — odpowiada też szeptem Gizella Weisz. — Zaraz do pana przyjdę".

„Co to, to nie — mężczyzna o imieniu Ócsi lub Petya odwraca się do ściany. — Niech pani nawet nie próbuje".

„Właśnie, że spróbuję. Przyjdę na trochę. Jeszcze dzi-

siaj".

„Niech pani zostanie na swojej pryczy. Niech pani tam zostanie. Niech pani poczeka, aż sam zechcę".

„Jak przyjdę, zaraz pan zechce. — Gizella Weisz stoi przed pryczą mężczyzny o imieniu Ócsi lub Petya. — Gdzie pan jest? Nie widzę. Nic nie widzę. Ale zaraz pana znajdę".

„Niech mnie pani nie dotyka".

„Musi pan gdzieś tu być. Gdzieś blisko".

„Niech mnie pani nie rusza. Ja nie chcę".

„Spróbujmy tylko — szepcze Gizella Weisz. — Jeszcze dzisiaj, bo jutro już będzie jutro. Da mi pan grzecznie rękę, a ja pana rozgrzeję".

„Proszę milczeć — miauczy i maże się mężczyzna o imieniu Ócsi lub Petya. — Do diabła z takim gadaniem. Niech mnie pani nie dotyka, bo będę krzyczał".

250

„Powiedziałem: nie! — warczy groźnie mężczyzna o imieniu Ócsi lub Petya. — Przynajmniej niech pani poczeka, aż zapomnę o Bucko".

Ręce Gizelli Weisz zawisają w powietrzu, powoli opadają, lądują na kolanach. Opierając się na nich, Gizella Weisz odsuwa się i rzuca na pryczę łasic. Wymacuje w ciemności swoje ubranie, cichutko się ubiera, przykrywa dziurawym kocem i układa na swoim pościeli.

„A długo to potrwa?" — pyta.

„Bo ja wiem. Co to znaczy, długo?".

„Kiedyś wreszcie pan zapomni".

„Tak. Za kilka lat. Może".

Gizella Weisz wciska pięść pomiędzy uda, skulona leży w półśnie na swoim pościeli. W nocy słyszy zduszone pochlipywanie mężczyzny o imieniu Ócsi lub Petya, tłumione żalosne skomlenie, słyszy odgłos jego bosych stóp, czuje delikatny dotyk jego ręki i zrywa się nagle z pościeli. Ale mężczyzna o imieniu Ócsi lub Petya śpi na pryczy, miarowo posapując, nie łka, nie pochlipyje, nie skomle. Nie zbliża się i nie dotyka jej. Po nogach i brzuchu Gizelli Weisz harcują panie i panowie łasice, wyskakują z dziur w poszarpanym kocu, grzeją się, wydając piskliwe odgłosy.

Gizella Weisz leży z pięścią wciśniętą między uda, od czasu do czasu muska ją futerko łasicy, coraz to wstrząsa nią dreszcz. Wreszcie się uspokaja: przez jakiś czas już tak będzie.

Przełożyła Elżbieta Sobolewska

## CO WARTO WIEDZIEĆ O SMOLARZACH

Smolarze pracują przy dymiących stosach. Nie palą w nich jednak węglem, lecz drewnem, a w zasadzie nie tyle palą, co pozwalają się tlić drewnu tak długo, aż przemieni się w czysty węgiel drzewny. Ich ubrania i włosy przesiąknięte są dymem, mają sadzę w kącikach oczu i czarny brud za paznokciami.

Smolarze krążą wokół stosów w czarnych, rozczłapanych walonkach na drewnianej podeszwie, a gdy muszą

iść do lasu, wciągają na wierzch gumowce. Po powrocie ściągają buty i moczą sine, zapocone nogi w zimnej wodzie strumyka. Potem wchodzi pod dach, wtedy ich bosc stopy oblepiają się żywicą, jak łapy niedźwiedzia.

Smolarze, nie wiedzieć czemu, nie chodzą na maliny, chociaż w pobliżu ich dymiących stosów aż roi się od gęstych, malinowych zarośli, otulonych kołderką mgły. Nie zwracają nawet uwagi na kobiety w dresach i czarnych chustach na głowach, zbierające owoce.

Ale gdy kobiety w drodze powrotnej podejną zbyt blisko palenisk, smolarze zastępują im drogę, zabierają im z rąk wiadra pełne malin i stawiają je na ziemi. Potem kobiety kładą się razem z nimi na jakimś małym mrowisku lub kretowisku.

253

Na koniec zlewają sok, który wypłynął z malin, i wypijają go, bo dodaje im sił. Czasem jedna z kobiet zrywa wśród traw jasne kwiaty dziewięcisiu i przypina do czarnej chusty nad czołem. Wraca wtedy wraz z innymi do domu w dolinie w takim kwietnym wianku. A smolarze na odchodne pokazują im język.

Smolarze nie czują nienawiści do nikogo i do niczego. No, może z wyjątkiem kani. Gdy tylko znajdą kanię w pobliżu paleniska, kopią ją, a gdy dziwnie wielki, grzybowy kapelus odleci daleko, odnajdują go i zapamiętane depczą rozklapanym chodakiem. A przecież mogliby usmażyć go sobie na gorącym tłuszczu, w panierce z mąki i jajka, na kolację. Ale smolarze nie jedzą na kolację grzybów, tylko kaszę z kluskami. Często też piją ostrą palinkę, wtedy muchy zlatują się do ich ust, zwabione słodkim oddechem.

Smolarze bacznie nasłuchują, gdy w lesie odzywają się jakieś głosy. Tak się uczą. I kiedy echo leśne przynosi głos mężczyzny, który mówi do kobiety: jesteś nudna jak symfonia Brucknera, smolarze śmieją się całymi tygodniami, póki nie zapomną.

Smolarze nigdy się nie nudzą. Bo kiedy nie wypalają drewna, nie zbierają węgla, nie kopią olbrzymich kani i nie zajmują się kobietami w kombinezonach, po prostu śpią. Smolarze śpią w zbudowanych z drewna i kamienia, krytych papą piecach, razem z pajakami, skorkami, nietoperzami, orzesznicami i różnymi odmianami nornic.

A pająki, skorki, nietoperze, orzesznice i różne odmiany nornic z czasem przywykają do smolarzy.

Przełożyła Małgorzata Komorowska-Fotek

#### POCZĄTEK JESIENI

Pewnego sierpniowego poranka, nagle, bez żadnego okresu przejściowego, przyszła jesień. Wieczór był ciepły, ale rano dachy okryła podobna do soli szadz, na chodniki i szosy posypały się wyblakłe liście akacji, a ludzie wstawali przed świtem, by pozamykać okna.

Także Lamos wstał wcześniej, a gdy zamykał okno, uderzyła go w nos ostra woń szaleju, jaka zwykle roztacza się

pod północnymi oknami pokoju w czasie nagłych, letnich burz. Dzisiaj zapach ten był pewnie dziełem przypadku, bo oszronione dachy schły właśnie w ostrych promieniach słońca, a nad górami zamykającymi widnokrąg było bezchmurne niebo. A może to nagłe ochłodzenie uwolniło zapach z polnych chwastów. Albo może po prostu w powietrzu unosił się jakiś pachnący szalejem środek chemiczny?

Zanim Lamos wsiadł na rower i ruszył ulicą Olajpres, zapach szaleju uleciał i zastąpiła go roztaczająca się wokół piekarni ciepła woń świeżego pieczywa.

Przed siódmą Lamos był już na obrzeżach miasta, przy zakładzie. Zgodnie z zaleceniem zostawił rower w stojaku przy bramie i poszedł po narzędzia. Był już w połowie

255  
drogi, gdy krzyknął do niego strażnik, żeby porozmawiał z szefem, zanim pójdzie do pracy.

— Mam dla pana wiadomość — powiedział szef. — Prosił pan o dzieciaka. Z tego co wiem, będzie mógł go pan zabrać dziś w południe.

— A więc załatwione. — Lamos skłonił się lekko, po czym poszedł po narzędzia, wsiadł z nimi na rower i wrócił do parków otaczających centrum miasta. To było ostatnie cięcie w tym roku; Lamos miał przyciąć w kwadrat żywopłot rosnący dookoła parkowych trawników i uformować w kule samotnie rosnące krzaki. Podczas pracy nigdy nie odchodził od krzaka, dopiero kiedy uznał, że już skończył, szedł wzdłuż żywopłotu lub obchodził dookoła przyszyrzyżony krzew i oglądał efekt swojej pracy. Wiedział, że świetnie przycina, zarówno w kwadrat, jak i w kulę.

— No — powiedział Lamos, gdy był już przed bramą. — To chodź, idziemy.

Zatrzymali się przed straganem z watą cukrową, Lamos kupił porcję i trzymając za patyk, podał dziecku do ręki.

— Masz — powiedział. — To dobre. Zjedz sobie.

Lamos trochę się zmartwił, gdy zobaczył, że tylko wiatr kręci watą na patyku, a chłopiec nie odgryzł dotąd ani kawałka, nawet jeszcze nie spróbował, a wata przecież szybko traci swój ciepły zapach. W końcu dziecko poczuło woń waty i ugryzło, chwilę później miało już w wacie całą buzię, łącznie z nosem.

— Jak będziesz chciał jeszcze — tłumaczył mu Lamos — to powiedz. A ja ci kupię. — Wyciągnął drobniaka

256  
z kieszeni. — A teraz masz. Kup sobie to, na co masz ochotę.

— Jabłko — powiedział pulchny chłopiec. Wtedy odezwał się po raz pierwszy.

— Jabłko. Świetnie. Jabłka są zdrowe — powiedział Lamos. — Jabłko to jest to. Jedz jak najwięcej jabłek. A po-

wiedz, ile masz lat?

— Nie wiem — powiedział chłopiec.

— Ale sześć to już pewnie masz — powiedział Lamos. — Co, masz już sześć lat?

— Sześć — odpowiedział chłopiec.

— Sześć? To wspaniale. — Lamos poklepał chłopca po ramieniu. — Tak, tak.

Kiedy doszli do bramy parku, Lamos kupił na straganie jonatany. Potem zaprowadził chłopca na trawnik, na który nie można było wchodzić.

— No, jesteśmy na miejscu. Usiądź proszę i obserwuj, co będę robił.

Lamos przycinał krzaki i spoglądał z zadowoleniem, jak dziecko wyjmuje jabłka z torby i po kolei przeciera je do połysku. Potem chłopiec ułożył lśniące jabłka na trawie, a następnie włożył je z powrotem do torby, wszystkie z wyjątkiem jednego. Ugryzł to jedno jabłko i uważnie przyglądał się, jak ojciec chodzi z nożycami wokół kulistego krzewu.

— Chyba dostaliście dzieciaka — krzyknął przez okno do Lamosowej któryś z sąsiadów, gdy pod akacjami, na ulicy Olajpres, pojawił się Lamos z pulchnym, rudym chłopcem u boku.

Z ulicy uleciał już dziwny, poranny zapach szaleju i zapach pieczywa, teraz unosiło się nad nią ciche, jesienne

257  
powietrze, niekiedy tylko zalatujące dochodzącą z podwórka wonią zupy.

Lamos spostrzegł, że obserwują ich zza szyb i szybko nachylił się do chłopca:

— Powiedz, mały, a jak cię dotąd nazywali?

Przełożyła Małgorzata Komorowska-Fatek

#### UPRZEJMY KAPITAN

W kilka dni po udanym egzaminie dojrzałości pewien niezwykle niskiego wzrostu chłopiec o nazwisku Petke wsiadł na statek. Kapitan statku był jego krewnym i to on właśnie w nagrodę za maturę ufundował mu tę wycieczkę. Nagroda dawała chłopcu szereg dodatkowych korzyści: uchodził z lądu przed sprawiającymi mu coraz większą przykrość natrętnymi spojrzeniami wywoływanymi jego niskim wzrostem; w swojej kabinie do woli mógł grać na flecie, spoglądając na gęste sitowie brzegów rozlewiska dolnego Dunaju, zabrudzone, białawe ściany nadbrzeżnych osad, budynki urzędów celnych i rzecznych, siedzących w kucki pod brązowymi bramami robotników portowych w okrągłych czapkach oraz leniwie przechadzające się tłuście koty. A w ogóle mógł zapoznać się ze starą łajbą oraz z powoli postępującym uczuciem, które zaczyna brać górę nad człowiekiem, kiedy przenosi się z lądu na rozkołysaną falami wodę.

Był to frachtowiec, a więc brakowało tych wszystkich udogodnień, które czynią podróż statkiem bardziej atrakcyjną i ułatwiają pasażerom życie. Brak wygod nie przeszkadza-

dzał jednak w niczym grającemu na flecie chłopcu, który w pełni zaakceptował brudne okrętowe liny, chrapiących

259  
głośno marynarzy i spowinowaconego z nim kapitana, którego sumiasty wąs nie robił większego wrażenia na ładzie, a tu, na statku, zamieniał go w prawdziwego morskiego wilka. Petke miał tylko jedno za złe, że nigdzie się nie zatrzymują, a jedynie płyną i płyną, bez żadnego przystanku, mijając nadbrzeżne miejscowości, i już, już wydawało mu się, że z całej podróży pozostaną mu w pamięci jedynie wizerunki mijanych miast spowitych wonią mułu i ryb. Jednak pewnego dnia Petke po obudzeniu się stwierdził, że statek stoi. Teraz już zupełnie z bliska widział biuro portowe, urząd celny i tłustego, nadbrzeżnego kota, a także płaski, parterowy budynek z wyblakłym szyldem „Krompor&Talp” na rozpadającej się fasadzie. Nazwiska były cudaczne. Swego czasu zapewne dwaj panowie noszący te dziwne nazwiska założyli spółkę. Przed budynkiem przesiadywał tragarz w okrągłej czapce, a na stojącym obok, pomalowanym na biało thonetowskim krześle siedziała dziewczyna z kręconymi zupełnie jak u Murzynki włosami. Obok niej, w zasięgu ręki, oparty o ścianę znajdował się futerał na gitarę. Z bramy spółki „Krompor&Talp” dwóch robotników wytoczyło właśnie pianino ustawione na platformie z kulkowymi łożyskami. Dziewczyna, kiedy mijali ją robotnicy z pianinem, zeskoczyła z krzesła i wzięwszy futerał z gitarą, podążyła za nimi na pokład statku. Petke natychmiast zauważył, że dziewczyna była niższa niż oparcie krzesła, na którym przed chwilą siedziała. I tylko nieznacznie wyższa od futerału, który objęła króciutkimi rączkami.

Statek wkrótce odbił od brzegu. Petke wiedział, że dziewczyna pozostała na pokładzie. Po raz pierwszy w życiu

260  
widział kogoś tak niedużego, po raz pierwszy też zdał sobie sprawę, że ta dziewczyna jest chyba tego samego wzrostu co on. Z okienka kajuty widać było oddalającą się fasadę „Krompor&Talp”, więc pomyślał jeszcze, że to pewnie dziewczyna z tej firmy.

Kapitan jeszcze przed śniadaniem pojawił się w jadalni i zasiadł przy bardziej elegancko nakrytym stole w towarzystwie — po prawej stronie — kędzierzawej dziewczyny. Czekali już tylko na Petkę.

Kapitan uprzejmie się uśmiechając, przedstawił ich sobie nawzajem. Panienska — powiedział — właśnie niedawno zdała maturę i podróż statkiem, podobnie jak Petke, otrzymała w nagrodę. Dziewczyna przyjaźnie się uśmiechała i z pewnym politowaniem patrzyła na Petkę, uznając zapewne jego postać za zabawną. Podobnie Petke z wyrozumiałym uśmiechem przypatrywał się jej, starając się pod obrusem dojrzeć, do jakiego miejsca zwisają z krzesła nogi dziewczynki.

Po śniadaniu przeszli do nieznanej dotąd Petce kabiny, gdzie ustawiono zabrane rankiem z portu pianino. A na nim leżała gitara dziewczyny z firmy „Krompor&Talp”. Z zawieszzonego na ścianie obrazu patrzył na nich zza swoich czerwonych okularów sam Elton John, w czarnej pelerynie, srebrnym cylindrze i butach ze szklanymi podeszwami. A z mikrofonu z przytłumionym drzeniem wydobyła się melodia jego High Flying Bird. Wszystko to zapewne z niezwykłym taktem przygotował spokrewniony z Petke kapitan, z nadzieją, że czar arcymistrza fortepianu uatrakcyjni pobyt dwojgu zdobywcom nagrody w postaci podróży towarowym statkiem. Kierując się też uprzejmością, od czasu

261 do czasu, bez pukania, na palcach wchodził do kabiny, przynosząc to kawę z rumem, to piwo marki Stemburg. Nie omieszkął też zaznaczyć, że nie zaszkodzi, jeśli nauczą się grać wspólnie kilka miłych szlagierów, wszak oboje grają przecież na fortepianie i lubią muzykę. No i niech zaczynają bez zwłoki, bo to tylko umili im podróż i może okazać się pożyteczne.

Petke grał na flecie, dziewczyna na gitarze i na zmianę na fortepianie. Kiedy po pierwszej próbie Petke elegancko przepuścił w drzwiach przed sobą dziewczynę, aby zaakcentować tym swoje dobre wychowanie, lekko dotknął ręką jej bioder.

— Między nami o niczym nie może być mowy — powiedziała gwałtownie dziewczyna, odwracając się w stronę chłopca. — Mam dorosłych przyjaciół.

Petke poczerwieniał i nic nie odpowiedział. Długo kręcił się koło mostka kapitańskiego, czyhał na kapitana, aby uprzedzając wszelkie komplikacje, szybko wytłumaczyć swoje zachowanie. Jego ruch został źle zrozumiany, po prostu chciał być elegancki i nie było w tym żadnego zamiaru cielesnego zbliżenia. Jednocześnie widział, że dziewczyna, oparłszy się o poręcz, cały czas chichocze, śmieje się i potrząsa koroną swoich kędzierzawych włosów. Z jednej strony złościło to Petkę, z drugiej jednak uspokoiło, dziewczyna jest harda, dumna, ale nie zaciekleła w gniewie. Wreszcie podeszła nawet do niego.

— Ale muzykować razem możemy — powiedziała. — Z całą pewnością możemy.

Któregoś ranka statek znów się zatrzymał. Z luków towarowych wynoszono na brzeg duże skrzynie. Kapitan

262 w towarzystwie Petki oraz dziewczyny udał się tym razem na śniadanie do ogródka przy placu targowym w pobliżu nabrzeża. Jedli ikrę, popijając piwem. Wzdłuż całego portowego nabrzeża ciągnęły się olbrzymie kopce kapusty i arbuzów. Kopce kapusty były znacznie wyższe i sięgały okapów pobliskich budek oraz smaźalni. Od czasu do czasu z kopców, prosto na szyny, staczała się główka kapusty pod tramwajowe koła, które szatkowały ją na miazgę. Nic

dziwnego więc, że całe portowe wybrzeże przesiąknięte było zapachem zgniłej kapusty.

Petke z dziewczyną patrzyli na miazdzone z trzaskiem główki kapusty i tylko od czasu do czasu rzucali okiem na znajdujący się w pobliżu ogródka wielki namiot wędrownego cyrku. Na jednej z płacht widniało niezdarnie wymalowane ogłoszenie:

„GRAJĄCĄ NA INSTRUMENTACH MUZYCZNYCH PARĘ KARŁÓW PRZYJMIEMY NA OKRES PRÓBNY”.

Zarumienili się oboje i z pewnym zażenowaniem, ukradkiem nawzajem się obserwowali. Lewa dłoń kapitana spoczęła na prawej ręce Petki, a prawą położył na lewej ręce dziewczyny.

— To duże pieniądze — powiedział głębokim, serdecznym głosem krewniaka. — Szczęśliwy zbieg okoliczności. Z samą maturą człowiek dziś daleko nie zajdzie.

Dziewczyna z „Krompor&Talp” roześmiała się z przymusem. Petke zachmurzył się, drugą ręką miał kraj obrusu.

— A mama o tym wie? — zapytał cicho.

Kapitan potakująco skinął głową.

— Mama będzie szczęśliwa — powiedział.

Przełożył Tadeusz Olszański

#### WPROWADZENIE DO ZAWODU

— Musicie to wiedzieć — powiedział majster od kanalizacji, otwierając żelazną kratę zamykającą ujście głównego kanału do rzeki. — Zapamiętajcie sobie dobrze. Obcym absolutnie wstęp wzbroniony. Byle kto nie ma tu prawa wstępu.

Vencel stał na brzegu, na piędzi ziemi porośniętej kępą trawy, i patrzył, jak majster w swoich długich, gumowych butach brodzi w spienionych, brudnych, wypływających z kanału ściekach i z ciemności panujących pod mrocznym sklepieniem wyciąga zacumowaną łódź. Dopycha ją dziobem do brzegu, tak aby Vencel suchą stopą mógł do niej wejść, po czym obraca ją i zgrabnie sam wsiada.

— Trzeba bardzo uważać — ciągnął majster — bo nigdy nie wiadomo, jakie z tego mogą być później kłopoty. Nigdy nie wolno o tym zapomnieć! — Po czym starannie umieścił kłódkę na kracie zamykającej kanał i zapalił lampy umocowane na dziobie oraz na burtach łodzi. A kiedy stwierdził, że Vencel już się wygodnie usadowił, stanął na dziobie i zaczął wiosłować.

— Wiosłowanie nie jest wielką sztuką, szybko się nauczycie. Trzeba tylko uważać, żeby piórem wiosła nie zaczepić o ścianę. Wtedy przy nieodpowiednim ruchu można stracić równowagę. Jednym słowem — wiosłujcie rozważnie.

265

Vencel przytknął do nosa chusteczkę, przez nią oddychał i kiedy odpowiadał „rozumiem”, majster słyszał tylko jakieś „uumh” czy coś w tym rodzaju.

Wkrótce Vencel zaczął chrząkać i wycierać nos, ale szybko doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jeśli nozdrza wypełnią się śluzem, bo wtedy nie będzie czuł smrodu.

Kiedy po raz pierwszy odjął od nosa chusteczkę, zanurzyli się już w ciemnościach kanału. I tylko na wilgotnych ścianach mrugało jeszcze odbicie zieloności brzegu rzeki.

— Za chwilę poznacie kogoś — powiedział miarowo wiosłujący majster.

— W tym miejscu, tutaj? — zapytał Vencel, odejmując chusteczkę od nosa. I przestraszył się dźwięku własnych, zniekształconych pogłosem kanału słów.

— Gdzieś tu — wyjaśnił majster. — Gdzieś tu możemy się na niego natknąć. Pucha, tak się ten gość nazywa.

Vencel patrzył przed siebie. Majster stał przed nim, zasłaniał sobą spowity w ciemności widok. Dostrzegał więc niewiele, tyle, ile widać było między szeroko rozstawionymi nogami i obok kolan wiosłarza. Patrzył więc w bok na połyskujące ściany kanału oraz na ciemne linie zbliżających się bezgłośnie fal, które po chwili unosiły lekko dno łodzi. Główny kanał szybko rozdzielił się na boczne, położone nieco wyżej dopływy. Z niektórych tych odnóg z głośnym pluskiem bluzgała brudna, spieniona ciecz.

— Prawdę mówiąc, to wcale nie nazywa się Pucha — mówił majster. — Ma w końcu normalne nazwisko. Tylko ja go tak nazywam, Pucha. Po prostu lubię dawać ludziom różne przezwiska. Nazwę tak sobie kogoś i już.

266

Majster bez słowa oglądał się do tyłu i ostrożnymi ruchami utrzymywał równowagę łodzi, bo Vencel coraz częściej gwałtownie pochrząkiwał i kichał.

— Wytrzyjcie porządnie nos — powiedział. — Wy-smarkajcie się, gdzie chcecie, tu i tak nikt nie widzi. Nie będę się patrzył.

— Ech — stęknął Vencel. — Chyba się przeziębiłem.

— Tam dalej jest ciepło — powiedział majster. — Są takie miejsca, pod hotelami i szpitalami, gdzie jest całkiem ciepło. Bo tam spływa dużo ciepłej wody. Nie radzę jednak się rozbierać.

— Chyba źle się ubrałem. Nie powinno się tu przychodzić w swetrze — powiedział Vencel. — Głupio się ubrałem. Skąd jednak miałem wiedzieć.

— Jutro dostaniecie roboczy strój. Taki jak mój. Będziecie tak samo ubrani jak ja, jak prawdziwy kanalarz — powiedział majster. — I tak jak Pucha. Pod ten kombinezon niepotrzebny jest sweter, ani nawet podkoszulek. Chyba że jesteście do tego bardzo przyzwyczajeni.

— Dobrze byłoby trochę się rozgrzać — zauważył Vencel. Od czasu do czasu rozcierał ręce, ale potem znów unosił je do nosa.

— Tylko gdzie? — zapytał majster. — Jak myślicie, gdzie się teraz znajdujemy?

— Nie orientuję się — odparł Vencel.

— Spróbujcie jednak.

— Naprawdę nie mam pojęcia. Ale wydaje mi się, że

jesteśmy już dość daleko.

— Będziecie musieli nauczyć się rozeznania — powiedział majster. — Bo czasem ni stąd, ni zowąd mogą

267

wygasnąć lampy. A wtedy trzeba wiedzieć, gdzie się człowiek znajduje.

Majster nie siadał, mimo że sklepienie stawało się coraz niższe. Tylko się przygarbił i dalej wiosłował na stojąco. Kanał zwężał się i Vencel zauważył, jak bezskuteczne i błędne były te ruchy, kiedy majster zaczepiał wiosłem o ścianę.

— Jesteśmy teraz pod pijarami — powiedział w pewnym momencie majster. — Wiecie, gdzie jest ten kościół, no nie? A jakiej wiary jesteście?

— Chodziłem do szkoły na wsi — odpowiedział Vencel. — Do wiejskiej, ludowej.

— No, kiedy już się przyzwyczaiacie, to nawet będziecie słyszeć, jak tam czasem grają na organach.

— Tak? Czy teraz też grają?

— Sami usłyszycie, przyjdzie z czasem — ostrożnymi, wolnymi ruchami majster zatrzymał łódź. — A czy teraz grają? — uniósł głowę. — Nie chcę skłamać. Spróbujcie się wsłuchać przez chwilę.

Siedzieli w absolutnej ciszy. Vencel słyszał jednak tylko chlupot wody w kanale i czasem bryzgi fal uderzających o burzę łodzi.

— No i co, słyszeliście coś niecoś? Powiedzcie — dopytywał majster.

— Nie — odpowiedział Vencel. — Absolutnie nic.

Majster roześmiał się bezgłośnie. Vencel wyczuł to po drganiu łodzi i z głosu, który łagodniej odbił się teraz od ścian: — Tego też musicie się nauczyć. To ważne. Bo jak będziecie wiedzieli, że akurat jesteście pod kościołem, to wtedy możecie posłuchać organów.

268

Vencel milczał, czasem chrząkał i wycierał nos. Majster nagle przyklęknął na przedniej ławeczce i odłożył wiosło. Zwinął dłoń w trąbkę, przyłożył do ust i krzyknął:

— Pucha!

Głos poszybował kanałem i odnogami, by po chwili powrócić echem wraz z pluskiem wody. Majster wstał i chwycił za wiosło.

— Wiecie — powiedział — ten Pucha to główny kanałarz, szef. Chciałem, aby was zobaczył. Ale nigdzie go nie ma. Gdzieś zniknął.

Znajdowali się akurat u zbiegu dwóch dużych kanałów, kiedy Vencel zapytał:

— A teraz gdzie jesteśmy?

— No, no — powiedział majster. — Wszystkiego i tak wam nie będę w stanie powiedzieć. Ale przekonacie się, że po jakimś czasie sami do wszystkiego dojdziecie. Będziecie

mieli taki słuch jak zając.

Majster z dużą pewnością siebie, nucąc pod nosem, spokojnie wiosłował.

— No i co powiecie — szef zniknął akurat wtedy, gdy chciałem mu was przedstawić.

— A jak się on nazywa?

— Pucha, nazywam go Pucha. Jest głównym mistrzem od kanalizacji. Zniknął. Ale niewykluczone, że cały czas był na naszym tropie, płynął za nami niby cień. Jak myślicie? Czy rzeczywiście tak mogło być?

— Skąd mam wiedzieć?

— A jeśli jednak płynął za nami? No, chyba o niczym takim nie rozmawialiśmy. Prawda? Nic specjalnego.

269

— Gdyby płynął za nami, to w jakimś momencie chyba byśmy go zobaczyli — powiedział Vencel.

— Co to, to nie — roześmiał się majster. — Szef nie używa świateł. Tylko wtedy zapala lampę, kiedy czuje jakiś szczególny zapach. Zapala, bo chce zobaczyć, co w tej wodzie tak śmierdzi. Mówię na niego Pucha, bo jest miękki jak ciemny puch.

U wylotu kanału zaczęła drgać jasność zieleni brzegu. Coraz wyraźniej było widać kratę, do której zbliżali się. Majster otworzył kłódkę, zdjął ją z kraty i wypłynął z kanału akurat tak, aby Vencel suchą nogą mógł wyjść na brzeg. Na tę samą, pokrytą kępą trawy pięćdziesiąt centymetrów, z której wsiadał do łodzi. Vencel szybko oddalił się, usiadł na porośniętej chwastami trawie i zaczął głęboko oddychać. Po chwili powąchał swój sweter.

— To nie takie straszne — powiedział majster. — Nie zaszkodzi jednak, jeśli zapamiętacie sobie, żeby w takim ubraniu nie wsiadać do tramwaju.

Przełożył Tadeusz Olszański

STAŁY BYWALEC

Serfozo siedział w kuchni razem z Verą Bocz. Serfozo rozebrany do koszuli i w kalesonach, Vera Bocz w postrzępionej, krótkiej podomce, boso, z podwiniętymi nogami. Był wieczór, ale oboje wyglądali tak, jakby przed chwilą się obudzili, z pochylonymi głowami, od niechcenia mrużąc oczy. Blask lampy padał na wytarte po jedzeniu chlebem talerze, na siwiejący kark mężczyzny oraz pulchną szyję kobiety. W ciszy trawili wcześniej spożytą kolację, kiedy rozległ się dzwonek.

Serfozo zarzucił na ramiona brązowy szpitalny chałat i powoli ruszył w stronę przedpokoju.

— Proszę nie wpuszczać obcego — rzuciła za nim Vera Bocz. — Nie mam ochoty się ubierać.

Serfozo szybko powrócił do kuchni i nachylił się nad Verą Bocz.

— Szukają biednego Harkalya — powiedział smutno i bezradnie.

— Mam nadzieję, że powiedzieliście, co się z nim stało —

szepnęła kobieta.

Serfozo przecząco pokiwał głową i z zakłopotaniem poprawił okrycie na ramieniu.

271

— Nic mu nie powiedziałem. Niech mu to pani powie, Vero, jeśli lubi pani o takich sprawach mówić.

Vera Bocz podeszła bosą do drzwi i lekko je uchyliła, aby zobaczyć, kto przyszedł. Przed drzwiami stał mężczyzna z płaszczem przerzuconym przez ramię i kapeluszem w ręku.

Kobieta ledwo rzuciła okiem i wróciła na swoje krzesło.

— Wpuście go — powiedziała do Serfozo.

— Proszę przynajmniej nakryć uda tym szlafrokiem — powiedział Serfozo w drodze do przedpokoju i otworzył drzwi.

— Proszę wejść! — powiedział.

Vera Bocz podciągnęła pod siebie bosc stopy i poprawiała ledwo przykrywającą kolana podomkę.

— Proszę wybaczyć — powiedziała do mężczyzny — jak pan widzi, jesteśmy po domowemu.

Obcy wykonał kapeluszem gest pełen wyrozumiałości.

— Pan w jakiej sprawie? — zapytał Serfozo i podsunął gościowi krzesło.

— Tu zwykłem nocować — odpowiedział przybysz — u Harkalya. Z reguły razem spędzaliśmy wszystkie dwudniowe święta.

Vera Bocz zmierzyła gościa wzrokiem od stóp do głów.

Miał ciemne oczy, gładkie włosy i czerwoną krechę na czole po zbyt ciasnym kapeluszu. Kobieta obciągnęła na udach ciasną podomkę. Serfozo sięgnął po talerze, zdjął też obrus i strząsnął okruchy do zlewu.

— Prawda jest taka — powiedział, stojąc tyłem do gościa — że Harkalya nie ma w domu.

— Na pewno przyjdzie — uśmiechnął się gość.

Serfozo złożył obrus i schował do szuflady stołu.

272

— Raczej nie przyjdzie — powiedział cicho. — Już wspomniałem, że jest daleko stąd.

— Rozumiem — przytaknął gość. — Jego pokój jest wolny.

Vera Bocz spojrzała gościowi w oczy.

— Nie całkiem — powiedziała — bo aktualnie to my zajmujemy ten pokój.

— Słowem i państwo również — stwierdził pogodnie przybysz. — To wszystko w porządku, bo ja tu jestem stałym bywalcem. Stołuję się na mieście, ale poproszę o klucz od bramy.

Vera Bocz wysunęła bosą stopę w kierunku Serfozo i dwoma palcami nogi szarpnęła nogawkę jego kałesonów. W trakcie tego ruchu podomka podsunęła się, odsłaniając do połowy jej udo. Serfozo mimo to sięgnął do wiszącej na wieszaku marynarki, wyjął z kieszeni klucz i podał go gościowi.

— Proszę uprzejmie.  
— Całujączkę — powiedział przybysz i włożył na głowę kapelusz. — Do widzenia! — a Serfozo otworzył mu drzwi.  
— Ejże! — powiedziała Vera Bocz, kiedy gość już wyszedł, a Serfozo zamknął za nim drzwi. — Wy to macie poważne zahamowania.  
— Bądźmy całkiem szczerzy, Vero — powiedział Serfozo. — Przecież to wy zaprosiliście go do środka. Tak, Vero, z całą pewnością wy, a nie ja.  
— Ale nie po to, aby tu razem z nami spał.  
— Dokładnie właśnie po to! — powiedział Serfozo. — Vero, wy już sami ze sobą nie możecie wytrzymać. Proszę teraz ładnie pościelić łóżko.

273

Przeszli do pokoju, wyjęli pościel Harkalya, jego olbrzymią, dawno nieużywaną pierzynę i pościelili łóżko. Potem pościelili też własne łożo i wkrótce się położyli.  
— Mogę podyskutować? — zapytał w łóżku Serfozo. — Albo ciągle jeszcze myśli Vera o tym gościu w kapeluszu?  
— Jasne, że o nim myślę — odpowiedziała Vera Bocz. — O tym, że jeszcze nie raz się tu pojawi. Ilekroć będą dwudniowe święta.  
— Niewykluczone — zgodził się Serfozo. — Wygląda na to, że stale będzie tu sypiał. Wtedy, Vero, będziecie mogli go bliżej poznać.  
— Dobrze będzie, jak wyniuchacie, jak się on nazywa. Kto, co i skąd, jaką ma naturę. Takie rzeczy trzeba wiedzieć.  
— Ty, Vero, masz gładką skórę, jak ją zobaczy, to wszystko sam wyśpiewa — powiedział Serfozo. — Po co więc takie zadania mnie powierzać?  
Chustą przykryli nocną lampkę, żeby im światło nie przeszkadzało i żeby gość, kiedy wróci, mógł trafić na swoje miejsce. Do północy leżeli w milczeniu, uważnie się obserwując. Wreszcie Serfozo się odezwał:  
— Czy teraz już mogę się zbliżyć, czy też ciągle myślicie o tym drugim?  
— Myślę o tym — szepnęła Vera Bocz — że wszystkie knajpy już dawno zamknęły. A wy co myślicie, co ten osobnik zrobi z naszym kluczem do bramy?  
— Albo otworzy nim bramę, albo nie wiem co. A może już dawno go wyrzucił. Ale nie szkodzi, mamy jeszcze jeden zapasowy klucz.

Przełożył Tadeusz Olszański

### KUSZENIE PANI IMOLI

Na dziwnej, krótkiej ulicy mieszkała pani Imola. Domy znajdowały się tylko po nieparzystej stronie. Po parzystej natomiast ciągnęło się kamienne ogrodzenie cmentarne, z mocno obłuzowanymi już głazami, zza których wychylały się nad drogę konary wysokich, jesionowych i klonowych drzew.

Pani Imola była zgrabną, gładkoscórą kobietą. Wypiękniła ją samotność, owo wieczne oczekiwanie, bezgraniczna,

święteczna cierpliwość, z którą szykowała się na każdy kol ejny dzień. Każdy mężczyzna, patrząc na panią Imolę, zdawał sobie sprawę, że pod jej obszernymi spódnicami ukryta jest wielka tajemnica.

Czasami przed bramą jej domu pojawiał się obcy człowiek, który w ulicznej ciszy tęsknił za bliskością samotnej kobiety, więc po bezradnym dreptaniu zdecydował się wreszcie nacisnąć klamkę i następnie w przedpokoju, nieco głupawo, tarmosząc w rękę skraj kurtki, tłumaczył cel swego przybycia. Jejmość Imola bezbłędnie zdawała sobie jednak wtedy sprawę, że zawitał do niej zwyczajnie gburowaty prostak, który zamierza wkraść się w jej łaski. Ilekroć coś takiego się zdarzało, niewiasta, omijając łukiem przysza, tak aby jej nie dotknął, wychodziła na podwórze,

275  
otwierała furtkę i w milczeniu czekała, aż obcy opuści jej domostwo.

W pierwszych mroźniej szych dniach zimy, ledwo kilka tygodni po tym, jak we wspomniany sposób wydalila z domu pewnego smutnego, tęskniącego za kobiecym ciepłem młodzieńca z podkrążonymi oczami, który w swojej rozpaczycy nazwał się pokornym kocurkiem pani Imoli lub zgodnie z życzeniem gotów był zostać jej innym, nawet podlejszego gatunku zwierzaczkiem, jakim tylko chciałyby go nazwać, pojawił się nowy gość. W pewnej mierze przypominał swego poprzednika, miał podobnie smutne, pożądlawie głodne spojrzenie i po krótkim pukaniu, bez czekania na zezwolenie, wkroczył do domu.

Nosił czarny kubrak, ruską kuczmę, miał włochatą szyję, jedną rękę trzymał w kieszeni, drugą z zaciśniętą pięścią wyciągnął przed siebie. Nie nazywał siebie unizonym sługą, kocurem, czy też podnóżkiem, najzwyczajniej zatrzymał się w przedpokoju i czekał, aż pani Imola zakończy podlewanie, przeniesionych przed zimnem z okiennego parapetu na górę kredensu, doniczek z kwiatami. Dopiero wtedy stanął przed przenikliwym wzrokiem pani Imoli i gwałtownie rozpostarł zaciśniętą dotąd kurczowo pięść. Na otwartej dłoni spoczywały trzy kamienie, które promieniowały jeszcze ciepłem jego ciała.

— O, co znalazłem — powiedział cichym, pozbawionym jakichkolwiek emocji głosem. — Wyłowiłem te kamienie z pobliskiego stawu, chciałem je pokazać, bo będę się do pani zalecał.

Po czym obcy młodzieniec z włochatą szyją, w ruskiej kuczynie rzeczowo wyjaśnił, że w pobliskim stawie gołą

276  
ręką wyławiał kamyczki. Pokazał wierzch dłoni ze śladem zamarznętej wody, z pierścieniami zimna na palcach, jakby nosił jakieś lodowe rękawiczki. Czy warto było? Na dowód, że tak, pojedynczo językiem zwilżał kamyki, aby ładniej wyglądały. Były czerwonawe, z białymi żyłkami i zielonkawoszarymi plamami, ot, zwykłe kamyczki.

Pani Imola cofnęła się pół kroku i spojrzała naprzód na szybko tracące blask kamienie, a potem w niewinne oczy przybysza.

— Ale gdzie właściwie, z jakiego stawu pan je wyłowił? — zapytała.

— Znalazłem je w wodach Bordongo — odpowiedział młodzian w kuczynie. — Tam je wyłowilem, wiedząc, że spoczywają na dnie. I chętnie pokażę to miejsce.

— Ale przecież w okolicy nie ma żadnych stawów ani jezior — próbowała wywinąć się z zaproszenia kobieta. — Bo gdyby były, tobym o tym wiedziała.

— Jeśli pani pójdzie ze mną, to przekona się pani, że jednak są — powiedział cicho przybysz. — Niedaleko stąd, mały spacer, godzinka na wzajemne poznanie się. Proszę tylko zarzucić chustę na ramiona, włożyć te futrzaczki na nóżki i już możemy ruszać.

Pani Imola z powolną starannością zaczęła się szykować do wyjścia, naprzód zarzuciła chustę na ramiona, potem rozmyśliła się i zdjęła ją, aby najpierw włożyć wyścielane futerkiem buciki. Poprosiła też swego gościa, aby na wszelki wypadek zanurzył w letniej wodzie pokrytą resztkami lodowej rękawiczki dłoń i zmył z palców śnieżne pierścienie, bo może znów przyjdzie mu do głowy wyławiać kamyczki z jeziora Bordongo.

VI

— Aczkolwiek obawiam się, że to wcale nie blisko i przywędrował pan tu raczej z dość daleka — dodała niepewnie.

— Nie chciałbym się pani sprzeciwiać — westchnął młody człowiek. — Sprawiłoby mi to przykrość, więc raczej ruszajmy już w drogę.

Pani Imola wkrótce doszła do wniosku, że nieznajomy, który ją odwiedził, chyba ma rację, bo zamiast koniecznym w tak mroźną pogodę szybkim tempem wyjść główną drogą z miasta, to w ślad za swoim przewodnikiem zmierzła spacerowym krokiem wzdłuż ogrodów, aż do jednej z bocznych, ślepych uliczek. Brnęli krótki odcinek po kolana w śniegu, ale nim pani Imola zdążyła jakimś pytaniem zakłócić szelest spadających z gałęzi warstw śniegu oraz trzask pękających pod stopami grudek lodu, młodzieniec w ruskiej kuczynie zatrzymał się przy do tego stopnia ukrytej, że wręcz niezauważalnej, furtce ogrodzenia, odsunął deseczkę przykrywającą zamki, wyjął z kieszeni różne klucze i zaczął nimi grzebać w otworkach. Kiedy już uporał się z zamkami, odsunął przed kobietą furtę, a następnie, od wewnątrz, starannie ją zamknął.

Śnieg sięgał tu powyżej kolan i brnęli dalej po zostawionych uprzednio, zapewne przez gospodarza, śladach. Z prawej strony czepiały się ich ośnieżone gałęzie rzędu krzewów, z lewej natomiast osłaniała ścieżkę kosodrzewina. Teraz pani Imola poczuła się gościem, a młody człowiek, uprzejmie i dokładnie opowiadał, jak pięknie jest tu latem. Ogród dziczeje od parkanu w taki sposób, że nim

człowiek przedrze się przez płataninę chaszcy i wijących się wąsów różnych zielsk, niejednokrotnie musi odpocząć na ścielącym się pod trawą dywanie z mchu, zważając, aby

278  
kolce jeżyn nie podrapały mu nóg i aby nie odurzył go upojny zapach anyżu. A nad ogrodem, wysoko na niebie, krążą kanie, o skrzydłach podwojonych przez drgające w upale powietrze.

— Aczkolwiek jeśli o to idzie, mamy teraz zimę — zakończył swoją opowieść młodzieniec. — Ale i w zimie bywa tu tak pięknie, jak i latem.

Kroczyli dalej przed siebie, pozostawiając za sobą mgielkę swoich oddechów.

— A to właśnie jest Bordongo — powiedział nagle młody człowiek, kiedy dobiegli na nieznaczne wzniesienie ogrodu, skąd ślady gospodarza wiodły już w dół. Do zupełnie małego, w połowie zamarznętego, w połowie delikatnie parującego oczka stawu, o powierzchni ciemnej od okalających brzeg rozłożystych sosen.

Na jeziorcu o nazwie Bordongo, na ni to tratwie, ni to pomoście, stało coś w rodzaju skleconego z topornych desek, pływającego domku. Prowadząca do niego kładka skrzypnęła i otarła się o lód, kiedy na nią wstąpili.

— Urodziłem się w lutym — powiedział młodzieniec — i jak trzeba, to nawet pod lodem wytrzymam. Jak ryby. Metalowy piecyk w pokoiku całkiem ostygł. Gospodarz zdjął kuczmę i zaczął rozdmuchiwać skryty pod popiołem żar z takim zapalem, że aż mu poczerwieniały policzki. I nie przestał, aż zatliły się i wreszcie zapłonęły nałożone drzazgi.

Łóżko przykryte było tkaniną, a na sznurach rozwieszonych między ścianami suszyły się ubrania właściciela jeziorca, na wieszakach koszule, sprane gatki i pocerowane skarpetki.

279

— Tyle o sobie — gospodarz uniósł wskazujący palec do ust. Nagle, w niezrozumiałej bliskości, rozległ się łoskot przejeżdżającego pociągu, który wjechał na żelazny most. Hałas powoli oddalał się, zostawiając po sobie drzenie wody jeziorca. — I myślę, że pani również lubi przejeżdżające pociągi.

Właściciel jeziorca i domku usiadł koło piecyka na taborecie obciążonym baranim futerkiem i wygodnie wyciągnął przed siebie nogi. Pani Imola przysiadła na przykrytym tkaniną łóżku i popijała miętową herbatę, najlepszą na taką okazję, bo rozgrzewała i chłodziła zarazem.

— I w jaki sposób zamierza się pan do mnie zalecać? — zapytała wreszcie pani Imola.

— Właśnie w taki. Regularnie będę panią odprowadzał stąd do domu — odpowiedział szczerze gospodarz.

W drodze powrotnej pani Imola szła przodem, a w ślad za nią szedł młodzieniec. W taką porę, zimą, dokładnie wi-

dać, jaką drogę wybiera sobie człowiek. Zradza go chmurka oddechu, unosząca się w powietrzu. Jeśli człowiek tylko zechce, łatwo może łykać oddech idącego przed nim. Mogą to czynić zupełnie obcy sobie ludzie, mogą i przyjaciele, mogą również ci, którzy z ukrywanych powodów wybrali ten sposób zbliżenia.

— Spróbuję się panu przeciwstawić — powiedziała pani Imola, kiedy doszli do furki jej domu w krótkiej uliczce. I wskazującym palcem dotknęła nosa właściciela jeziora. — Niech pan nateży wszystkie siły.

— Z całą pewnością się postaram, zapewniam panią — skinął głową młody człowiek.

Przełożył Tadeusz Olszański

#### ZEZNANIE ŚWIADKA

Suchy wiatr przygnał nagle niezwykłą falę upału. Zapewne skądś znad południowych pustyń, gdzie właśnie powstaje takie gorące powietrze. Niebo z nielicznymi chmurami było aż szare od tego upału, a słońce niczym ołowiem prażyło stojące przed hotelem „Corso” tiry z przyczepami. Ogrodnik Lamos, który przybył z pobliskiego miasteczka, choć nie przewidział tego dnia takiej kanikuly, ubrał się lekko. Włożył luźne, bawełniane spodnie w ciemnoniebieskim kolorze, wyszczuplającą, wciętą w pasie marynarkę w kratkę i do tego szeroki, czerwony krawat. Schodząc na dół po hotelowych schodach, sięgnął po papierosa Muratti Ambassador, włożył go w usta, ale zapalić mógł dopiero w cieniu zaparkowanych tirów, które osłaniały też przed dusznym wiatrem. Brzegiem rzeki ruszył w stronę, gdzie domyślał się centrum miasta. Aromat papierosowego dymu szybko się ulatniał i jeśli ktoś podążyłby za Lamosem, czułby jedynie zapach taniego, hotelowego mydła.

Na moście dla pieszych przerzuconym nad rzeką, wzdłuż poręczy, stał tłum przedszkolaków. Trzymali się poręczy, wystawiali głowy przez kraty, rzucali kamyczkami i pluli

na wyschniętą i popękaną skorupę mułu, który pozostał po powodziowej fali oraz na wygrzewające się w słońcu szczury. Gryzonie bowiem znacznie wcześniej wyczuły zbliżający się upał i tłumnie wyległy nad rzekę. Dzieciaki były pilnowane przez dwie przedszkolanki, z równym zainteresowaniem gapiące się na szczury, które od czasu do czasu zrywały się do błyskawicznego sprintu, a potem znów zamierały w bezruchu, by dalej się wygrzewać. Lamos od jednej z wychowawczyń dowiedział się, gdzie też w mieście znajduje się gmach sądu.

W sądzie, na drugim piętrze, Lamos aż do południa przechadzał się przed salą numer sto dwadzieścia cztery. Palił swoje muratti ambasador, aż w pewnym momencie z umieszczonego nad drzwiami głośnika usłyszał, jak zawołano: „Lamos!”.

Lamos wszedł na salę, sędzia przywołał go do siebie,

więc podszedł całkiem blisko aż do barierki przed sędziowskim stołem.

— Lamos? — zapytał sędzia.

— Lamos — odpowiedział Lamos.

— Adalbert i Bela?

— Adalbert Lamos Bela — przedstawił się Lamos zgodnie z urzędowym porządkiem, wymieniając najpierw imię, potem nazwisko i wreszcie drugie imię, które z niewiadomych powodów dopisano w jego papierach na samym końcu.

Po czym złożył przysięgę, że będzie mówił „prawdę, samą prawdę i tylko prawdę”.

Przed Lamosem stało dwóch całkowicie jednakowych ludzi, na pewno bliźniaków jednojajowych. Pytanie

282

brzmiało: którego z nich Lamos zna osobiście? Lamos odpowiedział, że zna ich obu.

Na drugie pytanie natomiast, czy kiedykolwiek spotkał się z nimi jednocześnie, Lamos odpowiedział następująco: tylko osobno się z nimi spotykał, to z jednym, to z drugim, razem nigdy ich nie widział i w ogóle nie wiedział, że jest ich dwóch.

Na te słowa rozległ się w sali śmiech, bliźniacy spojrzeli po sobie, a sędzia powiedział co następuje:

— Dziękuję, świadek może odejść.

Lamos gładził dłonią spodnie, chciał jeszcze dodać jakieś krótkie wyjaśnienie do swojej zwięzłej odpowiedzi, ale sędzia już wskazał na wyjście. Kiedy mijał stolik sekretariatu, siedzący przy nim urzędnik zatrzymał go i poprosił o podpisanie zeznania.

Lamos przeczytał ostatnie pół zdania „nie wiedział, że jest ich dwóch”, podpisał i zmierzał do wyjścia, kiedy ktoś z publiczności głośno powiedział: „Idiota”. Lamos wprawdzie to usłyszał, ale nic go już nie obchodziło. Cieszył się, że jest po wszystkim.

Wyszedł na ulicę i ruszył w stronę hotelu, blisko mostu, gdzie rano spotkał przedszkolaków z dwiema opiekunkami. Na tarasie ogrodzonym bukszpanem, przy kawie, piwie i napojach orzeźwiających odpoczywali ludzie. Lamos zamówił trzy gałki lodów — czekoladowe, waniliowe i pistacjowe — prosząc kelnera, aby podał je na trzech talerzykach, bo nie lubi, gdy mieszają się smaki. Po zjedzeniu lodów wrócił do hotelu. Schował pizamę do nylonowej torby, wsiadł do autobusu i pojechał na dworzec.

283

— No, Adalbert, aleś pan sprytny — poklepał go ktoś nagle po ramieniu, kiedy oczekiwał na peronie na swój pociąg. — Bardzo mądrze się pan zachował, powiedział pan dokładnie to, co należało powiedzieć.

Za Lamosem stał jeden z bliźniaków i uśmiechał się mu prosto w oczy.

— Jest pan racjonalistą.

Spłoszony Lamos pośpiesznie się rozejrzał. Szukał wzrokiem drugiego z bliźniaków, ale w pobliżu nie było nikogo podobnego. W tym momencie przez myśl musiało mu zapewne przemknąć coś takiego, że chyba czort jakiś w tym miesza, bo czyż to możliwe, że z jednego człowieka może być dwóch albo że dwóch ludzi to jeden i ten sam człowiek. Twarz mu zeszywniała i powiedział:

— Nie chcę pana więcej widzieć!

Przełożył Tadeusz Olszański

SPLATA

Pewnego ranka, kiedy Bajko wstał z łóżka, bosą stopą wyczuł ucisk rozsypanych kamyczków. Natychmiast jednak zorientował się, że to nie kamyczki. Cała podłoga zasłana była fasolą. A na podłodze pod półką wysypany cukier i mąka kukurydziana tworzyły białe oraz żółte kopce. Przed drzwiami prowadzącymi na taras brakowało w podłodze kawałka deski. Czerniała za to wygryziona dziura wielkości sporej pięści, a wokół piętrzyły się kupki trocin. Najgorsze jednak było to, że na honorowym stoliczku nie było już ozdoby tego domu — przepięknego, wypchanego głuszca. Tylko trociny, brązowe piórka oraz para szklanych oczu. Tej nocy bowiem przybyły szczuropsy.

Dom Bajko położony był wysoko nad miastem, w głębi ogrodu otoczonego gęstymi krzakami porzeczek. Podwaliny domu ułożono z łupków mikowych, gęsto występujących w tej górzystej okolicy i niejednokrotnie ostro sterzących spod trawy. Ściany stojącej w ogrodzie komórki również umacniały mikowe płyty. To właśnie tu Bajko po raz pierwszy znalazł wykopane w ziemi małe nory. Od czasu do czasu zatykał je błotem lub dla zabawy połamanymi gałęziami.

285

Kiedyś, wczesną wiosną, po opóźnionym, niemniej gęstym opadzie śniegu, Bajko zauważył, że przez gładką, znajdującą się między komórką a domem przestrzeń ciągnie się jakby nawiana nocą przez wiatr fałda. Był to jednak wykopany w świeżym śniegu tunel, upstrzony gdzieś lufcikami, przez które tajemniczy wiertacz, niczym pływak w wodzie, mógł zaczerpnąć tchu. Szybko jednak zaświeciło słońce, śnieg błyskawicznie stopniał i wykopany nocą tunel rozpląnął się bez śladu. A Bajko już o nim zapomniał.

Teraz po kolei zamiótł fasolę, cukier, kukurydzianą kaszkę, trociny, a także piórka zgarnął na łopatę i wyniósł do wykopanej za komórką jamy na śmieci. Potem zszedł w dół, ścieżką wzdłuż parkanów do miasta i nacisnął dzwonek przy żelaznej bramie domu głównego lekarza, doktora Spelunka. Z opuszczoną głową szedł za prowadzącą go białonogą pokojówką. Długo czekał razem z pacjentami, aż doktor Spelunka wyszedł z gabinetu i stanął przed nim z nieukrywaną niecierpliwością.

— Obiecałem coś panu doktorowi — powiedział Bajko.

— Tak, tak, nie zapomniałem. No i co? Gdzie to macie?

— Daję słowo honoru, miałem to, co panu obiecałem, ale niestety, już nie mam.

— Co to znaczy — niestety? Opowiedz no, synu, co się stało?

— Nie ma już głuszca — odpowiedział ze smutkiem Bajko. — Zjadły go szczuropy. Zostały po nim tylko trociny i drogie szklane oczy.

286

Doktor Spelunka rozłożył ręce.

— Szczu-ro-psy? — zapytał i skinął ręką. — To wasz kłopot, Bajko, wyłącznie wasz. A jeśli tak, to proszę zapłacić pieniędzmi. I jak się to mówi: im prędzej, tym lepiej.

— Tak jest — Bajko lekko się zarumienił. Z opuszczoną głową wychodził w ślad za pokojówką. Pokojówka uśmiechnęła się z wyższością, kiedy starał się grzecznie pożegnać. Gdy już niemal zniknął za rogiem, w oknie pojawił się doktor Spelunka i zawołał za nim:

— Powiedz no, synu, co to są te szczuropy?

Bajko zatrzymał się, pomyślał przez chwilę.

— Dokładnie nie wiem — powiedział.

— Ech, i ja nie wiem, co o was myśleć — i doktor Spelunka zamknął okno.

Po południu Bajko wziął się za zbieranie jabłek, układał je w koszykach po dziesięć kilogramów i czekał na Jeno Korbulya, który miał przyjechać swoją furmanką, żeby zabrać towar do piwnicy państwa Nopritzów. Korbuly przyjechał z opóźnieniem, pełną drogą od góry ogrodu, pod sam dom. Nim załadowali jabłka, mały, kudłaty konik skubał ogrodową trawę.

— A co to takiego? — zapytał Jeno Korbuly, kiedy po załadowaniu jabłek odpoczywali przez chwilę na ławce przed domem.

— A niby co takiego miałyby być? — zdziwił się Bajko.

— To jakby jakaś przestraszona matka uciszała popłakujące dziecko. Tu, pod nami — i Korbuly tupnął nogą. — Nie mów mi, Bajko, że nie słyszysz tego.

— Nic nie słyszę, naprawdę — powiedział Bajko.

287

— Polne myszy harczą ci pod domem — powiedział Jeno Korbuly. — I to z tego większego gatunku. Nawet żelazo potrafią przegryźć.

Akurat wtedy Bajko dostrzegł kręcącą się przy wejściu do ogrodu pokojówkę doktora Spelunka. Jej białe, irytujące nogi prześwitywały przez krzaki porzeczek. Bajko już chciał ruszyć naprzeciw, kiedy dysząc od biegu, pojawił się przed nim młody człowiek w krótkich spodniach i w kaszkiecie w kratkę. Biegł chyba na przelaj, bo skarpety miał

pełne nasion trawy i chwastów. Bajko nie znał go. Młody człowiek nawet się nie przedstawił, tylko szybko wyrzucił z siebie: — Pan doktor zawiadamia, że zamiast wypchanego głuszca prosi o dziesięć szczuropsów. Oczywiście tylko o ich skórki. I niech to będzie uczciwa robota, skórki mają być gładkie, bez zadrapań i dziurek. Niech Bajko wie, że najlepiej będzie, jak złapie je własnymi rękami.

Bajko patrzył za nim, jak wraz z pokojówką zeszli w dół po wijącej się ścieżce.

Kiedy Jenó Korbuly odjechał już swoją furmanką i Bajko zaryglował za nim bramę, omijając komórkę, okrężną drogą powrócił przed taras. I wtedy zauważył stojące na dróżce szare zwierzątko. Stało przed nim i ani drgnęło. Miało z półtora kilograma, niczym nieco większy kociak. Bajko rzucił się do przodu, padł na kolana, a prawą ręką trzasnął w szare futerko, przycisnął do ziemi i dusił tak długo, aż poczuł, że znieruchomiało.

Prawa ręka w wielu miejscach krwawiła. Zmył zimną, studzienną wodą zadrapania, posmarował je miodem i owinał chusteczką. Potem na zabandażowaną dłoń wciągnął

288  
uszytą z płótna dwupalczystą rękawicę. Nasypał cukru i kukurydzy wokół wygryzionej w podłodze dziury i wyszedł przed taras. Pochylił się, dłonią w rękawicy chwycił zwierzątko za szyję i rzucił na stojącą na tarasie pustą półkę.

— Jeden — mruknął półgłosem. Usiadł na skraju łóżka przed dziurą w podłodze i czekał, aż zrobi się ciemno. Przełożył Tadeusz Olszański

## SZCZĘŚCIE ORACZA

Gdy Horst Csaba Jekely wsiadał w Sighisoarze do Balt-Orient Ekspresu, nikt, ale to nikt w mieście nie wiedział, dokąd wyjeżdża. Z wyjątkiem kasjera na dworcu, u którego kupił bilet. Nawet najbliższy sąsiad i przyjaciel od serca Mathias Bordon. Nawet on. Jak widać, Horst Csaba Jekely chciał coś zataić nawet przed swoim najserdeczniejszym przyjacielem.

Mathias Bordon przyszedł na świat w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku i wyglądał na całkiem zdrowe dziecko, tyle tylko że urodził się z jednym uchem. Lewego mu brakowało. Był to taki swoisty wybryk natury, tłumaczony przez zakochaną w sobie rodzinę piętnem surowych czasów. Papa Bordon padł bowiem w klasowej walce. Przysypały go kamienie podczas budowy dunajskiego kanału, nic więc dziwnego, że Bordonowa donosiła ciężę w dużym przygnębieniu. Niemniej prawdą jest, że w rodzinie zdarzały się już podobne nieznaczące cielesne uchybienia. I tak Opatrzność w zupełnie innych historycznych uwarunkowaniach obdarzyła żyjącego w Kassel bratanka Maxa Bordona sześcioma palcami u jednej ręki. Słowem,

Mathias Bordon, który właśnie oczekiwał zbliżającego się

291

dnia urodzin, kompletnie nie wiedział, dokąd wybiera się jego serdeczny druh, zresztą nie zdawał sobie sprawy, że on w ogóle gdzieś wyjeżdża.

Horst Csaba Jekely jechał do Weimaru. Kiedy po półtoradniowej podróży wysiadł w Weimarze, natychmiast zaczął studiować wywieszony na peronie rozkład jazdy i niebawem przesiadł się na kursujący między Kolognią i Lipskiem międzynarodowy pośpieszny. Pojechał więc w kierunku, z którego przybył. Stał przy drugim, zgodnie z kierunkiem jazdy, oknie wagonu pierwszej klasy i obserwowal okolice. Patrzył na zbliżające się i oddalające co chwila wzgórza.

Tym samym pociągiem i tym samym wagonem jechał również Max Bordon z Kassel. Kiedy pociąg zbliżał się do miejscowości Apolda, Max Bordon zdjął z półki swoją płaską teczkę-dyplomatkę i wyszedł na korytarz. W okolicach Apoldy wznosił się rząd łagodnych pagórków. Na najwyższym z tych wzgórz, nad całą okolicą królował rzadkiej wielkości wiatrak. Kiedy pociąg znalazł się w jednej linii z wiatrakiem, Max Bordon stanął przy drugim, zgodnie z kierunkiem jazdy, oknie, bezpośrednio koło Horsta Csaby Jekelya. Horst Csaba Jekely wyczekał na moment, kiedy pociąg znalazł się dokładnie na wysokości wiatraka. Rzucił okiem na poruszające się na poręczy okna niczym na fortepianie palce stojącego mężczyzny, błyskawicznie je policzył i dopiero się odezwał:

— To ty, Max?

— To ja — powiedział Max Bordon.

— Dzięki, że przyjechałeś — powiedział Horst Csaba Jekely.

292

— To zrozumiałe, że jestem — powiedział Max Bordon. — Przecież umówiliśmy się. — Wyjął z dyplomarki płaskie, czerwone pudełko i wręczył je Horstowi. — Proszę bardzo, to jest to.

— Takie duże? — zapytał Horst Csaba Jekely.

— Właśnie takie — odpowiedział Max.

— Dzięki — powiedział Horst Csaba Jekely. — To pięknie z twojej strony.

— Ależ to drobiazg — powiedział Max Bordon.

— Jak ci dziękować, jesteś bardzo porządny — powiedział Horst.

— Daj spokój, przecież ci powiedziałem, że to nic wielkiego.

— Jakby nie było, to wielka rzecz. Jednym słowem, dzięki.

— Naprawdę nic wielkiego. I możesz się uspokoić, zaraz wysiadam.

Pociąg zatrzymał się w Neuburgu. Max Bordon wysiadł, aby za kwadrans wsiąść w jadący w przeciwnym kie-

runku pośpieszny Lipsk-Kolonia i szybko wrócić do Kassel. Horst Csaba Jekely przez kilka chwil machał ręką na pożegnanie, a potem znalazł pusty przedział i usiadł. Położył na kolanach gładkie, czerwone pudełko, otworzył je i zaczął się wpatrywać w to, co było w środku.

W pudełku, na aksamitnej, kremowej podkładce spoczywały dwa samoprzylepne ucha. Dwa sztuczne ucha na prawą stronę. Jedno zwyczajne, w normalnym kolorze, drugie bardziej czerwone, na mroźną zimę.

Było to przepiękne dzieło, co Horst Csaba Jekely, jako serdeczny przyjaciel i najbliższy sąsiad, mógł na pierwszy

293  
rzut oka z całym spokojem stwierdzić. Mimo to nagle wstał, otworzył gwałtownie okno, zamknął pudełko i wyrzucił na ławkę.

Dobrze znał przecież swego najlepszego przyjaciela Mathiasa Bordona. Jeden rzut oka wystarczył, aby stwierdzić, że doszło do fatalnego nieporozumienia i potwornego błędu w toku wielokrotnej i tajemnej wymiany informacji, kiedy przekazywał do rfn wymiary brakującego ucha i w skomplikowanych okolicznościach zamówił u majątnego bratanka Mathiasa odpowiednią atrapę. Otóż mimo tych wszystkich starań były to uszy na prawą stronę. A Mathias nie miał lewego ucha. Niech zatem wie o całej sprawie, kto chce, byle tylko Mathias Bordon o tym się nie dowiedział.

Horst Csaba Jekely z rozpaczą wpatrywał się w mijający krajobraz, nad którym powoli zapadał już zmrok. Z gorączką rozpamiętywał całą swoją ostrożność, trapiące go lęki oraz ogrom zbędnych, jak się okazało, przygotowań do tej podróży. Bo raczej należało telefonicznie wszystko omówić z Maxem Bordonem, niezależnie od tego, ile by to kosztowało. Tyle tylko, że Horst Csaba Jekely miał w pełni uzasadnione obawy. Musiał się liczyć z tym, że w jakimś momencie mogą go zapytać, o co mu chodziło, kiedy zamawiał jedno, względnie parę uszu albo co się w gruncie rzeczy kryło pod tymi zamawianymi w Zachodnich Niemczech uszami? A jeśli powie prawdę, i tak mu przecież nie uwierzą. Słowem, okropne, no i przede wszystkim smutne, że przyjechał tu właściwie po wielkie nic. Po niewłaściwe uszy i teraz przez dwa lata nie dostanie paszportu.

294

Kiedy tak w kompletnej ciszy obarczał się winą za to, co się stało, nagle w głębi duszy poczuł lekkie zadowolenie. Tak, jutro rano na ławce pojawi się zapewne pracowity oracz. Zobaczy w trawie czerwone pudełko. Rozbłyszczą mu oczy, wstrzyma oddech. Schyli się, podniesie i... otworzy.

Przełożył Tadeusz Olszański

PEDZIOKOT

W pobliżu skleconej byle jak smażalni ryb wylegiwało się na piasku dwóch młodzieńców. Nie ulega wątpliwości, że

mimo młodego wieku byli menelami. Nocna rosa i upalne słońce do cna wygniotło ich całkowicie spłowiałe dzinsy i bluzy. Już drugi dzień leżeli w piachu obok smaźalni i gapili się na morze. Z niezwykłym, uporczywym zapamiętaniem świadczącym o urzeczeniu bliskością widzianej po raz pierwszy wielkiej wody. Bardzo rzadko któryś z nich się podnosił i przygarbiony, na bosaka człapał do pobliskiego krzaka, niedbale sikał, a kiedy gmerał przy rozporku, ze zmierzwionych, nieuczesanych włosów sypał mu się piach na rękę. Chrupali wyrzucane z budki smażone rybie płetwy i pili wodę z pobliskiej fontanny. Chodzili tam, gdy byli spragnieni, na klęczkach obejmowali krawędź obramowania fontanny, zanurzali twarz w wodzie, nasycali jak gąbki, by wrócić potem na swoje miejsca i zwalić się na piach.

Rankiem trzeciego dnia pojawiła się przed nimi Miśka. Miśka, a właściwie Misiek, była szeroką w ramionach dziewczyną o krótkich włosach. Miała pokrytą delikatnym meshkiem skórę. Nosila białe spodnie i koszulkę w marynarskie, 297

niebieskie paski. Miała płaskie piersi i umięśnioną szyję. Przykucnęła przed menelami i zaczęła się w nich wpatrywać. Oni natomiast patrzyli ciągle na morze, jakby nie byli w stanie oderwać oczu od magicznej linii styku wody z niebem.

— Ruszcie się wreszcie — zaczepiła ich dziewczyna. — Wezmę łajbę i powiosłujemy trochę.

Uważała, aby mówić do nich przez „wy”, i poinformowała ich, że właściwie pracuje w smaźalni, koło której się wylegają. Właśnie ma udać się po ryby na półwysep. Przenocowaliby tam w rozlatującej się chałupie pewnej wdowy, a ranem przyholowaliby do portu pełną ryb barękę. I co oni na to?

Chłopcy nawet nie spojrzeli na siebie i w dalszym ciągu gapili się na horyzont ponad ramionami Miśki.

— Pokaż no ten okręt, to zobaczymy.

Wyłynęli na zatokę grubo ciosaną łodzią na dwie pary wiosł, z niezdarnie wymalowanym na dziobie napisem: „Lily”. Menele wiosłowali, natomiast dziewczyna zwana Miśką usadowiła się na rufie, przy sterze, z butelką bommerlundera w ręku.

Wyłynęli na pełne morze od strony Jasmunder Bodden. Zaplanowali, że kiedy znajdą się na wysokości południowej mierzei półwyspu Bug, wezmą kurs na Dranske. Tam miała czekać na nich wdowa i pełna ryb barka, którą mieli przyholować do smaźalni. Morze było spokojne, ale mimo to płynęli dość wolno i niepewnie. Lily była wysłużoną łajbą, a jej spróchniałe klepki oblepione były muszlami.

— Podobacie mi się — powiedziała nieoczekiwanie Miśka, siłując się z zakrętką bommerlundera.

298

— Ja?

— Czy też ja?

— Poczekajcie do wieczora, to się wtedy okaże.

Tęgo popijali bommerlundera i pstrykali petami w krążące nad nimi mewy. Było ospałe popołudnie, od bladych chmur morze przybrało kolor zupy i tylko za rufą ciągnął się zielony kilwater z szampańsko spienionym brzeżkiem.

— Już szósta — powiedziała w pewnym momencie Miśka. — I co powiecie?

Właśnie dopłynęli w pobliże półwyspu Bug. Był to cieniutki pas ziemi bez jakiegokolwiek sensu wchodzący płasko w głąb morza. Tylko latem tu mieszkano. Piaszczysty grunt pokrywały gdzieniegdzie czarne zarośla, a wzdłuż brzegu spacerowały ptaki.

— Bez żartów, naprawdę mi się podobacie — powtórzyła Miśka. — A co myślicie o mnie, jestem dziewczyną czy chłopcem?

— Wszystko jedno.

— No to mam nadzieję, że udowodnicie, co potraficie.

Na południe od końca półwyspu, w pewnym miejscu spokojnego morza, burzył się nagle grzywiasty pas. Jakby gotowała się tam od czegoś woda. Miśka siedziała zgodnie z kierunkiem jazdy, ona to pierwsza zauważyła i powiedziała chłopcom, aby wzięli kurs na ten punkt.

Dopiero z bliska było widać, że falowanie w tym miejscu wywołuje piaszczysta, płytka łacha. Niewielka zresztą i gdyby nie białe spienienie, pozostałaby niezauważalna.

Wąska mierzeja w kształcie łuski ciągnęła się pod powierzchnią niczym nieruchomy rybi grzbiet. Jeden z meneli

299

natychmiast odłożył wiosła, w butach wskoczył do morza i w sięgających kolan spienionych falach przebiegł przez całą wąską łachę. Wesoło wymachiwał rękoma. Brodził w morzu, szczęśliwy, że ma ład pod stopami.

— Ja to odkryłem — wołał — to moje miejsce. — Wyciągnął przed siebie ręce, machnął kozła i przeszedł na rękach przez całą łachę. Wprawdzie fale obmywały mu co chwila twarz, ale w niczym mu to nie przeszkadzało i raz za razem wesoło pokrzykiwał: — Chodzę po wodzie, chodzę po wodzie! Widzicie!

— Dobrze się czujecie? — zawołała Miśka.

— A nie widzisz? — chłopiec opadł na płyciźnie na czworaka i pokazał język.

— No to pa! Do zobaczenia — Miśka przesiadła się do wiosel i dwoma pociągnięciami obróciła łódź. Potem odpięła przymocowaną do dziobu lampę i pomachała nią.

— Wyłów ją. I machaj, jak robi się ciemno.

Rzuciła lampę menelowi i zaczęła energicznie wiosłować. Naprężyła ramiona i łódź natychmiast ruszyła. Drugi menel również sięgnął po wiosła. A ten, którego zostawili

na mierzei, szybko zmalął do wielkości wbitego w dno palika.

— Naprawdę go tam zostawimy? — zapytał menel, który pozostał w łódce.

— Naprawdę.

Wzięli kurs na Dranske. Była to osada, jedyne miejsce na półwyspie, gdzie można było spotkać ludzi. Miśka od czasu do czasu odwracała głowę, aby sprawdzić, czy płyną we właściwym kierunku.

300

— Szkoda, że siedzę tyłem — zaznaczała w takich momentach — ale i tak dobrze, jak trochę mnie widzicie.

Menel pociągnął z butelki bommerlundera.

— Pewnie, że dobrze — powiedział i przeciągle beknął.

— Zdecydowałam — powiedziała Miśka. — To was wybrałam.

— Domyślam się — odpowiedział chłopiec.

Miśka odwróciła się bokiem do menela.

— Wiesz co, teraz mogę ci już powiedzieć, wcale nie smażę ryb w tej budzie.

— Wiem — odpowiedział menel. — Nie pachniesz olejem, absolutnie.

— Wąchałeś mnie?

— Powąchałem.

— No i co, jaki mam zapach?

— Pachniesz jak pedziokot.

Zmierzchało już, kiedy dopłynęli do brzegu. Nad przybrzeżnymi zaroślami widać było skrzydła wiatraka i kilka budynków z czerwonej cegły, z grubymi przeżartymi przez szkwały ścianami. Wyciągnęli łódź na brzeg w pobliżu tych zabudowań. Na brzegu, w piasku, przymocowane były łańcuchami do pali jeszcze dwie łodzie.

— Czy to Dranske? — krzyknęła Miśka w kierunku wiatraka.

— A niby dlaczego miałyby to być Dranske? — mruknął ktoś w odpowiedzi.

— Pomyliłam się — powiedziała Miśka. — To nie Dranske, to coś innego.

Istotnie, nie było to Dranske, tylko wiatrak oraz dwa budynki z grubymi, zwietrzałymi ścianami. Miśka

301

i menel przeszli pomostem i zajrzeli przez okienko do pomalowanej na biało budy. Drzwi były zamknięte.

— Niestety, zamknięte — powiedziała Miśka — ale zaraz wykombinuję jakiś klucz. I powiem facetowi, który ma motorówkę, aby zdjął łańcuchy z tego brudasa i zawiózł go dokądś. Czyż to nie brudny menel?

— Byleby go jeszcze znalazł — odpowiedział chłopiec.

— Tego już nie mogę wiedzieć.

Robiło się ciemno, przez chmury przedostawało się jeszcze trochę światła. Menel usiadł na kei i zwiesił nogi nad wodą. Wpatrywał się w tę stronę, gdzie zostawili drugiego

menela, szukał migocącego światła. Ale mierzeja musiała być dość daleko. Było już całkiem ciemno, kiedy z pobliza wyruszyła w morze motorówka. Przepłynęła szybko, zostawiając za sobą spieniony, biały warkocz. To na pewno ta motorówka, o której mówiła Miśka, przemknęło przez myśl menelowi. Może i ona tam popłynęła, aby znaleźć pozostawionego w morzu kumpla.

Ale Miśka nie popłynęła na motorówce i skradała się właśnie na palcach po kei. Objęła menela i przewróciła go na deski pomostu.

— To tylko ja — szepnęła.

— Wiem. Poznałem cię po zapachu.

— Nie boisz się?

— Nie boję się pedziokotów.

— To chodź. Mam klucz w kieszeni.

Keja nie była oświetlona. A i morze nie połyskiwało.

Tylko w jednym miejscu jakby poblaskiem miedzi odbijało się światło w oknie wiatraka. W tej poświacie widać też było kołyszącą się, przycumowaną pustą łódź. Na jej

302

dziobie niezdarne, białe litery informowały, że to Lily. Dwie pozostałe łodzie, przymocowane łańcuchami do pacholek, też unosiły się na wodzie. — Co u diabła? — pomyślał menel. — Woda się podniosła, ale numer.

— Chodź już — zawołała z budy Miśka, zwana teraz pedziokotem. — Bo mi się jeszcze przeziębisz.

Przełożył Tadeusz Olszański

#### WIECZOREM, W PORCIE

Doktor Menyhert, jeśli o tytuł chodzi obojętne lekarz, czy też doktor praw, w każdym przypadku natomiast istotne jest to, że pełnił służbę na statku żeglugi rzecznej. Ujawniając zaraz na wstępie nazwisko naszego bohatera, uprzedziliśmy wprawdzie nieco wydarzenia, niemniej pod koniec tej opowieści i tak zostanie przecież ustalone, o kim jest mowa.

Statek kwadrans po szesnastej dobił do przystani. Doktor Menyhert natomiast punktualnie kwadrans po dziewiętnastej zszedł z pokładu, niosąc uszytą z niebieskiego dzinsu pustą torbę. Z gołą głową, z podniesionym kołnierzem, nieco przygarbiony ruszył wzdłuż portowego nabrzeża, unikając w miarę możliwości siąpiącego nieustannie deszczu. Nawet wąsy i brwi nie chroniły od przesyconego wilgocią morskiego powietrza, które wdzierało się człowiekowi za kołnierz i przenikało aż do skóry. Nic dziwnego przeto, że nabrzeże było absolutnie puste. Jak się wkrótce okazało, doktor Menyhert wcale nie poszedł na spacer, bo ledwo oddalił się od morza, a już wkroczył do jednego ze sklepów.

Słabo oświetlona wystawa sklepu niezbitnie wskazywała, że sprzedają tu w różnych kolorach i wymiarach

305

czapki. W całym rzędzie usytuowanych wzdłuż portu

sklepów tylko ta jedna wystawa była oświetlona. Naprzeciw połyskiwały ciemne, mokre szyby gospody i zarazem cieszącego się dobrą sławą wyszynku „Pod słoneczkiem”. Wejście było zamknięte na kłódkę z szerokim, żeliwnym skoblem, a spływające z rynny krople wody wyżłobiły w płytach chodnika przed lokalem zupełnie pokaźne wgłębienia.

Doktor Menyhert szybko opuścił sklep z czapkami, a gdy zamknął za sobą drzwi, zgasło światło, jak gdyby tylko na niego czekano. Powoli przeszedł przez wąską jezdnię, zatrzymał się na skraju kałuży i zajrzał przez jedną z szyb wyszynku. Przyglądał się własnemu odbiciu w ciemnej szybie karczmy. W lewej ręce trzymał dżinsową torbę wypełnioną teraz puszkami chińskich konserw z zielonym groszkiem. Prawą ręką poprawiał osłaniający mu brwi daszek czapki, którą przed chwilą sobie kupił. Była to czarna, marynarska czapka z daszkiem, taka jaką noszą cywile od Lubeki po Puck, a także ci wszyscy z głębi łądu, którzy z niewiadomych przyczyn odczuwają pokrewieństwo z morzem. Sprzed zamkniętych drzwi gospody doktor Menyhert swobodnym już krokiem zawrócił w stronę portu. Zatrzymał się pod chroniącym od nieustannie siąpiącego deszczu krytym korytarzem, łączącym kasę biletową z portowym budynkiem obsługi podróżnych. W jednym z okienek sprzedawano bilety na ostatni, wieczorny rejs na wyspę, w drugim natomiast nadające się na upominek buteleczki z pięćdziesiątką wódki oraz piwo i kiełbaski z musztardą. Doktor Menyhert zamówił kiełbasę i pogryzając ją, nie wypuszczał z lewej ręki dżinsowej torby.

306

Na pierwszym piętrze pobliskiego domu, w dużym oknie z białymi ramami, opierając się o parapet, wyglądała kobieta o rudych, kręconych włosach. Za jej plecami powiewała niebieskawa zasłona, a ilekroć zapalone w pokoju światło przebijało przez tkaninę, tylekroć rudym płomieniem jarzyły się kobiecie włosy. Doktor Menyhert z pełną gębą i z niejakim rozbawieniem wpatrywał się w to właśnie okno.

Innego widoku raczej nie było. Psa się w taką pogodę na dwór nie wypędza. Żywy duch nie przemykał więc pod okapami, nikt nie krył się pod wilgotnymi sklepieniami bram i tylko porywy wiatru zamiatały bruk falami deszczu. Kiedy doktor Menyhert dojadł wreszcie swoją kiełbasę, zarówno w kasie, jak i w barku w poczekalni zamknięto okienka.

Zza rogu nieoczekiwanie wytoczył się zupełnie pusty tramwaj. w kolorze kości słoniowej i przejechał wzdłuż nadbrzeża. Raczej trudno wyobrazić sobie podobieństwo między przejeżdżającym tramwajem a zwyczajnym kundlem, a jednak w ten deszczowy wieczór smętny wagon tramwajowy na wyludnionej całkowicie ulicy kojarzył się z przemykającym chyłkiem przysłowiowym psem z ku-

lawą nogą, który zostawia po sobie jedynie smugę żalu. I zapewne uczucie tego smutku zaciążyło na sercu doktora Menyherta, ponieważ kiedy tylko ucichł stukot oddalającego się tramwaju, ruszył on z pochyloną nisko głową w kierunku portowego wybrzeża.

Zbliżał się właśnie do zakotwiczonego parowca o nazwie „Fritz Wickert”, kiedy nagle ktoś z tyłu głośno go zagadnął:

307

— Doktor Menyhert?

Doktor Menyhert odwrócił się i odrzekł:

— Słucham!

Z czego niezbitnie wynikało, że to właśnie on jest doktorem Menyhertem.

Naprzeciw niego stało dwóch mężczyzn. Jednym ruchem ujęli go pod pachy, przenieśli nad chlupoczącą o burtę „Fritza Wickerta” ciemną wodę i po prostu wrzucili do morza. Doktor Menyhert zanurzył się z głośnym pluskiem, ale nim jeszcze opadła piana wywołana jego wrzuceniem, wynurzył się wręcz błyskawicznie i dziarskimi pociągnięciami ramion popłynął w kierunku trapu parowca. Wieczór był chłodny, to pewne, więc doktor się śpieszył.

Na głowie nie miał już czapki, w ręku nie trzymał dzinsowej torby z puszkami konserw z zielonym groszkiem. Jak z tego wynika, zupełnie niepotrzebnie poczynił owe zakupy.

Ku największemu zdziwieniu w tym miejscu kończy się nasza opowieść. W gruncie rzeczy nie jesteśmy w stanie zrozumieć, co się też wydarzyło. Zapewne doktor Menyhert oraz dwóch obcych mężczyzn mogliby o tej sprawie więcej powiedzieć, ale ci dwaj, którzy wrzucili go brutalnie do morza, natychmiast zniknęli. Wyjaśnienie zapewne tkwi gdzieś w głębi sklepu z czapkami, względnie w postaci zwykłych puszek z zielonym groszkiem, które niczym wieczna tajemnica, spoczęły na dnie morza.

Przełożył Tadeusz Olszański

#### Z POWROTEM DO USZATEJ SOWY

W pierwszych dniach listopada zmarł Adam Selim. Może i lepiej, że tak się stało, ponieważ ostatnio całkiem poważnie zanosilo się na to, że już więcej nie będziemy chodzić do uszatej sowy. Ale Adam Selim zmarł i z tego powodu nieco zmieniło się nasze życie. Właściwie to ja zajmowałem się Adamem Selimem, miałem go na oku, czasem z nim rozmawiałem — słowem, mnie go powierzono. A jednak zmarł. Spłonął. W kieszeni eksplodowała mu zapalniczka.

Nie do końca było wiadome, kim on właściwie jest; krążyła opinia, że należy do Szarych Wilków, inni natomiast twierdzili, iż wręcz odwrotnie, przeciwko nim pracuje.

Jaka nie byłaby prawda, jedno było pewne — starości nie dożyje.

Uszata sowa mieszkała na niewielkim wzgórzu Magura.

Wzgórze, w kształcie łagodnego kopca, porośnięte było wysokopiennym lasem. Całymi dniami, ślepiąc jednym okiem, sowa tkwiła w tym samym miejscu obok opuszczonego gniazda jakiegoś innego ptaka. I codziennie, aż do zmierzchu, można było ją odwiedzać. Godzinami można było przesiadywać w ciszy, w pobliżu drzewa, na którym

309  
siedziała sowa, a ptaszysko ani drgnęło. Odlatywała tylko wtedy, gdy ktoś brutalnie zakłócił jej spokój. Razem ze swoim pasierbem, który przejściowo nosił jeszcze nazwisko Doktora Seniora, chodziliśmy oglądać uszată sowę. Patrzyliśmy przez jakiś czas na mrugające jednym okiem ptaszysko, po czym wracaliśmy do domu. Zależało mi, aby dzieciak jak najszybciej nawiązał kontakt ze zwierzętami i przyrodą. A pokryta lasem Magura znajdowała się blisko miasta.

Na kilka dni przed śmiercią Adama Selima Doktor Senior dość niechętnie kuśtykał moim tropem przez las, czasem zawracał, obojętnie zahaczał o konary, potykał się o gałęzie. Zdawałem sobie sprawę, że to oznaki znudzenia. W pobliżu drzewa z uszată sową usiadł na pniu i nie unosząc głowy, rozdeptywał na miazgę wystające z mchu czarne grzyby. Pomyślałem, że dzieciaka chyba już nie interesują ptaki i w ogóle zwierzyna, a raczej ludzie. I miałem rację. Doktor Senior zdradził mi bowiem w domu, że wolałby chodzić na granicę razem z chłopakami, bo jak słyszał, można tam zobaczyć ważącego sześćset kilogramów człowieka, a nawet go dotknąć, tak jak to robią inne dzieciaki.

Mruknałem coś pod nosem, że nie należy dotykać ludzi i że lepiej będzie, jak najpierw ja obejrzę sobie to zjawisko i jeśli nie zobaczę jakiegoś świństwa, to ewentualnie i jemu pozwolę pójść z kolegami na granicę. Łatwo było mi to powiedzieć, bo akurat dostałem polecenie: pojechać we wtorek na granicę, poniuchać, uważnie rozejrzeć się, co też tam się dzieje. W każdy wtorek przekracza granicę ważący sześćset kilogramów mężczyzna, kierowca pewnego tira, chyba nie wszystko wokół niego jest w porządku.

310

Owego wtorkowego dnia razem z moim pasierbem wyruszyliśmy więc z domu na granicę. Dzieciak szykował się do fryzjera, ja na przejście graniczne, a zatem przynajmniej do głównej ulicy nazywanej bulwarem wiodła nas wspólna droga.

I tam spotkaliśmy się z Adamem Selimem. Stał na krawężniku, pod elektrycznym zegarem wskazującym punktualnie czas, jakby czekał na tramwaj i czytał gazetę. Być może potrafił spojrzeć przez papier, bo gdy tylko zrównaliśmy się z nim, uchylił gazetę i zaczął się w nas wpatrywać.

— Dzień dobry, Adamie — pozdrowiłem go. — Co słychać?

— Dziwne — odpowiedział. — Znów się spotykamy.

— Zupełnie przypadkiem — odrzekłem i wzruszyłem

ramionami. — Akurat tędy przechodzimy. Ale poważnie: jak pan się czuje? Już się pan chyba przyzwyczyił do naszego kraju?

— Na to wygląda, ale niewykluczone, że przeniosę się w głąb kraju, powiedzmy, do Braszowa.

— Serdecznie gratuluję.

— Jeśli tylko coś nie stanie mi na przeszkodzie — kontynuował Selim. Wyjął papierosy, sięgnął do kieszeni spodni po potężną czarną zapalniczkę Ronsona i zapalił. — Poznałem pewną kobietę. Mam z nią randkę o pierwszej.

— Miło mi — zauważyłem. — Niech pan jednak będzie ostrożny. Jest pan obcy i jeszcze ktoś zechce to wykorzystać. Czy ja wiem...

— O, raczej nie — skinął ręką. — Na pewno pan ją zna. Nazywa się Paula Brekk. Może coś pan o niej wie?

— Nie znam jej, więc nic nie wiem.

311

— Jakże nie. Paula Brekk, taka ruda. Niech pan coś o niej powie.

— Nawet teraz nie wiem, o kogo chodzi. Nie znam jej.

— To coś zaproponuję — Adam Selim spojrzał na zegarek, a potem na elektryczny zegar. — Jeśli ma pan chwilę, to ją panu pokażę. Może jednak pan ją zna — rzucił ledwo zapalonego papierosa obok krawężnika. — Ta kobieta po prostu mi się podoba. Dość długo wydawało mi się, że jestem pederastą. Ale prawda jest taka, że i mężczyźni mnie nie interesowali.

Kiedy tak się tłumaczył, na opuszkach jego palców i na paznokciach zauważyłem białe kropki, jakby delikatniejszy nawet od mąki osad na skórze.

— Obliz pan wcześniej palce — powiedziałem do niego — chyba cukier masz pan w kieszeni. Albo — nie chciałbym pana urazić — jakiś inny biały proszek.

Adam Selim uniósł dłoń, przyjrzał się pakom i uśmiechnął się. — Och, nieszczęsna zapalniczka, przepuszcza przy każdym zapaleniu. Prawdziwy Ronson, a jednak kapie. — Wyjął z kieszeni zapalniczkę, nacisnął i pokazał, jak ulatnia się gaz i bieleją mu palce. Potem zrobił krok w kierunku kosza na śmieci i wyrzucił zapalniczkę.

— Niech się pan tak nie gapi. Dziś dostanę nową.

Ruszyliśmy w drogę. Mój pasierb, Doktor Senior, szedł za nami, niosąc mój parasol i stukając nim po asfalcie.

— Pan wkrótce będzie moim cieniem — odezwał się cicho Adam Selim.

— Ale to pan mnie wzywał, no nie?

Ulica Kismester odchodziła od bulwaru, obejmowała kilka budynków i powracała do głównej arterii. Gdzieś

312

w pół drogi znajdował się skład fortepianów firmy Triska i zatrzymaliśmy się przed nim.

— Był pan już w tym składzie? — zapytał Adam Selim.

— Nie byłem — odpowiedziałem. — Od dziecka boję

się wielkich, czarnych fortepianów.

— Zajrzyj no pan przez okno, obok zasłony.

Po lewej stronie ciemnego pomieszczenia, na stojącym tam biurku znajdował się ogrzewacz i lampa z zielonym kloszem. A między nimi Paula Brekk, z jednym policzkiem nagrzanym do czerwoności, a drugim, co zrozumiałe, bladym niczym kawałek mydła do prania.

— Słowem, nie zna pan jej?

— Nie. Czy to ta kobieta, o której pan mówił?

— Tak. Zgodziła się, żebym się z nią dziś w południe spotkał. Pewnie się jej spodobałem.

— To chyba dobrze, kiedy człowiek dochodzi do przekonania, że nie jest pedałem — powiedziałem.

Pozegnaliśmy się na rogu. Adam Selim powoli ruszył w stronę tramwajowego przystanku, a ja odprowadziłem pasierba do Floxa, gdzie jak mówią, pracują najlepsi fryzjerzy. — Przygrzej sobie w domu zupeę, zjedz, a potem i ja przyjdę. Bądź grzeczny — powiedziałem do Doktora Seniora.

Od razu wróciłem do składu fortepianów Triska. Paula Brekk z na pół czerwoną, na pół bladą twarzą siedziała za swoim biurkiem. Podszedłem do niej i czekałem, aż zwróci na mnie uwagę.

— Słyszałem, że przyjaźnisz się z Turkami — powiedziałem. — Czy nie tak?

— A co ci do tego?

313

— To Adam Selim.

— Wiem.

— Uganiaasz się za nim?

— A co ci do tego?

— Bądź tak uprzejma i uważaj na siebie. Patrz mu na ręce.

— O rany, ale z ciebie palant — westchnęła Paula Brekk. — A dajże mi święty spokój.

W kwadrans później wsiałem do autobusu numer dwadzieścia dwa, dojeżdżającego do granicy, którą miał dziś przekroczyć Mustafa Mukkerman. Tak nazywał się ów kierowca tira. Jego ojciec był zachodnim Niemcem, matka Turczynką, gasarbeiterką, on sam miał dwadzieścia sześć lat i ważył sześćset dwa kilogramy. Opowiadają, że to jedna kolosalna góra mięcha, która bez pomocy nie jest w stanie wygramolić się z szoferki. Specjalnie zamontowane urządzenie wyjmuje go razem z siedzeniem z szoferki i niczym winda opuszcza obok samochodu na ziemię. Kiedy ma lepszy dzień, podnosi się ze swego fotela, pokazuje się, a nawet rozbiera i proponuje gapiom, aby znaleźli jakąś część jego ciała, dajmy na to, kolano czy łopatkę. Dzieciaki tylko na to czyhają, włożą między zwisające zwały tłuszczu, szukają jak oszalałe i wykrzykują: „Jest, znalazłem!”. Mustafa Mukkerman otrząsa się tylko i mówi: „To nie to!”. W końcu kiedy go ta zabawa zmęczy, wyciąga spod siedzenia jakąś przemyconą nagrodę

i losuje zwycięzcę. Dostawały więc tu dzieciaki żywego węgorka, orzech kokosowy, a nawet jakieś zwierzęce szczęki. Autobus zatrzymuje się na skraju przygranicznej strefy, dwieście metrów od parkingu, na który po odprawie wjeżdża swoim tirem Mustafa Mukkerman. W padającym

314  
rzadkim deszczyku wokół parkingu zgromadził się już spory tłum, a w nim dużo dzieciaków. W barku na stojaka poprosiłem o herbatę i przez okno wyglądałem na plac. Wśród oczekujących spacerowało dwóch policjantów. Aż trzy autobusy zdążyły zawrócić do miasta, nim wokół parkingu zaczęło się wreszcie coś dziać. Otworzyłem parasol i wyszedłem na plac. Od strony szlabanu na długich światłach nadjeżdżał, w zamieniającym się w śnieg deszczu, olbrzymi tir. Powoli wtoczył się na parking i na znak przybycia trzykrotnie zatrąbił. Przednia szyba i boczne okna kabiny szofera wykonane były z ciemnozielonego, odbłaskowego szkła i nie można było przez nie zajrzeć do środka. Widać było tylko zarys kołyszącej się wewnątrz ciemnej miednicy. Ktoś tłumaczył, że to okrągła czapka kierowcy. Wszyscy czekali, kiedy wreszcie otworzą się drzwiczki i zacznie działać mechanizm, który opuści kierowcę wraz z fotelem obok samochodu na ziemię.

Minął z górą kwadrans, aż wreszcie rozległo się chrapiawe chrząkanie, ale bynajmniej nie przez opuszczone boczne okienko, lecz z umieszczonego na dachu głośnika. W rozwlekły sposób, mocno łamiąc język, jakby wyuczonym tekstem odezwał się kierowca: „Przyjechał Mustafa Mukkerman. Mustafa Mukkerman jest dziś bardzo smutny i nie chce was widzieć”.

Wspinając się na palce, jeden przez drugiego usiłowaliśmy zobaczyć cokolwiek w kabinie. Ale w środku nic się nie ruszało. Tylko megafon mówił swoje: „Mówi do was Mustafa Mukkerman. On nie boi się deszczu, nie boi się zimna. Mustafa Mukkerman nie chce was dzisiaj widzieć. Prosi, abyście poszli do domu”.

315  
— Proszę się rozejść — zwrócili się do widzów policjanci. — Nie przeszkadzajcie zagranicznemu obywatelowi. Jeśli sobie tego życzy, to idźcie do domu.

Nikt jednak nie zareagował na wezwanie. Ludzie czekali, że jednak coś się stanie. Jakaś kobieta podeszła w pobliże szoferki i zaczęła podskakiwać, tak aby ją zauważył kierowca. „Haschen — krzyczała — Haschen, ich bin es”. Ale nawet ta kobieta nie zainteresowała kierowcy.

„Mustafa Mukkerman jest dziś bardzo smutny. Mustafa Mukkerman schudł. Nie chce, abyście się z niego wyśmiewali. Idźcie do domu. Wynoście się stąd. Skurwysyny!”. Na to już wszyscy się obruszyli i wykrzykując „pfuj” oraz klnąc pod nosem, udali się w kierunku przystanku autobusowego. Obaj policjanci z uśmiechem obserwowali, jak całe zbiegowisko w końcu się rozeszło. Stojąc pod paraso-

lem, przyłgnałem do pnia jednego z drzew i czekałem, aż plac całkiem opustoszeje.

Kiedy już nikogo nie było, spostrzegłem, że od przystanku autobusowego ktoś samotnie zbliża się do tira. Zatrzymał się przed szoferką i zaczekał, aż Mustafa Mukkerman opuści szybę bocznego okienka. Był to Adam Selim.

Mustafa Mukkerman wyciągnął ramię przez okienko.

Rzeczywiście, wielkości prosiaka! Na dłoni podał Selimowi błyszczący przedmiot: nową zapalniczkę. Można było to wyraźnie zauważyć, bo Adam Selim na miejscu ją sprawdził. Podkrecał i opuszczał płomień, po czym zgasił i schował do kieszeni. Skinął głową na pożegnanie i oddalił się w kierunku przystanku.

Mustafa Mukkerman zapalił silnik i skręcając kierownicę mocno w prawo, cofnął tira, jak tylko można było, aż  
316

do zarośniętego skraju parkingu. Dziwne, że nie ruszył jak zwykle prosto w stronę miasta, tylko odbijał to wprzód, to w tył, aż całkiem zawrócił swój pojazd. Nacisnął na pedał gazu i ruszył z powrotem w kierunku szlabanu. Słowem, natychmiast wraca — pomyślałem. — Tym lepiej.

Wysiadłem z autobusu już na przedmieściu, w pobliżu restauracji „Dumbraya”. Od razu udałem się na zaplecze, do kuchni, i stanąłem obok Ankucy Moldovan. To ona była matką Doktora Seniora.

— Chodź na chwilę — powiedziałem.

— Czego chcesz?

— Chodź no. — Odczekałem, aż wytrze ręce i ruszyłem przodem. Przeszliśmy przez restauracyjne podwórze, wzdłuż ogrodu aż do potoku, a tam przez kładkę do drugiego ogrodu, do domku, w którym mieszkała Ankuca Moldovan.

— Czego chcesz? — zapytała ponownie, widząc, że zdejmuję marynarkę, rozluźniam krawat i wygodnie rozsiadam się na jednym z foteli.

— Wychowuję twojego syna — powiedziałem. — A ty mi nawet nie przysyłasz alimentów. — Obie dłonie położyłem na jej biodrach, wskazującymi palcami rozpiąłem kuchenny fartuch na wysokości jej brzucha i dotknąłem nosem nagiego ciała.

— Sam powiedziałeś, żeby nie przysyłać.

— No więc nie przysyłasz. Ale ja jestem pobłażliwy.

Tylko dlatego, że cię bardzo lubię.

— To zabierz mnie z powrotem do siebie.

— Owszem — powiedziałem. — Tyle tylko że to nie wchodzi w rachubę. Rzuciłoby to na mnie złe światło.

317

Gdybym nadal pracował w leśnictwie, to nie byłoby sprawy.

Ale tak? No chodź, przecież wiesz, że cię miłuję.

Możliwe, że trochę zasnęłam, bo była za pięć pierwsza, kiedy wyskoczyłem z łóżka od Ankucy Moldovan. Zostało mi pięć minut, aby dotrzeć w poblizkość fortepia-

nów.

— A gdzie teraz pędzisz? — zapytała Ankuca Moldovan.

— Jestem na służbie — odparłem. — Ale jeszcze się pokażę. Mówiłem, że cię Kocham.

Był kwadrans po pierwszej, kiedy znalazłem się w mieście. Biegiem dotarłem do ulicy Kismester. Zatrzymałem się przed firmą Triska i zajrzałem przez zasłonięte firanką okno. Paula Brekk nie siedziała tym razem za swoim biurkiem. Stała pośrodku składu, wśród fortepianów, patrząc na wejście, jakby czekała na Adama Selima. Ale Selima nigdzie nie było, zamiast niego natomiast podłogę pokrywał popiół i zgorzel, a w powietrzu unosiła się woń spalonych szmat.

— A ty, po co tu się zjawiasz? — zapytała Paula Brekk, kiedy mnie zobaczyła.

— Czy jest jeszcze tu? A może już wyszedł? I dokąd?

— Nigdzie go nie ma — powiedziała Paula Brekk chłodno. — Wysadził się.

— Jak to? Kto się wysadził?

— Przyszedł tu dokładnie o pierwszej i wtedy rozerwało się na nim ubranie i zaczął się palić. Idź stąd, bo tu śmierdzi spalenizną. Wynoś się.

— Jeszcze żyje — powiedziała siostra, otwierając drzwi szpitalnej sali. — Minutę może pan popatrzeć.

318

Adam Selim leżał sam w sali, od pasa w dół spowity w grube bandaże. Z ciała wystawały spuszczone pod łóżko rurki, ze stojaków nad nim prowadziły rurki do jego ciała. Twarz miał śmiertelnie bladą, usztywnioną.

— Cześć, Adam — powiedziałem.

Oczy skierował w stronę drzwi i tak już nieruchomo zatrzymał. Otworzył usta, wypuścił trochę powietrza, ale słowa nie powiedział.

— Kiedy mogę znów przyjść? — zapytałem siostrę.

— Niech pan tu więcej nie przychodzi — odpowiedziała.

— Raczej niech pan podejdzie do mnie — odezwał się ktoś z tyłu. To inspektor Gavrila, kiwając palcem, przywoływał mnie z korytarza. — Niech pan ładnie opowie, kiedy ostatni raz widział pan Selima?

— W południe, na przejściu granicznym.

— A co pan od tego czasu robił? Proszę po kolei opowiedzieć, co od tego czasu z panem się działo?

— Nawet nie wiem. Szedłem tędy i wstąpiłem. Trudno mi dokładnie powiedzieć.

— Mówi pan, że dokładnie pan tego nie wie. Ładnie, bardzo ładnie. A czym się pan przed tym zajmował, to pan wie?

— Pracowałem w leśnictwie, jestem człowiekiem lasu. Na stojącym na naszym podwórku, załadowanym cegłami, zapaskudżonym przez ptaki, brudnym i zardze-

wiałym opłu wylegiwały się dwa koty. Mój pasierb z biegającego wzdłuż pierwszego piętra ganku rzucał w te koty kasztanami. Kiedy spostrzegłem, że mnie zauważył, zatrzymałem się i zawołałem:

319

— Czy chciałbyś, aby mama wróciła do nas?

— Jak chce, to niech wraca — Doktor Senior wzruszył ramionami i zbiegł do mnie po schodach. — No powiedz, jaki był? Czy rzeczywiście tak ogromny?

— Nie udało mi się go zobaczyć — odpowiedziałem. — Zachorował.

W domu zdjąłem płaszcz, marynarkę i udałem się szybko do kuchni. Nakroiłem cebuli, papryki, nałożyłem smalcu na patelnię i zapaliłem pod nią. — Zjemy jajecnicę. Z ilu jajek?

— Ja poproszę z trzech. Ale powiedz, czy naprawdę jest taki okropny? Powiedz coś, proszę.

— Teraz już nieważne — westchnąłem. — Więcej się już tu nie pokaże.

— Skąd wiesz?

— Wiem. Więcej nie przyjedzie. A jutro przeniesiemy się na Magurę. Z powrotem do uszatej sowy.

Wbiłem jajka na przyrumienioną cebulę i paprykę, posoliłem, dodałem do smaku pieprzu i nakryłem stół. Ukroiłem kilka kromek chleba i wyjąłem ze spiżarki słoik ogórków. Na zewnątrz, w świetle lampy, krążyły przed oknem płatki śniegu, to w dół, to w górę.

— Spójrz przez okno, jak pada — powiedziałem do pasierba — jutro na śniegu będzie widać ślady stóp.

— Widzę — odpowiedział — ale chcę cię o coś zapytać.

— No?

— Czy to prawda, tato, że jesteś gliną?

— A ty skąd to wiesz?

— Wszyscy tak mówią.

320

— A niech sobie mówią. Ich sprawa. Niech mówią, co chcą.

— No to kim ty jesteś?

— Leśniczym. Zapamiętaj sobie: leśniczym.

— A co to takiego? Co robi leśniczy?

— To taki ktoś, kto nadaje się do lasu. Nie zna się na ludziach, ale dobrze czuje się wśród drzew. Patrzy na las i powiada — to leszczyna, a to jarzębina, a tam jest bozodrzew i klon górski. Na tym bozodrzewie siedzi ptak zwany orzechówką, a na tamtym rozwichrzonym klonie leśna uszata sowa.

Przełożył Tadeusz Olszański

## ZAPACH KREWNYCH

Wieczorem, zanim siostry Herskovits przybyły z dalekich rusińskich stron do obozu uchodźców, oboje czekaliśmy

na ojca w naszym kamiennym domu w Opicinie. Ja przygotowywałem zebrane na płaskowyżu i zasuszone kwiaty na jutrzejszą wystawę w kółku botanicznym, a Maria Luiza rozwiązywała krzyżówkę. Leżała wyciągnięta na brzuchu na łóżku, w podomce, i machała nogami. Aż w pewnej chwili z jednej nogi zleciał jej kapeć. Spojrzałem na nią i sam nie wiem, co strzeliło mi do głowy, ukląknłem w nogach łóżka i wolnym, wprawnym ruchem, niczym doświadczony garderobiany, włożyłem jej na nogę miękką skórzany kapeć. Potem szybko wróciłem na miejsce, do moich suszonych kwiatów. Pewnie trochę za późno, bo moje palce zdążyły już dotknąć pulsującej żyłki na delikatnym wzniesieniu między jej stopą i kostką i ciepło jej ciała w oka mgnieniu rozlało się we mnie. Po raz pierwszy w życiu jej dotknąłem. Maria Luiza była kobietą mojego ojca. Dobrze pamiętam tamten wieczór, bo następnego ranka wrócił ojciec, a co ważniejsze, przyjechały z nim siostry Herskovits.

Obie siostry o nieco już niemodnych, choć jednocześnie prześlicznych imionach, Hortenzia i Ambulancia, zaraz

323

po obowiązkowej kąpieli i dezynfekcji trafiły do izolatki. Wydawały bowiem jakiś dziwny, uporczywy zapach nie wiadomego pochodzenia, który nie ustąpił mimo wielokrotnych kąpieli i dokładnego szorowania. W biurze obozu zdecydowano więc, że pozostaną w odosobnieniu, póki nie przejdą szczegółowych badań lekarskich. Parterowy budynek, gdzie odbywało się kwarantannę, stał samotnie przy końcu podwórza. Miał okna zabite dechami i zakratowane drzwi, w środku dniem i nocą paliły się ogromne lampy dające białe, szpitalne światło, by można było o dowolnej porze nawet z zewnątrz obserwować zamknięte tam osoby. Komunikować się z nimi — i to za pozwoleniem lekarzy — można było jedynie przez specjalny telefon. Aparaty były zamontowane przy szybie, tak by rozmawiający mogli się nawzajem widzieć. My mieszkaliśmy już wtedy poza obozem. Ojciec wynajął mały kamienny domek tuż za miastem, na płaskowyżu Opicina.

To ojciec sprowadził tu z Karpat siostry Herskovits.

Przemycił je przez kilka granic, zanim w górach i dolinach Tescoviny nastąpiła ostra zima. Wyruszył po nie na wiele tygodni naprzód, jeszcze gdzieś na początku października. Pewnego razu zamyślił się przy kolacji, jego twarz okryta krótką brodą przybrała nieprzenikniony wyraz, a ponieważ zaczął unikać naszych spojrzeń, domyśliśmy się, że znów dostał zlecenie i że wkrótce umocuje sobie pod pachą nieprzemakalną sakiewkę pełną dolarów i fałszywych papierów i wyruszy w drogę pełną niebezpieczeństw. Ojciec wsiadł na swój motor Ziindapp z koszem, jakby jechał po zioła do którejś z sąsiednich wiosek. Tak naprawdę nie zajechał nim daleko, bo gdy tylko tylne

324

światła motoru znikły za górką, pośród pieców i migotli-

wych ognisk wypalaczy wapna, zostawił motor na czyimś podwórku i kontynuował podróż autobusem, pociągiem, konnym zaprzęgiem a w ostateczności na piechotę. Zawsze gdy tak wyruszał, wiedzieliśmy, że znika na dobrych parę tygodni.

Był koniec jesieni, właśnie skończył się zbiór ziół. Zaczynał się czas ich kruszenia i pakowania w różnokolorowe pudełka z nazwami, dostarczone zawczasu przez umówionych odbiorców. Gdy wracałem ze szkoły, przez całe popołudnia paczkowaliśmy z Marią Luizą zioła. W bardziej pogodne dni, gdy nie było obawy, że wiatr porwie nam sproszkowany susz, siadaliśmy na dworze przy kamiennym stole pod cedrami i w milczeniu kruszyliśmy i paczkowaliśmy zioła, aż zaczynały się wokół nas ulatniać, w bladych promieniach słońca, cierpkie zapachy, raz przywodzące na myśl przemijanie, innym znów razem do-rodne głowy sałaty. Ojciec, o ile nie przemykał się właśnie po dalekich lasach w przemytniczej trasie albo nie pływał po obcych wodach, zajmował się głównie zbiorami lawendy. Jego kobieta, Maria Luiza, mieszkała oczywiście z nami.

Na parę dni przed ostatnią wyprawą odwiedziła ojca dwójka eleganckich nieznajomych, mężczyzna i kobieta. Przyjechali robionym na indywidualne zamówienie lamborghini w kolorze szary metalik i przedstawili jako rodzina sióstr Herskovits. Chcieli ściągnąć tu swoje dalekie krewne. Wymienili między sobą parę słów szeptem po rusińsku i mimo że ojciec niemal perfekcyjnie znał ten język, zgodzili się z nim rozmawiać tylko za pośrednictwem

325  
tłumacza, to jest Marii Luizy, która swoją drogą pracowała jako tłumaczka w obozie dla uchodźców. Dziwnie to wszystko wyglądało, zupełnie jakby nie chcieli bezpośrednio komunikować się z ojcem, czyli osobą, której pracę mieli w głębokiej pogardzie. Ojciec zapewne to wyczuł, bo policzył sobie za pracę późną, chłodną jesienią, za zimną wodę w rzece i mróz o poranku wielokrotnie wyższe wynagrodzenie niż zazwyczaj.

Ojciec miał swoje sposoby: zwykle docierał nad rzekę na granicy już po zmroku, jeśli nie w środku nocy. Tam na brzegu kazał się swoim podopiecznym rozbierać, wkładał ich ubrania w szczelny foliowy worek, smarował ich dla ochrony przed zimną wodą olejem albo towotem, a potem przeprowiał się z nimi na drugi brzeg. Do innego kraju. Nieważne było nawet, czy delikwent umie pływać, czy nie, bo ojciec przywiązywał go do unoszącego się na wodzie korzenia, który nie pozwalał mu pójść na dno. A pogranicznicy, gdy światło reflektora wyławiało czasem w ciemności lśniący w wodzie kawałek drewna, brali je za poroże. Mówili, że to daniela podążają swą stałą trasą na drugi brzeg rzeki. Ojciec pewnie dobrze im za to zapłacił.

Krótko mówiąc, ojciec jakby przeczuwając, z jakim wspaniałym transportem przyjdzie mu za parę tygodni stanąć przed bramą obozu uchodźców, i doliczając frycowe także za to, kazał obcym naprawdę słono zapłacić. A krewni siostr Herskovits — zapewne z racji przywiązania do rodziny — zgodzili się bez targów. Herskovitse dawno już potracili swoje kopalnie, ogromne lasy w Bukowinie i łąki w Galicji. Przenieśli się do Davos, dobrobyt jednak ich nie

opuścił. W naszych stronach bogactwa nie poznaje się po złotych łańcuchach, kolczykach i bransoletkach. Znać je raczej po świetnym kroju ubrań, cichej mowie, starannej fryzurze, po dyskretniej, perłowej barwie paznokci, przede wszystkim zaś po pięknym, subtelnym zapachu, jaki jeszcze przez wiele dni po ich wizycie unosił się wewnątrz naszego domu, przebijając się przez woń lawendy.

Cała ta sprawa z przemytem, z tajemnymi ścieżkami i znajomościami ojca zaczęła się dosyć dawno, zaraz po naszym przyjeździe. Ledwie wymięci, obdarci i cali ubłoceni dotarliśmy na miejsce, zaraz rozeszło się po obozie uchodźców, jak sprytnie ojciec zaplanował ucieczkę, jak ukryty za sągiem drzewa, udając jelenia, przeprowił się przez rzekę na granicy. I że przygotowywał się do tego całe lata, aż wreszcie dzięki wytrwałym, nieprzerwanym ćwiczeniom nauczył się pokonywać wpław ogromne odległości, poruszając jedynie stopami, a jego obecności nie zdradzał nawet najcichszy plusk, nauczył się też rozpoznawać temperaturę wody po jej szumie i odcieniu i dzięki temu mógł na ucho ustalić, jak grubą warstwą oleju czy towotu trzeba się posmarować, żeby zbyt nie zmarznąć. Ale ponieważ ojciec nauczył się tego wszystkiego tylko po to, by móc ze mną raz na zawsze uciec z ojczyzny, początkowo nie chciał nawet słyszeć, że mógłby przeprowiać tak innych — nawet za grube pieniądze. W końcu jednak musiał ustąpić. Zanim jednak ostatecznie uległ namowom, odwiedził go ubrany od stóp do głów na czarno mężczyzna o srebrnych zębach i z tatuażami na rękach. Był to biskup Tescovina, który przed święceniami służył w Dobrynie w randze pułkownika strzelców górskich. A od Marii Luizy dowiedziałem

się, że kiedyś, rzecz jasna bardzo dawno temu, także ojciec tam służył.

Siostry Herskovits dotarły na miejsce pod koniec jesieni. Ojciec przywiózł je do miasta starym motorem z koszem marki Zundapp. Wyłonili się o świcie z żółtej, puchatej mgły, jaka każdego ranka unosi się nad zatoką. Ostatni odcinek drogi pokonali już piechotą, ojciec szedł nieco z przodu, jak gdyby nie podróżowali razem, albo wręcz jakby starał się uciec przed ich zapachem. Wskazał im biuro przyjęć przy bramie obozu, gdzie miały się zgłosić. W drodze powrotnej kupił parę chrupiących rogalików, zjadł w domu śniadanie, położył się i spał bez przerwy pięć dni.

Siostry Herskovits nie miały w sobie nic z wykwintu i godności swoich bogatych krewnych z Davos, przede wszystkim zaś z ich postury — były chude jak szczapy. Nosiły na zmianę podniszczone dziecięce okulary słoneczne w rogowej oprawce, które co jakiś czas jedna drugiej ścigała z nosa, poza tym wyglądały niemal identycznie. Mimo późnej jesieni miały na sobie szare, proste, płócienne sukienki z białymi kołnierzykami, na nogach rozczłapane sandały, a na głowach nosiły coś w rodzaju rozedrganego czepca, w jakie zwykły się stroić skociałe dewotki. Całości dopełniał okropny zapach, jaki wokół siebie roztaczały. I to właśnie z jego powodu, po obowiązkowej kąpieli, z miejsca skierowano je na kwarantannę.

Siostry Herskovits mówiły tylko po rusińsku, dlatego jeszcze tego samego dnia ściągnięto do obozu Marię Luizę, żeby tłumaczyła. Ojciec spał wtedy w najlepsze, dlatego sam musiałem odprowadzić ją do miasta, pod bramę obozu. W tamtych czasach kobieta raczej nie mogła pokazywać

328  
się sama w mieście, bo wszędzie czaili się groźni, wyglądali uchodźcy. Tym bardziej taka jak Maria Luiza, która mimo swego niskiego wzrostu była tak śliczna, że czasem oglądały się za nią nawet inne kobiety. Miała ciemną karnację, twarz usianą piegami, orli nos, skośne, tatarskie oczy i proste, czarne włosy. Gdy szła do miasta, wkładała obcisłą, skórzaną sukienkę, a po domu chodziła w różowo-czerwono-niebieskim szlafroku, spod którego co chwila przebłyskiwały jej marmurowe kostki. Prawdę mówiąc, nie całkiem przypadkiem dotknąłem wtedy jej żyłki.

Kiedy ojciec się wreszcie obudził, wezwał go do siebie naczelnik obozu, w nadziei, że może on będzie coś wiedział na temat zapachu sióstr Herskovits. Ale ojciec tylko wzruszył ramionami, że nic o tym nie wie. Jednocześnie przeszło mu przez myśl, że nawet gdyby wiedział, i tak nie warto by mówić, bo „oni i tak nic nie rozumieją”.

A co tak naprawdę stało się z siostrami Herskovits? Hm, w sumie nic takiego. Można by powiedzieć, zwykła, codzienna rzecz. Zeszłej zimy dolinę Tescoviny nawiedziły niezwykle srogie, mroźne wiatry i kto nie chciał zamarznąć na kość, musiał zawczasu zagrzebać się w hałdach śmieci otaczających miasto. Mieszkańcy Tescoviny przetrwali zabójcze mrozy tylko dzięki życiodajnemu ciepłu odpadków.

W tamtych czasach zwożono do Tescoviny śmieci z sąsiednich prowincji i krajów. Żyła z nich cała okolica. Pnące się w górę hałdy z czasem otoczyły miasto, a nawet przerosły okoliczne wzgórza. Kręciły się wokół nich różnobarwne sfory lisów, przecinając śmietnisko swymi trasami; zlatywały się tam kawki, wrony i szpaki, by szybować wśród

329  
oparów unoszących się nad hałdami, czasami zaglądały tu nawet ostatnie krogulce i czarne orły. Siostry Herskovits

ani myślały stamtąd wyłazić, ale pewnego razu przyśnił się im obu naraz ten sam sen: że oto odwiedza je pod ich dawnym adresem mężczyzna o siwiejącej brodzie. Wygrzebały się więc na powierzchnię i na wpół oślepione blaskiem słońca pobiegły do domu. Jeszcze tego samego dnia wydobyły z samego dna szuflady swoje dawne, dziecięce okulary słoneczne w rogowej oprawie, które odtąd nosiły na zmianę. Niekiedy wracały na chwilę do swej zimowej jamy, ale poza tym dniem i nocą przesiadywały pod bramą, wypatrując — niczym tajemniczego zalotnika — człowieka ze snów, który pod postacią mojego ojca faktycznie zawitał pod wskazany adres. Siostry Herskovits nie zdawały sobie sprawy z własnego zapachu, dlatego gdy ojciec zgodnie z umową przeprowił je przez rzekę i roztoczył wizję bajecznie bogatych krewnych z Davos, za nic nie mogły pojąć, skąd tu nagle zabite dechami okna, rozmównice i całe te obostrzenia i kwarantanny. Skąd mogły wiedzieć, że zapach, którego same nigdy nie poczuły, pozostanie z nimi do końca życia, a może nawet i dłużej, całą wieczność.

Także krewni z Davos nic z tego wszystkiego nie rozumieli. „Co wam właściwie jest?“, pytali cichym, zalekcionym głosem w słuchawkę przed separatką. „Chcemy wiedzieć, jak można wam pomóc“. „Nic nam nie jest“, syczały siostry po drugiej stronie słuchawki, „wystarczy na nas spojrzeć, żeby wiedzieć, że nic nam nie dolega. Jesteśmy całkowicie zdrowe“. „Mówią, że coś nie tak z waszym zapachem“. „Z naszym zapachem! Powąchaj mnie, Hortenzio, 330

ciekawa jestem, czujesz coś? Ambulancio, nachyl tu swój nosek, wyczuwasz jakiś zapach? Nie, jak zwykle nic! Ktoś się nas zwyczajnie czepia, to wszystko“.

I tak całymi tygodniami.

Za każdym razem, gdy poddawano je nowym badaniom lekarskim lub gdy siostry naprzykrzały się kierownictwu obozu nowymi zachciankami, wzywano Marię Luizę do tłumaczenia. I jeśli ojciec rozwoził akurat zioła, sam musiałem ją odprowadzać. Dojeżdżaliśmy do miasta tramwajem, na plac Oberdana kursował co pół godziny krótki, złożony z jednego małego wagonu tramwaj. Pasażerami byli zwykle uchodźcy, a ci nieraz nachalnie naprzykrzali się kobietom. Dlatego siadałem tuż przy kobiecie ojca z łańcuchem do roweru owiniętym wokół pasa i kieszeniami pełnymi ostrych kamieni.

— Co by było, gdybyś tak któregoś pięknego dnia zostawiła mojego ojca? — spytałem, gdy nasze uda zetknęły się na siedzeniu tramwaju. — Mogłabyś się od nas wyprowadzić i gdzieś w ukryciu poczekać, aż dorosnę. Czuję, że to już tylko kwestia kilku miesięcy. — Nie odpowiedziała, a jej milczenie trwało w nieskończoność. Kto wie, może coś znaczyło, tym bardziej że wieczorem odezwała się do ojca tymi słowami:

— To była ostatnia wyprawa z tymi śmierdzielkami. Obiecuj mi, że już więcej nie wyjedziesz. Jak nie, to cię zostawię.

— Wiesz, że nie mogę ci tego obiecać — odpowiedział smutno ojciec. — Taki mam zawód.

— Musisz więc wiedzieć, że jest ktoś, kto mnie pragnie. I zdradzę ci, nie jest mi wcale obojętny.

331

Krewni z Davos zjawiali się w obozie raz na tydzień, z coraz smutniejszymi minami i spędzali tam krótkie pół godziny. Szli wytworni, prości jak trzciny pod separatkę i siadali na wystawionych przed rozmównicą plecionych krzesłach. Oni, wykwintni, tchnący tajemnicą, naprzeciw morowych wysłanniczek dalekich krain.

A siostry Herskovits były już na granicy wytrzymałości, przepychały się i syczały w słuchawkę. „W snach widziałyśmy wodę. A to oznacza podróż. Niebawem ruszymy w drogę. Czekać na nas w porcie”. „Ale do nas nie dochodzą statki”, próbowali nieśmiało wtrącić krewni z Davos. „Nonsens, nie możemy się mylić: w porcie i już. I zadbajcie, by jak najszybciej wydać nas za mąż. Postarajcie się też o odpowiednią wyprawę. W końcu jesteśmy z najlepszego rodu w Bukowinie”.

I tak przez parę tygodni. W końcu podczas ostatnich odwiedzin krewnych z Davos siostry nie wytrzymały, zerwały z siebie szpitalne koszule i ukazały ich oczom wychudzone, nagie ciała, usiane trupimi plamami — pamiątką po pobycie w tescovińskich jamach — i licznymi śladami lisich ukąszeń.

„Patrzcie, jesteśmy zdrowe jak rydze. Możliwe, że wszyscy wkoło są chorzy, ale nie my. Nic nam nie jest”.

I faktycznie nic im nie było. Siostry jeszcze nie wiedziały, że tego dnia przyszły ostateczne wyniki badań stwierdzające, że pomijając niewątpliwie przykry zapach, który z pewnością do pewnego stopnia utrudni im adaptację do nowego środowiska, nie cierpią na żadną znaną z nazwy zakaźną chorobę.

I właśnie dlatego po tej „rozbieranej” wizycie krewni z Davos nie czmychnęli jak zwykle do siebie, ale po

332

raz drugi odwiedzili mojego ojca. Przyszli po zmroku. Swoje lamborghini zostawili na parkingu przy zajezdni tramwajowej i dalej ruszyli na piechotę kiepsko oświetloną drogą, choć mieli przy sobie dużo gotówki. Usiedli pod cyprysami przy kamiennym stole, przy którym zwykle sortowaliśmy wonne zioła, a wieczorny wiatr szeleścił leżącymi przed nimi grubymi plikami banknotów. Tym razem nie chcieli już pośrednictwa tłumacza, woleli rozmawiać z ojcem bezpośrednio, po przyjacielsku. Mówili cicho, cedząc słowa i rozglądając się dookoła, a ich wzrok niby przypadkiem omijał spojrzenie ojca i krążył gdzieś wysoko nad jego głową, wśród chmur, w których odbijała się już wieczorna luna znad Opiciny.

Mówili o wielu rzeczach: na przykład o wielu profesjach ojca, o jego niespotykanych umiejętnościach pływackich, o naturze tutejszych wód, o falach w pobliskiej zatoce i o bezpiecznym pływaniu łódką. A także o zamierzchłej przeszłości ojca, o jego znajomościach z pułkownikami i biskupami. Licho wie, skąd o tym wszystkim wiedzieli.

W końcu zeszli na siostry Herskovits: faktycznie nic im nie jest i pewnie za parę godzin je wypuszczą. A wtedy prędzej czy później zapragną pojechać do Davos. Chyba że ojciec jakoś prędko temu zaradzi. Wieczorny wiatr co chwila łagodnie pieścił banknoty.

Gdy ojciec ich odprowadzał, poszedłem do Marii Luizy. Miała na sobie różowo-czerwono-niebieski szlafrok, leżała wyciągnięta na brzuchu na łóżku i czytała. Gdy się odwróciła, zleciał jej z nogi kapeć. Ukląknąłem przy niej i powoli, ze znanstwem włożyłem go jej z powrotem. A gdy

333

tylko poczułem pulsowanie jej żyłek, ciepło rozlało się po moim ciele.

— Tylko teraz dotrzymaj słowa — powiedziałem niemal wyzywająco.

— Myślisz, że on to zrobi?

Nie byłem w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Tym bardziej że ojciec był już koło bramy. Zawołał mnie do siebie i powiedział, żebym leciał do Opiciny zamówić stolik w tamtejszej gospodzie. Korony drzew z jej dziedzińca ciemniały tuż obok zajezdni tramwajowej. Był to drogi, luksusowy lokal, co wieczór stawał przed nim rząd lśniących markowych aut. Jeszcze nigdy nie oglądaliśmy go od środka.

Nigdy bym nie pomyślał, że któregoś dnia tutejsi kelnerzy w wytwornych smokingach będą uwijać się z tacami wokół mojego stolika. Dziś nieoczekiwanie ten dzień nastąpił. Zasiadliśmy przy śnieżnobiałym obrusie i złożonych jak skrzydła mew adamaszkowych serwetkach, jak prawdziwi bogacze.

— Odprowadzasz je z powrotem — powiedziała do ojca, ni to pytając, ni stwierdzając, Maria Luiza.

— Będę musiał coś wykombinować.

— Ale pieniądze już wziąłeś, prawda.

— No, niby tak.

Te i tym podobne urywane zdania wzlatywały i krążyły nad białym, skrzydlatym adamaszkiem. A ja przez zasłonną szmerów z sali, przez woń ostryg, szczypców homarów, miecznika w auszpiku, pasztetów grzybowych i zimnych sałatek, przez pobrzękiwanie noży, widelców i szkła, z uporem wpatrywałem się w twarz ojca. Patrzyłem, kiedy

334

zamilknie, kiedy jego twarz, okryta krótką szpakowatą brodą, stanie się zdeterminowana i nieprzenikniona, jak zwykle gdy szykował się do drogi. I miałem jednocześnie

nadzieję, że może się jeszcze rozmyśli i nigdzie nie pojedzie. Albo może właśnie pojedzie teraz, zaraz, natychmiast i nigdy więcej nie wróci.

Przełożyła Małgorzata Komorowska-Fotek

## PSIE WALKI W DOLINIE, ROTUNDZIE I DOBRYNIU

Nikifor Pusztą już drugi tydzień żył razem z Odessą Serafini. Ulokowali się w pobliżu stacji w jednym z mieszkalnych wagonów i już, już zaczęło się zanosić na pełną wzajemność uczuć i całkiem poważny obrót rzeczy, kiedy na dworcu kolejowym w Dolinie, a także na ścianach domów, w bramach i w miejscowym wyszynku rozplakatowano list gończy z pamięciowym portretem pewnej kobiety. Za wskazanie i pomoc w jej ujęciu wyznaczono całkiem pokaźną nagrodę w wysokości siedemdziesięciu pięciu dolarów. Licząc z grubsza, w rumuńskich lejach było to półtora miliona, w ukraińskich karbowancach, czyli kuponach, około ćwierć miliarda, a w nowych węgierskich forintach aż sto tysięcy, za tę kwotę w hodowli Boba Sine-tara można było już wytargować całkiem pokaźne stadko psów bojowych.

Na liście gończym nie było nazwiska poszukiwanej kobiety, nie było nawet mowy o tym, za co ją ścigają i czy w ogóle popełniła jakieś wykroczenie, ale zdjęcie, mimo tu i ówdzie rozmazanej świeżej farby drukarskiej, wskazywało na podobieństwo do Odessy Serafim. Nie mówiąc o zdobiącym jej głowę mirtowym wianku, którego

337

w okolicy nikt poza nią nie nosił. Nie było przeto najmniejszych wątpliwości, że to o nią, o Odessę Serafini, chodzi.

Pracowałem wówczas dla naczelnika stacji kolejowej Poppa, wiem co nieco o jego sprawkach, a więc również i o tym, że list gończy ukazał się na jego polecenie. Portret, z grubsza rzecz biorąc, był dziełem fryzjerki Anies Lupe, ale mogę zdradzić, że pod koniec przygotowywania tego dzieła miałem swój poważny udział w dorysowaniu charakterystycznych zmarszczek w okolicach brwi, ust i nasady nosa. Użyliśmy do tego celu najzwyczajniejszych, kosmetycznych przyborów — ołówków, kredek i farb do oczu, jakie znajdują się w każdym salonie fryzjerskim, a cieniowanie wykonaliśmy opuszkami palców. Kiedy już wydawało się nam, że nie ma nic do poprawienia, można było list powielić, wszystkiego w piętnastu egzemplarzach, na zwykłym, oczywiście, powielaczu.

Niezależnie od tego Nikifor Pusztą był moim druhem od kielicha, można powiedzieć przyjacielem, co oznaczało partie remika rozgrywane w wolnym czasie na schodach mieszkalnego wagonu bądź wspólne popijanie „Pod nietoperzem”, w prowadzonym przez ojców Hermelina i Punga wyszynku. Różne sprawy tam omawialiśmy, wspomagając się nawzajem.

Tego dnia na przykład Nikifor miał udać się do barakowej dzielnicy gruźlików, nazywanej również kwaterą strażników, aby zgodnie z życzeniem naczelnika stacji Poppa wezwać chorych do udziału w pracach publicznych. To właśnie ja wozilem Nikifora samochodem od baraku do baraku po okrytej złą sławą dzielnicy.

338

Miasto miał odwiedzić arcybiskup Teleorman i żeby tradycyjnie mógł przejść po czerwonym dywanie od stopni wagonu specjalnego pociągu, którym miał przyjechać, do czekającej przy krawężniku czarjki, należało uprzątnąć okolicę, zasługującą co najmniej na solidną dezynfekcję i wymycie chlorem. Arcybiskup z reguły podróżował koleją, a potem ze stacji, niczym karetą, przejeżdżał przez miasto ośmioosobową, otwartą czarjką na miejsce wizytacji. Bardzo ważne było, aby zaraz po przyjeździe nie zepsuć mu humoru jakąś dotkliwą niezręcznością.

A chodziło także o to, że naczelnik stacji Popp miał do załatwienia z arcybiskupem bardzo ważną sprawę. Wbił sobie do głowy, że zrobi z córki świętą i chciał rozeznaczyć się w tej sprawie. Wydawało mu się, że na początek wystarczy, aby dzieciaka beatyfikowano, a do tego potrzebne było zdobycie poparcia dwóch-trzech osób z wpływami w synodzie. Myślał, że kilka eleganckich prezentów oraz wyrażenie szacunku w odpowiedni sposób wystarczą, żeby sprawa beatyfikacji ruszyła z miejsca. Właśnie nadarzała się okazja, aby poczynić pierwsze kroki. I kto, jak nie arcybiskup Teleorman, jest właśnie tym, od którego wiele zależy, bo przecież ma dostęp do patriarchy i na co dzień ma do czynienia z metropolitami.

Kilka lat wcześniej, kiedy pewnego pięknego dnia garnizon strzelców górskich został wycofany z miasta, córeczka naczelnika Poppa pobiegła za żołnierzami, już za miastem, kiedy na skrót przez zamknięty uprzednio, a teraz opuszczony teren strzelnicy, chciała przeciąć łąkę Doliny, aby znaleźć się przed kolumną wyjeżdżających pojazdów, po prostu przepadła bez śladu. Cokolwiek by nie powiedziec,

339

jakby pochłonęła ją ziemia. Zresztą chyba właśnie tak się stało, bo wpadła w bezdenną jamę.

Nigdy też jej nie znaleziono. Kiedy gorączkowo jej poszukiwano, odkryto mnóstwo podziemnych pieczar, cały biegnący pod łąką system korytarzy. Okazało się — co starzy mędrcy dawno podejrzewali — że pod powierzchnią miasta znajduje się ogromna pustka i szybko należy ją czymś wypełnić. Zamówiono więc śmieci z sąsiadujących powiatów, a potem również z dalszych prowincji. O sprawie zrobiło się głośno. Natychmiast zainteresowano się tym za granicą i naturalnie obiecywano duże pieniądze, byle tylko również od nich przyjąć różne odpady, czyli górę śmieci. Pieczary i jamy szybko wypełniono, ale załadowane śmieciami pociągi i tiry nieustannie przybywały

do miasta. I to, czym dziś stała się Dolina, w gruncie rzeczy zawdzięczać trzeba tej dziewczynie. Nawiasem mówiąc, Eufrozyna jej było.

Naczelnik stacji Popp dobrze wiedział, jak wiele zależy od arcybiskupa i dlatego niedobrze byłoby, gdyby zaraz na wstępie przydarzyła się jakaś wpadka. A gdyby w dodatku arcybiskup nie był w najlepszym nastroju, to byle drobiazg gotów go wyprowadzić z równowagi.

Stacja w Dolinie była swego rodzaju punktem zbornym, w którym na dodatek koczowało mnóstwo różnych typów. Ławki pełne były rozwalonych i śpiących na swoich bambetlach bezdomnych, a na schodach przed wejściem koczowały całe rodziny i różnego rodzaju towarzystwo, od którego zresztą nie był też wolny plac przed dworcem. W dodatku wszyscy na miejscu załatwiali swoje mniejsze czy większe potrzeby. Większość z tu zgromadzonych

340  
godzinami, ba, całymi dniami podpierала ściany dworca, gapiąc się w nieskończoną beznadzieję, a u ich stóp niczym domowe ogniska dymiły pełne much kupy odchodów. Wyniosłym gapiostwem i wtopionym w nicość spojrzeniem tworzyli tego rodzaju kondensację obojętności, że nawet oprychy braci Elfrathów nie śmiały przywołać ich do porządku. Naczelnik stacji Popp liczył w duchu na to, że kiedy niespodziewanie pojawią się sprzątacze, w tym konkretnym przypadku gruźlicy w swoich szpitalnych strojach, z zawieszonymi na szyjach blaszanymi spluwaczkami, to wreszcie całe to tałatajstwo się rozpierzchnie i będzie można rozścielić należny wysokiemu gościowi czerwony dywan.

A jeśli nie, a czas przecież nagli, to trzeba będzie wymyślić coś zupełnie innego. Ewentualnie można by przyjąć hierarchę na peronie albo za ciężki pieniądz sprowadzić trębaczy z Sinistry, aby donośne dźwięki fanfar, puzonów, tub i różnej wielkości trombit niczym muzyczna zasłona przykryły paskudztwa okolicy.

Tego dnia w Dolinie było gorąco, powietrze nad miastem jakby lekko drżało, a nad kwartałem gruźlików niczym przeźroczysty obłoczek unosił się kaszel. I nawet ptaki omijały to miejsce. Na kamieniste wyboje uliczek bardzo rzadko i tylko w szczególnie ważnej sprawie między oblepione kurzem parkany wjeżdżał samochód. Prowadziłem czarną wołgę, którą naczelnik stacji Popp specjalnie na tę okazję wynajął od braci Elfrathów, aby sprawić wrażenie, że na osiedle w bardzo ważnej sprawie przyjechała niemniej ważna osobistość. Pacjenci patrzyli więc przez okna zza firanek z gazy, a kiedy wołga zwalniała, usiłowało

341  
ją otoczyć kilkoro bladych gruźlików o cienkich szyjach i płonących oczach. Nikifor Puszysta raz i drugi wysiadał z samochodu, zachęcająco się uśmiechał i troskliwie wypytywał zgromadzonych, jak się czują, wchodził nawet

między wybielone baraki, na wymarłe podwórka, ale nie miał szczęścia. Kiedy bowiem tylko padało słowo o robocie, krąg dosłownie się rozpląwał i żaden z chorych nie wyrażał najmniejszych chęci do pracy. Ani dobrym słowem, ani prośbą, ani nawet częstym wymianianiem nazwiska naczelnika stacji Poppa nie udało się przekonać gruźlików. Wzruszali tylko ramionami, jak gdyby to oni robili łaskę, a kiedy wychodziło na jaw, co naprawdę wspólnego z nimi ma ta samochodowa wizytacja i to niby wielkie zainteresowanie ich samopoczuciem, z obrzydzeniem odwracali się od Nikifora, jakby to on rozsiewał bakcyle. Ani w głowie im była praca, chociaż za dobrze wykonaną robotę mieli dostać kalendarz zdrowotny, butelkę studziennej wody oraz jedno opakowanie keksów „Eufrozyna”.

Naczelnik Popp nie lubił, kiedy ktoś z jego ludzi wracał ze zleconej mu misji bez efektu. Z tego też względu Nikifor Puszcza wysiadł z wołgi jeszcze przed stacją i żeby zyskać nieco czasu, wpadł do wyszynku ojców Her melina i Pungi „Pod nietoperzem”. Aby uniknąć podejrzeń, że zaniedbał obowiązki, bo spieszno mu było do swojej kobiety, postanowił przy szklaneczce znaleźć odpowiednie wytłumaczenie, dlaczego gruźlicy nie chcieli się podjąć pracy. Wymyślić coś, co nie zabrzmi zbyt deprymująco. Bo ci, którzy w ogóle raczyli mu cokolwiek odpowiedzieć, zbywali go mniej więcej następującymi tekstami: „Kusisz nas keksami, niezły z ciebie cwaniak! Jakbyś nie wiedział,

342  
że do keksów konieczna jest ślina, a nam nie starcza jej na charkanie!”. A tego rodzaju i podobnych argumentów nie mógł przecież powtórzyć panu naczelnikowi. Zamówił więc wodę sodową, pół szklaneczki spirytusu oraz pół likierowego kieliszka syropu z czarnego bzu. Zmieszał to wszystko, wygodnie wyciągnął nogi, rozluźnił się i puścił wodze wyobraźni.

Po odstawieniu wołgi braci Elfrathów i ja zajrzałem „Pod nietoperza”. Ojciec Punga wywiesił już nad szynkiem list gończy z pamięciowym portretem poszukiwanej kobiety. Co tu gadać, interesowało mnie, jak potoczą się dalej sprawy.

Niebawem to też się wyjaśniło, ale na razie umysł Nikifora Puszczy pracował pod wpływem spirytusu. Wymyślił, że powie naczelnikowi Poppowi, że gruźlicy dlatego nie zgłosili się do publicznych prac, bo są chorzy. Pozdrawiają pana naczelnika Poppa, nisko się kłaniają i całują pierścień arcybiskupa Teleormana, ale niestety nie czują się najlepiej i z tego względu nie są w stanie na piechotę dotrzeć do dworca, a potem wrócić do swoich baraków. Na tramwaj nie mają pieniędzy, a pieszo w taki lejący się z nieba żar, po kostki w kurzu, który przyprawia ich o ataki kaszlu, nie są w stanie przyjść, bo nie wyszłoby to im na zdrowie. A w ogóle nie opuszczają raczej okolicy swoich baraków ze względu na psy. Nikifor Puszcza wydawał się zadowo-

lony takim wytłumaczeniem niepowodzenia swojej ważnej misji.

W istocie rzeczy rozumowanie Nikifora nie było pozbawione racji. Od kiedy Dolina zaczęła żyć ze składowania śmieci i zagraniczne tiry od świtu do późnego wieczora tak

343  
bardzo zasypywały nieczystościami okolice, że wysypiska już, już zaczynały przerastać otaczające miasto wzgórze, w nieprawdopodobny wręcz sposób rozmnożyły się psy. Głównie pewien charakterystyczny gatunek, bo nie rasa, nieco garbatych kundli o szerokim pysku, pustym wzroku i zwisających uszach. Miejscowy hycel Bob Sinetar zaczął nawet ten typ psiaków hodować w swoim schronisku. Całe stada tych bezpańskich psów ganiały po ulicach, nie zważając na nic z wyjątkiem unoszących się nad miastem, wydętych wiatrem, pustych plastikowych torebek. W biały dzień tłumnie i milczkiem pędziły przez miasto — nawet przez nieuwagę żaden z nich nie szczeknął — a zbliżanie się tych stad sygnalizował tylko pęd powietrza i niepodobny do niczego szelest wywoływany stukotem setek psich pazurów o bruk. Całe stada pojawiały się nieoczekiwanie na rogach i zakrętach ulic, od niechcienia, pędem potrafiły wywracać przechodniów. Z daleka wyczuwały słabszych oraz dzieci, a niekiedy po psiemu dysząc, oblegały zatrzymujące się samochody i nie pozwalały wysiąść z nich pasażerom. Zdarzyło się, że odwiedziły nawet szpital miejski, wtargnęły do budynku akurat w porze wydawania obiadów, pognały przez korytarze, wskakiwały na łóżka chorych, wylewając z menażek zupe. Jeśli po tym wszystkim gruźlicy nie mieli ochoty opuszczać swoich baraków, to nawet naczelnik Popp powinien to zrozumieć.

Nikifor Puszcza dopiero wtedy rozejrzał się nieco uważniej po knajpie, kiedy zatrzymałem się przed nim, i dopiero wtedy spostrzegł wywieszony nad szynkiem list gończy. Gwałtownie poblądł, krew odpłynęła mu całkowicie z twarzy, ale po chwili cały poczerwieniał. Złapał się za głowę,

344  
pogrzebał we włosach i duszkiem wychylił resztę swego napoju. Siedemdziesiąt pięć dolarów! Kolosalne pieniądze! — A nazwisko, dlaczego nie napisali, o kogo chodzi? — wyjąkał zmieszany.

— Bo ty im to powiesz!

— Psiakrew! To ty też poznałeś, że to ona?

Zapluta podłoga szynku błyszczała tak, jakby rozsypały się na niej monety.

Patrząc na całą sprawę oczyma Nikifora Puszczy, nie biorąc pod uwagę wykluczającego wszelkie pomyłki wianuszka, autor portretu nie uchwycił wiernie nawet kształtu głowy poszukiwanej kobiety. Narysował owalną twarz, choć przecież poszukiwana miała raczej pociągłą, zamiast namiętych, żadnych rozkoszy oczu obdarzył ją malutkimi niczym guziczki ślipkami, a już włosy, które dziewczynom

z Dobrudży, pięknie uczesane, luźno spływają spod wianka i dopiero potem są związane, dobrze poinformowany przecież artysta — zausznik — czyli fryzjerka Anies Lupe, narysowała według miejscowego zwyczaju, podkreślając z obu stron do góry. A jednak nieznaczne, harde zmarszczki w kącikach ust bez wątpienia przypominały Odessę Serafini, która dwa tygodnie temu zamieszkała w Nikiforowym wagonie. I do której Nikifor już się przyzwyczał. I kto by pomyślał, że ta płci żeńskiej włóczęga może przysporzyć tyle forsy.

Nikifor Pusztą poznał Odessę Serafini w okolicach dworca w miejscu, gdzie wystawały kurwy. Wprawdzie jej pięknie uczesane włosy lśniły w słońcu, ale miała zamglone od niewyspania oczy, na pobrudzonej twarzy łyż wyźłobiły błotniste żyłki, paznokcie zaś obgryzła aż do

345  
skóry. Jakby się od dawna poniewierała. Kiedy jednak Nikifor Pusztą ją zaczepił, szybko wyszło na jaw, że nie jest z branży, względnie zaledwie początkuje, ponieważ nie znała nawet ceny kursu i zupełnie nie potrafiła się targować. Taksa w okolicach dworca, w zależności od wieku i wyglądu, wahała się od pięciu centów do półtora dolara. Tyle wynosiło honorarium kobiety za wyłączne użytkowanie jej przez chętnego do zapłaty mężczyznę. W stosunku do tych wymagań Odessa Serafini chciała zakontraktować się tylko na okres próbny, o pieniądzach w ogóle nie było mowy i prosiła jedynie o wikt i opierunek, a nade wszystko liczyła się dla niej przyjaźń. A co będzie dalej, to się okaże. O sobie zdradziła tylko tyle, że pochodzi z okolic dalekiej delty Dunaju i gnana chęcią poznania świata przybyła w Wysokie Karpaty. W skrytości ducha liczyła też, że lato będzie tu chłodniejsze. Bardzo lubi ludzi i chciałaby jak najwięcej ich poznać. Nikifor Pusztą nie zwracał sobie głowy opowiadanymi przez Odessę głupotami. Dobrze wiedział, że wszystkie te dziewczyny są jednakowe i niczym nerwowo chore gadają o potrzebie miłości. A ponadto, raczej ujęła go skromność dziewczyny niż to, czego domyślał się pod sukienką, a także obgryzione paznokcie wskazujące, że raczej nie jest zbyt gadatliwa, więc szybko dobił z nią targu.

Na wszelki wypadek zaraz ją zrewidował, sprawdził, co ma w torebce, wywrócił wszystkie kieszenie, a nawet dokładnie przyjrzał się pięknie uczesanim włosom, ale nie znalazł nic poza kilkoma zmiętymi papierowymi chusteczkami, ołówkiem kopiowym, szczoteczką do zębów, grzebieniem oraz wykorzystanymi biletami na statek i kolej. Wynikało

346  
z tego jedynie, że niekiedy wyciera nos, dba o włosy i kilka dni wcześniej wsiadła w Sulinie na statek, potem w Brilu do pociągu i przez mołdawskie postoje dotarła na północ. Jeśli nawet coś więcej ze sobą zabrała, to w trakcie długiej podróży wszystko jej ukradli. Poza kilkoma drobnymi

nie miała też pieniędzy. I żadnych dokumentów!

— O to się nie martw, to się da załatwić — uspokoił ją na wstępie Nikifor Puszysta — pracuję u naczelnika Poppa. Powiedz tylko, na jakie nazwisko wystawić ci papiery.

— Nazwisko, że tak powiem, nieważne — odpowiedziała dziewczyna i przez chwilę się zastanawiała. — Ale niech będzie, powiedzmy Odessa Seranm. Bo tak się nazywam.

— Bardzo ładnie, a jak do ciebie mówią?

— Niektórzy zdrobniale — Dessy.

— To uważaj, Dessy. Wyglądasz na porządną dziewczynę. I podoba mi się twoja fryzura.

Fryzura? Być może. Ale z całą pewnością imię. Kilka-naście lat temu Nikifor Puszysta służył w straży granicznej na dobrudżańskim wybrzeżu i dobrze pamiętał o odeskim szaleństwie. Strażników obozów jenieckich w Midii, Medgidii i Pinansuli, głównie tych, którzy wyróżnili się czujnością, zabierano w nagrodę pod koniec tygodnia lub w dni świąteczne na wycieczkę statkiem do Odessy. Statek wprawdzie nie dobiegał do brzegu i zawracał w zatoce przed portem i co najwyżej tylko fale docierały do mola, ale spowite w popołudniową mgłę zarysy miasta, unoszący się okrętowy dym, buczenie syren i kwilenie mew dosłownie oczarowywało wycieczkowiczów. I nie bez powodu właśnie w tej okolicy dużo dziewczyn otrzymywało na imię Odessa. I chyba głównie to imię zadecydowało, że

347

Nikifor Puszysta zabrał dziewczynę do swego mieszkalnego wagonu przy bulwarze Kanibalów.

Dolina była końcową stacją kolejowej linii. Szyny przed budynkiem dworca kończyły się zardzewiałymi zderzakami, z wyjątkiem jednego toru, który obok rampy towarowej skręcał na ulicę i wzdłuż chodnika prowadził dalej, w stronę opuszczonego już tartaku, zanurzając się w zarośnięte łopianami, krwawnikami i różnymi badyłami hałdy. Kiedy zaczął się interes z przywozem śmieci, na bocznym torze ustawiono przerobione na sklepy wagony. Tędy bowiem przyjeżdżały na wysypiska pomalowane na kolorowo tiry z pełnymi śmieci przyczepami. W sklepach, a także przed nimi, na rozłożonych płachtach gazet sprzedawano papierosy, gumę do żucia, chipsy, piwo w puszkach, loteryjne losy oraz przerwy w w różnorodnych rozmiarach, a także lecarskie poradniki, wszystko po to, aby bogaci kierowcy zostawili na miejscu jak najwięcej swego zarobku. Było też kilka kas wymiany walut, tu i tam wystawały bystre dzieciaki — pospołu chłopcy i dziewczynki — które machając z daleka, wpraszały się do szoferki i tam, przykucnąwszy u stóp kierowcy, za kilka drobniaków, bawiły go zmyślnym, wyuczonym łaskotaniem. Pospólstwo figlarne nazwało te dzieciaki kanibalami i stąd ten cały bazar nazwano bulwarem Kanibalów.

W większości handlowali tu mnisi, zakonnicy biskupa Bombonela o bladych obliczach, względnie zdemobilizowa-

ni oficerowie w wyblakłych, pozbawionych dystynkcji mundurach, a porządku pilnowali ochroniarze braci Elfrathów. Mój przyjaciel, Nikifor Puszysta, pracował tu dla naczelnika stacji Poppa. W jednym z kątów wagonu, za półkami

348  
pełnymi towaru oraz spiętrzonymi po sufit różnymi skrzynkami i pudłami, znajdowało się legowisko z materacem. I do tego wagonu Nikifor przyprowadził Odessę Serafim. Malutkie okienka wagonu okratowane były z obu stron, z zewnątrz oraz wewnątrz, i można było przez nie wyglądać tylko tam, gdzie pędzony niekiedy ciekawością Nikifor Puszysta wskazującym palcem przetarł w szybie pokrytej warstwą mazi z pyłu, dymu i pary czyste miejsce. Widać było wtedy perony towarowe i wzlatujące po każdym trzasku zderzaków stadka gołębi i kłęby brunatnego dymu lokomotyw, przez które przebij ał niekiedy blask gładkich, blaszanych dachów towarowych wagonów. Nikifor Puszysta obiecał wprawdzie, że któregoś popołudnia, jeśli naczelnik Popp wyrazi na to zgodę, zabierze Odessę Serafim na strzelnicę, do namiotu mistrzów rzucania nożem do celu albo wieczorem na dziedziniec seminarium duchownego, gdzie klerycy przed kolacją grywali ku zaciekawieniu wielu widzów w siatkówkę, ale okazja ciągle się odwlekała. Dokumentów dla dziewczyny ciągle nie wyrobiono i dlatego teraz również, podobnie jak w inne dni, kiedy Nikifor dostawał specjalne zlecenia od naczelnika Poppa, zamknął sklep razem z Odessą Serafim w środku. Polecił jej, aby uważała na hałasy z zewnątrz i pokazał owiniętą kolczastym drutem żelazną rurę przygotowaną na wypadek, gdyby ktoś próbował na siłę włamać się do wagonu. Wtedy bez wahania miała użyć rury. Tak więc, gdy w okolicach dworca rozwieszano list gończy, Odessa Serafim przebywała w ciemnościach wagonu.

Nikifor Puszysta nie zastał naczelnika Poppa w urzędzie. Tylko jego doradczyni i powiernica fryzjerka Anies Lupe siedziała na jednym z przeznaczonych dla współpracowników

349  
krzesel. Jej wyłożył, dlaczego gruźlicy nie zamierzają zgłosić się do prac publicznych. Anies Lupe, od czterdziestu lat, czyli od chwili, kiedy z nieznanego miejsca przybyła do Doliny, uważana była za najbardziej pożądaną kobietę w mieście. W pobliżu Anies nawet powietrze pachniało zapachem jej ciała i Nikifor Puszysta z przyjemnością je wdychał. Fryzjerka poprosiła go, aby jeszcze raz podjął starania i najlepiej wieczorem ponownie odwiedził baraki gruźlików. Może przez zaskoczenie, wyrwani ze snu, będą bardziej podatni na argumenty. A o pracy chyba w ogóle nie należy mówić, tylko o przyjemnym spacerku w ich filcowych szlafrokach i blaszanych naszyjnikach. Mogą kasłać, ile dusza zapagnie i niech pachną szpitalem. Rankiem wyśle się po nich tramwaj, dostaną na stacji śniadanie i w dodatku podwoi się stawkę. Nikifor Puszysta spostrzegł leżącą na rogu biurka stertę świeżo powielonych listów gończych, wziął do ręki i jakby

pierwszy raz widząc, z zaciekawieniem przeczytał.

— Jeśli pani pozwoli, czy mogę to zabrać?

— Proszę bardzo, na pewno się przyda.

Nikifor Puszysta przed powrotem do domu, na bulwar Kanibalów, wstąpił do sklepu braci Elfrathów, którzy oprócz handlu wszelkiego rodzaju towarami, prowadzili również coś w rodzaju wypożyczalni. Po wniesieniu odpowiedniej opłaty można tam było wypożyczyć wiele używanych rzeczy. Nikifor Puszysta na jedną dobę pożyczył kajdanki. I z listem gończym w jednym ręku, a kajdankami w drugiej powrócił do swego mieszkalnego wagonu.

— Ostatnio poznawałam cię już po krokach, ale teraz skradałeś się cicho jak jakiś złodziej — powiedziała Odessa Serafimi, kiedy spostrzegła go w otwartych drzwiach. Jak  
350

zawsze czekała na niego tylko w płóciennej koszuli i z uczesanymi włosami.

— Nigdy nie tupię głośno. Proszę, aby od tego momentu nie mówić do mnie na ty — powiedział Nikifor Puszysta — ponieważ sprawy przyjęły nieoczekiwany obrót.

Starannie zatarasował za sobą drzwi, podszedł do zawieszzonego na ścianie wagonu lustra, kilka razy na nie splunął i przylepił przyniesiony list gończy z pamięciowym portretem narysowanym przez Anies Lupe. Zapalił karbidową lampę, postawił pod lustrem i w świetle płomienia zaczęła drgać podobizna Odessy Serafim. Wśród licznych toreb i paczek keksów, gum do żucia, prezerwatyw rozszedł się nagle słodkawy, kwaśny, gorzkawy zapach lęku. Po czym nagle się ulotnił. Pierwsza przemogła się Odessa.

— I co pan zrobi z taką wielką forszą?

— Znajdzie się dla niej miejsce — skinął głową Nikifor. — Wbrew pozorom nie należę do tych bardziej zdolnych, ale dam sobie radę.

— No to się ubieram.

— Jeszcze nie, chciałbym się z wami pożegnać.

Po przyśpieszonych chwilach pożegnania Nikifor Puszysta otworzył drzwi i rozścielił koc przed wagonem. Wyjął karty, kamienie i przykucnął na ziemi. Do zachodu słońca grali w wykładanego remika.

— Lubiałem być z wami — powiedział Nikifor, kiedy skończyli grać. — Mniej więcej jesteśmy do siebie podobni. Jeśli o mnie chodzi, nie lubię przedwcześnie zakończonej gry, ale chyba możemy już iść.

Słońce wprawdzie zachodziło, ale promienie trafiały prosto w poorane brzdami zbocze Czerwonej Paltiny

351

i odbite o nagrzone, czerwonawoliliowe głązy ciepło całego dnia wracało do położonego w dolinie miasta. Mimo to Nikifor Puszysta ubrał Odessę Serafim w ciężką kolejarską kapturę, a nawet naciągnął jej na głowę kaptur, żeby przypadkiem nikt jej nie rozpoznał, porwał i tym samym sprzątnął sprzed nosa wyznaczoną nagrodę. W końcu jednym do-

brze przemysłanym i jakby wielokrotnie przećwiczonym ruchem założył swojej ukochanej kajdanki, których drugie kółko było już umocowane na jego przegubie.

Przykuci do siebie kajdankami szli, jakby trzymając się za ręce. Minęli perony towarowe, przecięli plac i znaleźli się na pętli jedynej w tym mieście linii tramwajowej. Kursowały nią miejscowego wyrobu niebiesko-żółto-brązowe, poplamione rdzą wagony tramwajowe. Ostatni kurs ruszał o siódmej, a potem aleją Reformy kursował jedynie ciągnięty przez cztery dziarskie kucyki omnibus braci Elfrathów, czyli linia prywatna. Tym pojazdem zajechali przed biskupstwo, gdzie wówczas znajdował się urząd miejski. Dopiero na dziedzińcu otoczonym skrzydłami budynku Nikifor Pusztą zdjął z dziewczyny kapotę i uwolnił z kajdanek.

Kiedy podzielono biskupstwo w Sinistrze, nowo utworzona diecezja przeniosła się do dawnych koszar strzelców górskich w Dolinie. Po wojsku na środku dziedzińca zostały jeszcze klomby w kształcie armat i czołgów. Właśnie obficie podlano kwiaty i przed pomieszczeniem dyżurnego oficera, wokół ławek — wewnątrz budynku biskup Titi Bombonel miał wyznaczone godziny przyjęć — słychać było jeszcze, jak wysuszona ziemia wchłania wodę. Krople wody niczym perły błyszczały na liściach i płatkach

352

kwiatów i upojnie pachniało floksami, tuberozami i liliami.

— Jak pan myśli, czy mnie mocno zbiją? — zapytała Odessa Serafini. — O ile wiem, od tego zwykle zaczynają.

— Parę razy dadzą po pysku, z tym trzeba się liczyć. Ale to już nie moja wina.

— Złego słowa nie mogę o panu powiedzieć, Nick.

— Proszę, dajmy już spokój z tym Nickiem. Obiecuję, że jak tylko dostanę pieniądze, to i wam coś kapnie.

— Wiedziałam, czułam, że już zaczyna mnie pan kochać. Któregoś ranka podejrzałam, jak wziął pan do ust moją szczoteczkę do zębów. Zrobiło mi to przyjemność.

— Wiązałem z wami pewne plany — przyznał się nagle Nikifor Pusztą — ale to już przeszłość. Jak wynika z tego rysunku, grubo się pomyliłem. Niewykluczone, że oprócz nagrody jeszcze mnie opieprzą.

Biskup Titi Bombonel niczym jakieś nieziemskie zjawisko siedział za stołem wśród swojej asysty w wysokich mitrach i szeroko uśmiechał się swoimi srebrnymi sztucznymi zębami. Potakując głową, z uwagą wysłuchiwał relacji Nikifora Pusztę, od czasu do czasu rzucając okiem na Odeszę Serafim, by w końcu pogratulować ujęcia. Potem jednak dodał, że na wypłatę trzeba będzie poczekać do momentu, aż fryzjerka Anies Lupe osobiście sprawdzi przyprowadzoną niewiastę.

Nie kto inny, lecz właśnie ja przywiozłem nieco później panią Lupe wołgą braci Elfrathów z dworca do biskup-

stwa. Anies weszła do oficerskiej dyżurki, ale z zewnątrz dobrze widziałem, jak ze swojej fryzjerskiej torby wyjmując detektor. I posługując się tym przyrządem niczym suszarką

353

do włosów, przejeżdżała po nagiej skórze Odessy Serafim, unosząc oczywiście odzienie. Początkowo dość obojętnie pod koniec jednak już nie kryjąc zawodu, ze smutkiem kręciła głową.

— Po czym pan sądził, że to ona? — zapytała Nikifora Pusztę.

— To przecież ona figuruje na rysunku — odpowiedział dość niepewnie Nikifor.

— To, niestety, nie ta osoba. Trochę do niej podobna, to prawda, ale ta kobieta, której poszukuje biskup jest naelektryzowana, ma w sobie prąd. A tu ani śladu.

— Jaki prąd? Wprawdzie nie ma żadnych papierów, ale jest chyba warta parę dolarów — wybuchnął Nikifor Pusztą.

— Co to, to nie. O żadnej nagrodzie, niestety, mowy nie ma.

— Choćby najmniejszej?

— Nie, panie Pusztą, niech pan wraca do domu — i życzliwie spojrzała na Odessę. — I ty, moja biedaczko, również.

Kiedy oboje wychodzili, czekałem już na nich przed bramą. Zaproponowałem, że mogę ich tą samą wołgą, którą przywiozłem Anies Lupe, podrzucić na dworzec. Nikifor Pusztą z ponurym wyrazem twarzy usiadł na tylnym siedzeniu i jakby w obawie, że wszyscy będą się na niego patrzyć, zasłonił szyby. O tej porze raczej już nie ma na ulicach przechodniów, za to więcej ludzi siedzi na ławeczkach bądź taboretach przed swoimi domami albo i na kamieniu nawet przycupną i to oni gapili się na staczającą się w dół wzdłuż tramwajowych szyn wołgę. Na głównej ulicy Doliny

354

w szeregu stały jedno i dwupiętrowe domy. Dawni lokatorzy nie wiadomo kiedy i z jakich powodów opuścili swoje miejsca zamieszkania. A nowi, których tu zakwaterowano, jakby nie wytrzymywali oszałamiającej wysokości pięter, pozostawionych przez poprzednich mieszkańców, zawieszonych u sufitu żyrandoli, a także oblepionych tapetami ścian, więc zajmowali mieszkania tylko na parterze, zaś wieczorem koczowali w bramach, skąd tylko krok dzielił ich od ulicy. Na niezamieszkałych piętrach zaczęły pękać mury, połamały się rury oraz przewody, a w dodatku same z siebie zaczęły rozłatywać się futryny okien. Wieczorami, w świetle płomiennie gasnącego nieba, potrzaskane szyby błyskały niczym szable.

— Dlaczego milczała? — wyrwało się wreszcie stłumionym ciągle głosem Nikiforowi. — Dlaczego nie powiedziała mi wprost, że to nie ona? Jak mogła mi zrobić takie świństwo?

— Bo nie wiedziałam — powiedziała Odessa Serafini. —

Sama uwierzyłam, że to ja. Bo to rzeczywiście jestem ja, tyle tylko że nie mam w sobie prądu.

— Uwierzyła, też coś, cholera! Taka wpadka, taki wstyd! Ale i z tego można się czegoś nauczyć. No, wszystko jedno, możemy znów przejść na ty.

— Jeszcze nie.

— Wyobrażam sobie, że macie mi trochę za złe. Kto wie, co tam teraz sobie o mnie myślicie. Ale to wcale nie jest takie pewne, że macie rację.

— Tylko jednego żałuję, że nagroda panu przepadła. Przydałaby się.

— No pewnie, kupiłbym psy. Ale i o was bym nie zapomniiał.

355

Wysiedli przed stacją kolejową i udali się w kierunku wypożyczalni braci Elfrathów. Nikifor Puszysta liczył na to, że jeśli wcześniej odda kajdanki, to dostanie jakąś ulgę. Ze swego posterunku dobrze widziałem, jak w wagonie mieszkalnym Puszysty w alei Kanibalów zaświeciła karbidowa lampa. A potem, kiedy rozbłyskiwała jaśniejszym światłem, wiedziałem, że nią potrząsa, aby na karbid spływało więcej wody. I wyobrażałem sobie, jak wyciąga z półek poukrywane dla protegowanych kierowców delikatesy. I jak wydedukowałem — na próżno. I zapewne tak to przebiegało:

„Cokolwiek tylko sobie, Dessy, wybierzesz, to twoje”.

„Nie jestem teraz głodna”.

„To na przykład wędzony łosoś. Chowałem to specjalnie, ale teraz możemy wreszcie skosztować”.

„Niechętnie jadam to, czego nie znam. A w ogóle i tak nie byłabym teraz w stanie nic przełknąć”.

„Dobrze, zjemy później. A teraz chodź, rozbierz się grzecznie, bo zaraz muszę wyjść. Zapomnijmy o wszystkim”.

„Nie, nie rozbiore się. Myśmy się już pożegnali”.

Nad towarowym peronem od czasu do czasu przelatywał gwizd sygnałów, które dawali sobie pchacze wagonów, trzaskały też od czasu do czasu zderzaki, a ciemność ciszy przerywał niekiedy odgłos dalekiego wystrzału. Wkrótce jednak zapanowała głucha cisza i wtedy usłyszałem kroki nadchodzącego Nikifora Puszysty.

— Nawet wędzonego łososa nie chciała — mruknął Nikifor. — Że niby nie jada nieznanych rzeczy.

— Nie zmuszaj jej.

— I wiesz, nie chciała się rozebrać. Powiada, że już się rozstaliśmy.

356

— Jej sprawa, no nie? Jutro pójdziesz na bazar i kupisz sobie nową kobietę. Zwróć tylko uwagę, żeby nie miała na głowie wianka.

— Hm, jakby to wszystko ktoś tak specjalnie urządził.

Nie wiem tylko, po co to było, ale obmyślono chytrze. I coś mi się wydaje, że ty też maczałeś w tym palce.

— Że niby ja? Całkiem możliwe.

— Dobrze to wymyśliliście: niech będzie podobna, ale nie całkiem. Ty i ta wielka dama, fryzjerka Anies Lupe. Cwane z was lisy.

— Aha, ale i ty nie jesteś w ciemni bity, Nick.

Czarna, wielorybowata wołga czekała na nich przy kra-  
węźniku. Już z daleka było widać, że uliczna hołota gę-  
stą śliną opluła boczne lusterka, a na dachu przysiadły  
ogromne ćmy. Poprosiłem Nikifora, aby poszedł na stację  
po wodę i dwoma-trzema kubłami splukalibyśmy samo-  
chód przed drogą.

— Nie mam ochoty. Nigdzie nie pójde — i zasiadł na  
tylnym siedzeniu niczym sam biskup.

Wieczory w Dolinie są duszne, przepojone stęchlizną  
powietrze ani drgnie, nawet głosu nie przewodzi. A od  
kiedy miasto otaczają zwały śmieci, nie trzeba nawet  
oświetlenia, bo nad kopcami odpadów niczym chmara  
świętojańskich robaczków unosi się magnetyczna poświata.  
A ulicę, którą jechaliśmy, oświetlał blask tramwajowych  
torów.

— I jeszcze, że niby prąd ma w sobie.

— No dobrze, uspokój się. Powiedz raczej, co byś zrobił,  
gdyby się okazało, że dostaniesz nagrodę, na co wydałbyś  
taką furę forsy?

357

— Dobrze wiesz, że chcę zająć się psami. Organizował-  
bym w okolicy walki psów. Nie tylko u nas w Dolinie, ale  
i w Rotundzie, a pod koniec tygodnia nawet w Dobryniu.  
Niekiedy, gdy wiał silny wiatr, przez wzgórza śmieci do-  
biegało do Doliny szczekanie bojowych psów pozamyka-  
nych w klatkach schroniska Boba Sinetara. Teraz jednak  
powietrze było martwe. Czasem tylko, jakby przez uchyl-  
oną w chmurach wyrwę, dobiegał krzyk nocnego ptactwa  
i powiew rumianku, jako jedyne chyba oznaki zewnątrz-  
nego świata, który już coraz rzadziej do mnie docierał.  
Gdy tylko dojechaliliśmy do pierwszych baraków, Nikifor  
Puszta wysiadł z wołgi. Potknął się zaraz o pustą puszkę  
po konserwie i kopiąc ją wściekle, obszedł dookoła barak.  
Wrócił, nawet nie zapukawszy do którychkolwiek drzwi.  
Zajrzał do mnie przez okienko.

— No i co — zapytał — jak wrócimy, to już śladu po  
niej nie będzie?

— Skoro się na tobie zawiodła, Nick, to całkiem moż-  
liwe. Jak baba chce odejść, to choćbyś ją zamknął na siedem  
spustów, i tak jej nic nie zatrzyma.

A więc zrozumiał. Zawrócił na puste, nieme podwórka,  
kopiąc przed sobą blaszaną puszkę. Przez chwilę nie mog-  
łem też zrozumieć, dlaczego taki cwany chytrus nie jest  
w stanie powstrzymać złości. Powoli jednak zacząłem się  
domyślać. Na pewno koncentrował się na powierzonym  
mu zadaniu, nad tym, w jaki sposób ma za chwilę prze-  
konać wrywanych ze snu gruzlików.

Przełożył Tadeusz Olszański

## POSŁOWIE

Ktokolwiek przeczytał arcydzieło Adama Bodora Okrąg Sinistra, zamieszkał w otwartych horyzontach i w ciasnym więzieniu. Ten okrąg jest ojczyzną ludzi związanych z przyrodą tak blisko, że są od niej nieodróżnialni; a przy tym ludzi tak zaszczytnych i zniewolonych tyranią, że nawet odruchami psychicznej i realnej ucieczki poza tyranię nie wychodzą. Świat Bodora fascynuje emocjonalnym dystansem, na równi odsuwa czytelnika od chłodu i roznamiętnienia bohaterów, a zarazem czyni tę odległość przezroczystą — czytając, wyczuwamy bliskość tętna ich krwi. Trzeba długo przyzwyczajając się do tego przykuwającego i odstręczającego świata — ze świadomością, że to niemożliwe. Ale mimo naszego oporu ten świat nas powoli zagarnia... Wchłania nas Sinistra. Wciąga nas i miejsce, i dzieło.

Pod wiernym realizmem opisów Bodora kryje się pytanie zasadnicze: gdzie i kiedy to się dzieje? Stawiamy sobie to pytanie inaczej niż przy lekturze wszelkiej innej prozy. Przez Sinistrę przebiega jakiś ostentacyjny styk fikcji i prawdy, nakazujący i prawdziwy, i fikcji szukać czegoś od nich głębszego. Fikcyjność miejsca i czasu są w prozie Bodora w tych samych granicach, co rzeczywistość — gdzieś w górach Rumunii, w rejonie przygranicznym, zesłańczym, przemysłowym, za rządów komunistycznych. Ale 359

pod zetknięciem się fikcji i prawdy jest kategoria wspólna, głębsza: okrucieństwo. Można nawet powiedzieć, że jednym z aspektów okrucieństwa jest odebranie temu światu ścisłych określeń przestrzennych i czasowych — jakby zawsze i wszędzie tego świata było nie tyle uniwersalną właściwością epiki, co największą torturą: już zawsze i wszędzie ludzie będą tak cierpieli...

O opowiadaniach Bodora ze zbioru Z powrotem do uszatej sowy nie sposób myśleć, nie lokując ich w okręgu Sinistra, z całą jego fikcją, prawdą i okrucieństwem. Bohaterowie wszystkich opowiadań jakby utknęli tam od urodzenia do śmierci — nawet oddaleni należą do tamtego okręgu, razem z odległymi okolicznościami. Wszystko zatem, co piszę o opowiadaniach Bodora, mówi niejako o centrum tego świata, o Sinistrze.

\*

Okrucieństwo w świecie Bodora ma charakter archaiczny, poczyna się najgłębiej w naturze ludzkiej, gdzieś na granicy wyłaniania się człowieczeństwa ze zwierzęcości. Dlatego uzasadniona jest pokusa, żeby u pradawnych korzeni mowy zbadać, czym jest okrucieństwo. Etymologia tego słowa przynosi obok znaczeń oczywistych — zaskakujące. „Okrutny” to nieznaną litości, srogi, nieubłagany. Nieludzki. A to znaczy, że człowiek okrutny nosi w sobie nie tyle anty-człowieczeństwo, zaprzeczenie człowieczeństwa, co jakąś zwierzęcą, nieczłowieczą „ludzkość przyrodniczą”. Nie tak dawno żywe było następujące znaczenie: „okrutny” to wielki, ogromny — być może akcentowano w ten sposób przemoc natury, przyrody, która ze swoim etycznie indyferentnym ogromem przez cielesność wnika do duszy i poraża sumienie. I jest też niezwykle odległa 360

etymologia słowa „okrutny”, zupełnie już zatarta: szybki, żwawy, zręczny—w związku etymologicznym ze słowem „kręty” — obrotny, zwinny. Prasłowiańskie słowo „okrotiti” znaczyło „okręcić dookoła”. — Owszem, po namyśle skłonni jesteśmy przyznać, że istnieje jakaś zwinność, krętość okrucieństwa, chytrze omotującego wszelkie załamki fabuł, wnikającego we wszelkie pęknięcia psychiki postaci.

Przez tego rodzaju analizę znaczeń można odtworzyć archaiczną „kosmologię okrucieństwa” panującą w Sinistrze i we wszystkich prawie dziełach Bodora. Istnieje ogrom przyrody, niewzruszony blok jej materialności, statyczne piękno pejzaży — a w nim zręcznie, kręto, zwinnie uwija się okrucieństwo. Ogromem przyrody jest opisowa materia tego świata. Natomiast instynkt fabularny, poruszenie fabularne —biorą swój impuls z ludzkiego okrucieństwa.

Cały świat jest poddany „kosmologii okrucieństwa”. W opowiadaniu Wprowadzenie do zawodu (chodzi o „zawód — życie” — chciałoby się powiedzieć...) stary kanalarz wprowadza młodego w tajniki swej profesji. Spod powierzchni miasta, jeśli jest się czujnym, obrotnym człowiekiem, można podsłuchiwać świat, rozeznawać się w nim, unikając zarazem kanalarza nad kanalarzami, który podsłuchuje podsłuchujących... To obrotna forma okrucieństwa przedustanowionego w życiu społecznym i chociaż metafora systemu totalitarnego jest nader czytelna, to jednak czujemy, że okrucieństwo jest niezbywalnym prawem wszystkich światów.

Chyba najbardziej okrutne jest opowiadanie: Plus minus jeden dzień. Po długoletnim wyroku wychodzi z więzienia zbrodniarz wojenny, sadysta ongiś znęcający się nad skazanymi na śmierć. I po pierwszym dniu na wolności wie już, że poza więzieniem

361  
nie ma dla niego miejsca na ziemi. Oblewa się benzyną i podpala za pomocą sprytnego sprzętu więziennej roboty, swoistej zapalniczki. Ma też przy sobie inne praktyczne urządzenia, więzienie nauczyło go zasady omnia mea mecum porto. Ta maksyma przez wieki służyła ekonomii życiowej —tutaj jest gwarancją wolnego wyboru własnej śmierci.

Okrucieństwo w świecie Bodora jest czymś tak oczywistym jak powietrze. Okrutna jest przestrzeń międzyludzka i przestrzeń między ludźmi a przyrodą.

Okrucieństwo jest nie tylko w świecie —to byłoby do zniesienia. Jest we wzroku, w naocznym charakterze epiki, w darze obserwacji, którym żywi się epika.

To nie jest wzrok autora, narratora — już raczej okrutny wzrok samowidzenia się świata. W pierwszym opowiadaniu zbioru żołnierz, który za chwilę będzie rozstrzelany i odmawia założenia opaski na oczy, mówi: „Mam przecież prawo. Mam prawo widzieć, póki widzę. To mi się należy ze względu na moją godność. Żeby widział, co ze mną robią”. Wszystko, na co patrzy przed śmiercią, choćby to były błaha szczegóły krajobrazu, ziemia pod stopami, uczestniczy w tej godności. A najważniejsza jest okrutna godność nieuchronnej śmierci i jej przenikliwa świadomość.

Świadomość, która w tych ostatnich chwilach życia cała się zawiera w zmyśle wzroku i roztapia w widzialnym kosmosie.

\*

Wszystko to dzieje się w jakimś absolutnym teraz. Bodor jest w o wiele większym stopniu pisarzem przestrzeni niż pisarzem czasu. Jego czas nie ma perspektyw, jest uwięziony w granicach miejsca, w Sinistrze. Czas nie daje ludziom jakiegokolwiek

362  
nadziei na przyszłość, a wspomnienia są zabronione. Jest jednak rekompensata, daje ją przestrzeń, i to mimo że miejsce jest prawie zawsze więzieniem.

Tłumaczy to jedna z najpiękniejszych metafor prozy Bodora — metafora przełęczy. Pojawia się w opowiadaniu Jaka właściwie jest przełęcz?, o dziewczynie, która bez celu spędza cały dzień na przełęczy i tak jak rano przyjechała autobusem, tak wieczorem odjeżdża. Dziewczyna ma w sobie coś takiego, że „nie wolno jej przestraszyć”. Przełęcz staje się symbolem wszelkiego miejsca ludzkiego. Patrzy się z niego na świat i na siebie. Niby na coś czekając, na nic się nie czeka. To miejsce jest zawsze przejezdne — narażone na egzystencjalny lęk, a przecież odpowiednie dla człowieka.

Dla ludzi Bodora zakorzenie i wykorzenie są bez znaczenia. Oni są głęboko zakorzeni w każdym przypadku swojego wykorzonego bytowania. Jest to jakaś okrutna, uprzestrzeniona odmiana zenistycznego życia chwilą. (Tak jak mnisi zen żyją chwilą terazniejszą, tak bohaterowie Bodora żyją miejscem). Często jednak towarzyszy temu inne przeżywanie przestrzeni — specjalnego rodzaju czujność miejsca. Miejsce wyczuwane jest — najczęściej z pewnego rodzaju wrogością — na obecność człowieka; człowiek natomiast, także czujny, wyprzedza zagrożenie samorodnie łęgnące się w miejscu jego pobytu.

Oto po spowodowanym przez siebie wypadku szofer zamyka się w pokoju hotelowym. Pragnie odosobnienia — i rozmawia z ludźmi tylko przez telefon. Chce być sam ze swoim czynem — i chce, żeby świat upomniał się o jego winę. Taką równoczesną samotność i łączność z ludźmi zapewnia mu pokój hotelowy — miejsce przypadkowe i dlatego wyczuwane na przypadkową nagość ludzkich kontaktów.

363

W innym opowiadaniu do miasteczka na kilka dni przybywa człowiek, o którym nikt nic nie wie. Ma tylko rzucający się w oczy, charakterystyczny wygląd, na mapie międzyludzkich relacji jest jedynie topograficznym punktem bezosobowego nieomal człowieczeństwa. Ale taki obcy punkt wędrujący po ulicach sam przyzywa plotkę, publiczna mowa bezintencyjnie, inercyjnie go „oswaja”, daje mu fikcyjną biografię.

Albo przykład kontrastowy — opowiadanie o nijakim miejscu, zaśmieconym odpadkami cywilizacji, i o nijakich ludziach, którzy przyjechali na wakacje. To jest opowiadanie o braku opowieści, o braku związków wzajemnych ludzi między sobą i ludzi z miejscem. Opowieść jest niemożliwa — bo nie ma takiego miejsca, z którego dałoby się wysnuć opowieść. Jest w tym

jakaś tandeta nieokreśloności, bezgraniczności, tandeta dzisiejszej cywilizacji.

Na ogół jednak okrucieństwo jest też poddaniem świata we władzę granic. Granice, chociaż ustanowione przez ludzkie reżimy, są tak samo naturalne, jak to, co ograniczają. (To dotyczy zarówno ograniczeń psychiki bohaterów, jak i topografii ich świata i czasu historycznego, i czasu ich życia). Jedna z postaci mówi: „co już jest za ogrodzeniem, to ma być strzeżone”.

Chociaż przestrzenna wolność ogromnych krajobrazów tego świata zapiera dech w piersiach, to przecież jest więzieniem. Cała przestrzeń jest dojmująco paradoksalna — jest wolna i jest więzieniem. Tak czują ludzie zaduszeni, zatopieni w jakiejś bezwzględnej obiektywności, w okrutnym wzroku wolnej przyrody. Zatopieni są razem z uczuciami.

A przecież przyroda Bodora ma też coś z pięknego wiersza Osipa Mandelsztama o Syberii, we wspaniałym tłumaczeniu Jerzego Pomianowskiego:

364

Byle tchórza nie widzieć i brudu nie widzieć  
Ani kołem łamanych kości,  
Niech z dna nocy polarnej błękitny lis wyjdzie,  
Niech mi załśni w mroźnej piękności.

Tyle tylko, że w Sinistrze przyroda jest schronieniem (a raczej jedyną prawdą) i katów, i ofiar. Jest piękna, bo suwerenna, amoralna, nie-ludzka. I może w niej dojrzewać specjalna ludzka wartość: odkrycie w sobie takiej suwerennej przyrody własnego „ja”. Odkryć ją może zarówno strażnik obozu, jak i więzień. Bodor zaszczepia w nas ostateczny niepokój: to namiastka wolności — a może jedyna prawdziwa wolność...

Ten świat jest przezroczysty — przyrodniczo i emocjonalnie. Wszystko widać pod światło obiektywne, okrutne — miłość, podłość, czystość, brud, innych ludzi, siebie. Ale za takie widzenie płaci się straszną cenę: by uznać, że jest się w harmonii z przezroczystością świata, trzeba ograniczyć swoją świadomość, zgodzić się na brak refleksji, zgodzić się, że człowieczeństwo ma taką samą naturę jak ten świat: bezwiedną. Prosty człowiek z opowiadania Nowy mebel znękany jest obecnością lustra. Przeczuwa (przezucie to jedyna wiedza o sobie samym, na jaką pozwala taki świat), że lustro jest narzędziem sztuczności w widzeniu siebie. Człowiek ma widzieć siebie bez wiedzy o tym, że siebie widzi. Wiedza jest skazą. Kiedy zatem „nie bez ulgi przestał siebie widzieć” w lustrze, to nie znaczy, że już siebie nie widział... Widział — ale innym spojrzeniem... Widział dzięki temu, że na siebie nie patrzył!

Czym dla stosunków między ludźmi jest takie inne spojrzenie? Ono jest jak przyroda — łączy i oddziela. W opowiadaniu I wtedy znów się zobaczymy leśnik i porzucona przez niego

365

kobieta oddzieleni są przestrzenią zalesionych wzgórz, ale mogą się widzieć przez lornetkę. Łączy ich tylko wzrok — wzrok bardziej jako optyczne zjawisko niż jako międzyludzki kontakt.

\*

Dla ludzi zamieszkujących ten świat dystans jest najpewniejszą bliskością. Bohaterowie prozy Bodora muszą tak sugerować swoją tożsamość innym postaciom, żeby jak najmniej o sobie ujawnić. Człowiek jest bezpieczny tylko wtedy, kiedy inni o nim niewiele wiedzą, najlepiej żeby nie wiedzieli nic. Zagrożenie jest tak wielkie, że ostrożność wchodzi w nawyk, staje się obyczajem jakby odizolowanym od bezpośredniego zagrożenia.

Zaczyna się jednak od ostrożności panicznej. Lepiej udawać, że nie ma się bliskich, jeżeli siedzieli w więzieniu. Lepiej nic o sobie nie powiedzieć, niż przyznać, że było się represjonowanym. Wzorcowa sytuacja jest taka: znikąd przybywa ktoś do zamkniętej społeczności osiedlonej w przypadkowym miejscu i trudniącej się przypadkową pracą. Ani ta społeczność niczego się nie dowie o jego przeszłości, ani on niczego o innych.

A przecież taka wymuszona anonimowość jest dobrem, bo wytwarza między ludźmi szczere, proste kontakty, porozumienia zobowiązujące jedynie swoją jednorazowością, a więc samą istotą łączności międzyludzkiej, nieobciążoną okolicznościami przeszłości. Na uboczu świata, w tymczasowych siedzibach ludzkich, wytwarza się niespodziewana ufność — poza wzajemnym zamknięciem się, poza zabronionymi wiadomościami o osobach.

W okrutnym środowisku człowieczeństwo przejawia się tylko jako instynktowna empatia.

366

W niewypowiedzeniu, w dyskrecji dokonuje się mityczna przemiana świata. Fabuły człowieczego brudu oczyszczają się, zdążają ku niewinności przyrody, jakby wpadały do oceanu czystych obrazów. Fabuły sprowadzają się do prostej oczywistości istnienia.

Dlatego niektóre opowiadania Bodora mają nieoczekiwanie idylliczny charakter.

Dziwna to idylla. Z pozoru wydaje się wyspą na morzu okrucieństwa, po namyśle czytelnik skłonny jest uznać, że w niej samej wiele porównywalnego z okrucieństwem! Przede wszystkim to, co dobre, jeśli nawet nie jest ironicznie wzgardliwe w kontraście ze złem, to jednak zawsze — nawet w odruchach miłosnych — ma jakiś odcień obojętności. Ludzie dają się powodować dobru i miłości z takim samym paraliżem woli, jak okrucieństwu...

W opowiadaniu *Przybycie na północ* ktoś z Rumunii przybywa do Polski, na wybrzeże Bałtyku. Wszystko jest troskliwe, dobre, miłosne: pejzaż, gościnny dom, witająca przybyszka dziewczyna. Ale mamy wrażenie, że tu nikt nikomu nie współczuje — ludzie jedynie współistnieją. A to już jest cennym dobrem!

Sielanki Bodora naprowadzają na myśl, że życie jest organiczną tkaniną elementarnych odruchów. Ale nie one są najważniejsze, nie ich mnogość, nie włókna równoległych życiowych funkcji. Bodor odkrywa coś, co można nazwać odruchowymi manifestacjami całości życia. Koronnym świadectwem jest miniatura *Zamiast epitafium*. Uchwycono w niej prostotę czyje-

goś niezauważalnego życia i niezauważalnej śmierci. To epifania biografii — pustej i spełnionej zarazem. Całe życie „prostego człowieka” jest odruchem całości życia...

367

Chwilami taki „odruch całości życia” ma charakter buntowniczy. Ale znamienne, że to bunt graniczący z apatią! Coś pełnego graniczy z pustką, z bezsensem. Można się temu przyjrzeć w niepokojących opowiadaniach, których tematem jest jakaś irracjonalna, nieumotywowana czynność wyskakująca z rutyny życia. Wydaje się, że to są odruchy buntu życia, które chce być spełnione, odruchy sprzeciwu wobec czynności, które automatyzują życie. Fryzjer nagle, sam nie wie dlaczego, przejeżdża maszynką do strzyżenia przez środek głowy klienta. Kelner w pewnej chwili, po kilkudziesięciu latach pracy, zatrzymuje swój marsz do obsługiwanego gościa. Nie wie, dlaczego to zrobił.

\*

W prozie Bodora zawsze trzeba domyślać się dwóch tajemnic: pierwszej czysto fabularnej i drugiej, ukrytej w pytaniu: co powoduje, że te proste, jasno podawane fabuły są tajemnicze? I trzeba się też domyślać czegoś poza wszelkimi tajemnicami: rzeczywistości, jej skrytej, okrutnej, bezwzględnej i zarazem oczywistej natury.

Dobrze to przedstawia opowiadanie Dzień górnika. Młodzi ludzie przyjeżdżają z daleka na festyn w górniczej osadzie, bo chcą uwieść jakieś młode kobiety, a zależy im, by ich w tym miejscu nie znano. Stają się świadkami śmierci górnika. Odgrzebano go spod zwałów węgla, miał rozchylone usta, jakby chciał wymówić ostatnie słowa. Jeden z przybyłych do osady gości chce słyszeć, jak matka zabitego kilkakrotnie, w szoku, obsesyjnie pyta „Co on chciał powiedzieć?”, drugi nie może tego słuchać... Co to za różnica? Czego dotyczy? Charakterów? Co się pod tą różnicą kryje? — Nie można dać odpowiedzi.

368

Opowiadania Bodora mówią do nas z powagą ostatecznego wyznania. W czytelniku łamią się dwa nastawienia. Jedno jest takie: ostateczna prawda o okrucieństwie jest tak ogłuszająca, że nie chcę jej słyszeć. I drugie, przeciwne: koniecznie chcę słyszeć prawdy bez złudzeń, chociaż wydaje mi się, że Bodor te prawdy sugeruje całkowitym milczeniem, ukrywa pod czysto zewnętrznymi opisami.

A więc dylemat, a raczej nierozplątywalny węzeł: świat bezpieczny albo świat prawdziwy.

Piotr Matywiecki

#### SPIS TREŚCI

EGZEKUCJA.....	5
DESZCZ.....	11
FRYZJER.....	17
BRAT PALACZA.....	25
LEŚNIK I JEGO GOŚĆ.....	33
DZIEŃ GÓRNIKA.....	41
ODMIENIEC.....	45
NOWY MEBEL.....	49

POWODZENIE SABOTÓW.....	53	
PONURAK.....	57	
GORSZY DZIEŃ NASZEGO SZOFERA.....		61
PRZYBYCIE NA PÓLNOC.....	75	
JAKA WŁAŚCIWIE JEST PRZEŁĘCZ?.....		87
ZOO.....	91	
LISEM JESTEM!.....	97	
ZAMIAST EPITAFIUM.....	101	
ZATRZYMANE W KADRZE.....	103	
SUBLOKATOR.....	107	
DZIEWCZYNA Z ZAGRODY.....	111	
BRZYDAL.....	117	
WOLF.....	121	
GAZOWNIA.....	127	
MIEJSCE, GDZIE WYPLATAJĄ KOSZYKI		135
PLUS MINUS JEDEN DZIEŃ.....	145	
WĘDROWCY.....	159	
EUFRAAT POD BABILONEM.....	181	
ZJAWY.....	203	
Niespodziewany gość.....	203	
Oczekiwanie.....	206	
Czułe pożegnanie.....	209	
Dyskretna wpadka.....	212	
SEKRET KUCHNI.....	217	
ZNOWU W DOMU.....	221	
I WTEDY ZNÓW SIĘ ZOBACZYMY.....		225
WYDZIAŁ .....	227	
CO WARTO WIEDZIEĆ O SMOLARZACH ....		253
POCZĄTEK JESIENI.....	255	
UPRZEJMY KAPITAN.....	259	
WPROWADZENIE DO ZAWODU.....		265
STAŁY BYWALEC.....	271	
KUSZENIE PANI IMOLI.....	275	
ZEZNANIE ŚWIADKA.....	281	
SPLATA.....	285	
szczęście oracza.....	291	
pedziokot.....	297	
wieczorem, w porcie.....	305	
z powrotem do uszatej sowy.....	309	
zapach krewnych.....	323	
psie walki w dolinie, rotundzie i dobryniu . . .		337
posłowie.....	359	

WYDAWNICTWO CZARNE S.C.

www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, iii p., 38-300 Gorlice

tel./fax +48 18 353 58 93

e-mail: [arkadiusz@czarne.com.pl](mailto:arkadiusz@czarne.com.pl), [mateusz@czarne.com.pl](mailto:mateusz@czarne.com.pl)

Redakcja: Wołowiec 11,38-307 Sękowa

tel./fax +48 18 351 02 78, tel. +48 18 351 00 70

e-mail: [redakcja@czarne.com.pl](mailto:redakcja@czarne.com.pl)

Dział promocji: ul. Jaracza 6/5, 00-378 Warszawa

tel./fax +48 22 62110 48

e-mail: agnieszka@czarne.com.pl, joanna@czarne.com.pl  
agaw@czarne.com.pl, anna@czarne.com.pl  
Dział sprzedaży: Beata Motyl, MTM Firma  
ul. Zwrotnicza 6, 01-219 Warszawa  
tel./fax +48 22 632 83 74  
e-mail: mtm-motyl@wp.pl  
Skład: Robert Oleś —design plus  
ul. Morsztynowska 4/7, 31-029 Kraków  
tel./fax 012 432 08 52  
Druk i oprawa: opolgraf sa  
ul. Niedziałkowskiego 8-12, 48-085 Opole  
tel. 077 454 52 44  
Wołowiec 2007  
Wydanie 1  
Ark. wyd. 11,0; ark. druk. 23,5